

ONI MÓWIA
INNymi
JĘZYKAMI



JOHN L. SHERRILL

S Ł O W O W S T Ę P N E

Gdy tylko wstąpiłem na jesieni ubiegłego roku do chóru kościelnego, natychmiast zrozumiałem, że popełniłem błąd. Piękne chorały, którymi cieszyłem się w każdą niedzielę trudniej było śpiewać niż słuchać. Mój podziw dla członków chóru wzrastał, ale za to traciłem wiarę w mój własny muzyczny talent. Nie potrafiłem śpiewać z nut, siła głosu była słaba, skala mała. Chórowi potrzebne były jednak głosy męskie i inni członkowie chóru zachęcali mnie. Udzielili mi różnych wskazówek na temat techniki oddychania, sposobu wydobywania dźwięku, wymowy. Powoli zaczynałem coś z tego rozumieć, ale dźwięki wydobywające się z mojego gardła były równie niezadawalające jak dawniej.

Pewnego wieczoru usiadłem na próbie zupełnie przypadkowo przed Billy Broganem. Gdy zagrzmiał wspaniały bas tego Irlandczyka, z moim własnym głosem stało się coś szczególnego. Po próbie opowiedziałem mu o tym.

"Jeśli to pomogło", powiedział Bill, "to na następnej próbie pokażę panu coś lepszego".

W następny czwartek usiadł obok mnie. W środku chorału adwentowego szepnął do mnie: "Niech pan się oprze o mnie". Nie rozumiejąc spojrzałem

nie rozumiałem, ale wychyliłem się do tyłu tak, że moje łopatki spoczęły na jego piersiach.

I nagle zrozumiałem co to znaczy śpiewać. Jego głęboki głos powodował rezonans w moim własnym. Bez wysiłku formowałem dźwięki, o których istnieniu w moich piersiach nie miałem przedtem nawet pojęcia. Moje wirtuo-zostwo trwało w prawdzie tylko krótko, ale to małe zdarzenie wywarło na mnie wielkie wrażenie, ponieważ przypomniało mi szereg innych wydarzeń w moim życiu.

Już kiedyś tak było, że od teoretycznych dociekań przeszedłem do konkretnych doświadczeń osobistych, ale to już jest historia tej książki...

John L. Sherrill

Skok

Dobrze jeszcze pamiętam owo wiosenne przedpołudnie w roku 1959.

Gwiżdżąc szedłem w górę Park Avenue w Nowym Jorku na regularną wizytę u lekarza. Wszedłem przez drzwi nr. 655 i ukloniłem się recepcjonistce - - byliśmy już dobrymi przyjaciółmi.

Od mojej operacji na raka przed dwoma laty przychodziłem w każdym miesiącu do gabinetu doktora Daniela Catlinsa i zawsze było tak samo: sprawne palce lekarza obmacywały moją szyję, później doktor poklepywał mnie po ramieniu i mówił: "Za miesiąc zobaczymy się znów".

W tym dniu jednak było inaczej. Jego palce nagle zatrzymały się i zaczęły długo macać jedno miejsce. Gdy byłem w końcu już na zewnątrz, wiedziałem, że za dwa dni muszę zgłosić się w oddziale chirurgicznym szpitala Memorial na operację.

Jakże zmieniło się to wiosenne przedpołudnie! Szedłem przez tę samą ulicę, w takich samych promieniach słońca, lecz wypełniał mnie paniczny strach. Znałem ten strach. Wszyscy chorzy na raka znają go. Wszyscy jednak próbujemy ten strach stłumić. Myślałem, że jedna operacja nic nie znaczy. Tak długo jak nie wzywa-

wano mnie na drugą myślałem, że się nie boję. Teraz nie mogłem jednak stłumić strachu. Wzmógł się tak, że rozbił wszelkie próby uspokojenia. Zaszyłem się w pierwszym napotkanym kościele; chciałem być sam w najciemniejszym kącie. Był to episkopalny kościół św. Tomasza przy Fifth Avenue, a kiedy do niego wchodziłem syreny ogłaszały przerwę obiadową. Ku memu zaskoczeniu wszedł chór na biało ubranych chłopców i zasiadł z przodu na krzesłach dla chóru, a kilka minut później młody seminarzysta wszedł na ambonę. Z kartki z ogłoszeniami leżącej obok dowiedziałem się, że jestem na krótkim nabożeństwie postnym.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to krótkie kazanie zawierało klucz do szczególnego mojego przeżycia. W tamtej chwili myślałem, że nie dotyczy wcale moich problemów.

Młody człowiek mówił krótko o Nikodemie. Powiedział, że wielu próbuje zbliżyć się do Chrystusa tak jak Nikodem - przez logikę. "Mistrzu, wiemy, że jesteś nauczycielem od Boga", powiedział Nikodem i zaraz dodał uzasadnienie: "Nikt nie mógłby uczynić takich cudów gdyby Bóg z nim nie był".

"Ale zobaczcie", powiedział seminarzysta, "próba rozumowego pojęcia Chrystusa nie powiodła się Nikodemowi. Nie nasze logiczne rozumowanie, lecz przeżycie prowadzi nas do poznania kim jest Chrystus. Chrystus Sam powiedział do Nikodema, za prawdę powiadam ci: jeśli się ktoś nie narodzi na nowo nie może widzieć Królestwa Bożego". /Jan. 3, 3/

Jak już powiedziałem, w tamtym czasie zna-
czyło to wszystko dla mnie mniej niż nic.
Jednakże następnego ranka miałem znów usły-
szyć te słowa! Właśnie piliśmy wraz z żoną
po bezsennej nocy kawę, gdy nagle zadzwonił
telefon. Dzwoniła nasza sąsiadka, pisarka
Catherine Marshall Le-Sourd.

"John", powiedziała, "czy nie mógłbyś
wsiaść wraz z twą małżonką do samochodu
i wpaść tu na kilka minut? Usłyszałam o wszy-
stkim i muszę ci coś powiedzieć".

Catherine wyszła do drzwi w codziennym u-
braniu. Ani nie miała make-up, ani się nawet
nie uśmiechnęła. Takie zachowanie wyrażało
głębiej jej współczucie niż by mógł to uczyni-
ć słowa. Wprowadziła nas do pokoju, zamknę-
ła drzwi i zaraz przystąpiła do rzeczy:

"Najpierw chciałabym powiedzieć, że pozwa-
lam sobie coś zakładać. Mówię teraz o życiu
religijnym, chociaż nie mam właściwie prawa
przypuszczać, że jeśli o nie chodzi jest coś
nie w porządku. Piszesz w końcu przecież już
od dziesięciu lat dla "Guideposts", masz sza-
cunek dla religii i podjąłeś się kilku stu-
diów na ten temat. Ale za tym kryje się je-
szcze o wiele więcej".

Spojrzałem na moją żonę, Tib. Siedziała
tak spokojnie jak słup na obrazku.

"John", spytała Catherine, "czy wierzysz,
że Jezus był Bogiem?"

Było to chyba ostatnie pytanie na świecie
jakiego bym się mógł spodziewać! Myślałem,
że Catherine będzie mówić o tym, że Bóg mo-
że uzdrowić, że modlitwa w chwilach obaw
przynosi wspaniałą pomoc i wzmocnienie, albo
o czymś, co miałoby związek z moim chwilowym
kryzysem.

Jednak takie właśnie pytanie zostało mi postawione i z takim musiałem się rozprawić. Tib i ja - byliśmy chrześcijanami napewno w tym sensie, że na urzędowych formularzach mogliśmy zawsze wisać słowo "protestant"; chodziliśmy też dosyć regularnie do kościoła i poświęciliśmy nasze dzieci do szkoły niedzielnej. Wiedziałem oczywiście, że to były tylko zwyczaje. Faktem było, że nad problemem, czy Jezus z Nazaretu był rzeczywiście Bogiem, nigdy nie zastanawiałem się. Teraz, gdy miałem na to pytanie odpowiedzieć nasunął mi się cały szereg logicznych wątpliwości. Zacząłem je przedstawiać Catherine, ale przerwała mi.

"Próbujesz pojąć Chrystusa rozumowo", powiedziała, "ale tak nie można".

Znów to samo. Catherine mówiła dalej: "To jest cechą chrześcijaństwa, że nie da się go ogarnąć rozumem. Musisz się zgodzić najpierw mieć przeżycie, tzn. uczynić coś, czego się nie rozumie, a później - rzecz szczególna - zrozumieć. Tego właśnie oczekuję od ciebie dzisiaj... abyś nie rozumiejąc i nie wiedząc nawet dlaczego powiedział Chrystusowi "tak".

W pokoju zapanowało milczenie. We mnie były jedynie uprzedzenia. Nagle jednak odczułem wyraźne pragnienie postąpienia według jej wskazówki. Największym zastrzeżeniem jakie miałem było to, iż myślałem, że to nie jest uczciwe, że przez długie lata nie podejmowałem takiej decyzji, a teraz, gdy byłem już chory na raka, gdy ośwładnął mnie strach miałem nagle w podjęciu jej znaleźć ucieczkę.

"Byłbym obłudnikiem w moich własnych o-

czach", powiedziałem.

"John", prawie szentem powiedziała Catherine, "to jest zarozumiałość. Chciałbys przyjść do Boga w sposób wyznaczony przez samego siebie: kiedy chcesz, jak chcesz, mocny i zdrowy. Może Bóg chce cię mieć właśnie teraz, bez czegokolwiek, co mógłoby Mu polecać cię?"

Rozmawialiśmy jeszcze pół godziny, a gdy mieliśmy już wychodzić ciągle nie mogłem się jeszcze zdecydować na krok, o który chodziło. W kilka chwil później jednak, gdyśmy przejeżdżali obok masztu telefonicznego na Millwood Road w Chappaqua - ten maszt jeszcze dzisiaj dobrze pamiętam - zwróciłem się do Tib i powiedziałem głośno:

"Jak oni to nazywają? Skok wiary? Dobrze! Uczynię ten skok: wierzę, że Chrystus był Bogiem".

Z zimną krwią odłożyłem na bok skłonność do logicznego rozumowania nie będąc nawet co do tego przekonany uczuciowo. Przynajmniej coś się we mnie urwało, coś, co istotnie było moim "ja".

Całe brzemie świadomości, które nazywamy naszym ego pogodziło się jakby z tą decyzją. Zadziwiające! Jak to bolało, jak walczyło o byt! Tak, właśnie chodziło o moją śmierć. Ale gdy w końcu wszystko we mnie ucichło i kiedy wypowiedziałem moje krótkie wyznanie wiary dostrzegłem w sobie miejsce na coś nowego, na coś bardzo tajemniczego.

Pierwszy dowód na to, że stało się ze mną coś niezwykłego dostrzegłem w szpitalu. Na krótko przed operacją przyszła do mnie młoda, energiczna pielęgniarka z zastrzykiem.

Od czasu mojego nobytu w wojsku miałem wielkie uprzedzenie do strzykawek, nawet gdy miały być użyte przez piękne dziewczęta. Tym razem byłem jednak zupełnie spokojny.

"Proszę się odwrócić", powiedziała pielęgniarka urzędowym tonem. Ale gdy dała mi zastrzyk zmieniła ton: "Wielkie nieba! Ależ pan jest rozluźniony - tak jakby tu pan był na urlopie".

Dopiero gdy odeszła zrozumiałem, że miała rację i dziwiłem się samemu sobie. Byłem rzeczywiście zupełnie rozluźniony i leżąc tak w moim szpitalnym łóżku zacząłem dostrzegać, że dzieje się ze mną coś niezwykłego. Było tak, jak gdybym gdzieś w utajonym miejscu samego siebie zrozumiał, że niezależnie od tego jak przebiegnie operacja, będzie ona jedynie przykrym epizodem w życiu, które stało się zupełnie nowe, jakieś szczególne i zupełnie niezależne od szpitala, chirurgów, choroby i wyzdrowienia.

W chwilę później przyszło kilku pielęgniarzy, wyjęli mnie z łóżka i położyli na noszach. Przypominam sobie jeszcze ich twarze, jak patrzyli na mnie z góry; przypominam sobie też pęknięcie na suficie korytarza, którym mnie niesiono. Jarzeniówki w windzie były zepsute i migotały. Później było już inne światło, które mnie bardzo oślepiało, a z niego wyłoniła się twarz doktora Catlin w zielonej czapeczce. Uśmiechałem się do niego, a on odwzajemnił mi się uśmiechem. Później spytał czy jestem gotów.

"Tak, czekam".

Jeszcze jeden zastrzyk... i później

znalazłem się w jakimś pokoju, którego nigdy przedtem nie widziałem. Była noc. Do sali operacyjnej zanieśiono mnie rano o godz. ósmej. Dlaczego więc to wszystko trwało tak długo? Rurki gumowe sterczały po obu stronach moich piersi i wystawały też z szyji. Jakaś maszyna nobrząkiwała i warczała za moim łóżkiem poza zasięgiem wzroku.

A bóle? Chyba gorszych nigdy nie zaznałem; szczególnie w piersiach, gdzie tkwiły rurki. Jedna z pielęgniarek podeszła do mnie, gdy zauważyła, że nie śpię i sprawdziła mi puls. Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Wskazałem tylko na rurki.

"Lekarz przyjdzie jutro rano. Niech pan próbuje zasnąć".

Jakby to było ładnie, gdybym mógł powiedzieć, że czas mojego powrotu do zdrowia - po dokonaniu skoku wiary - był tryumfem duszy nad ciałem. Ale nie byłoby to prawdą. Bóle kompletnie mnie rozbijały. Na stole operacyjnym coś się nie udało; a przecież nie miałem jeszcze dość wprawy w moim chrześcijańskim życiu aby od tego tematu oderwać myśli.

Następnego ranka obudziłem się znów w innym pokoju. Stopniowo sufit, okna i zasłony zaczęły mi się układać w obraz mojego pierwszego pokoju szpitalnego. Rurki wystawały jeszcze ciągle z piersi i szyji, a maszynę pomrukiwały gdzieś za łóżkiem. Ale w końcu się czegoś dowiedziałem.

Przyszedł do mnie doktor Catlin, schylił się nad łóżkiem i będąc w stanie zupełnej świadomości złowiłem jego słowa:

"Teraz już jest panu lepiej. Na stole

ANULOWANO

operacyjnym mieliśmy trochę kłopotów. Opadnięcie płuca, cięcie tchawicy... Mimo to, wszystko na szyji dobrze wygląda. Niech pan sobie teraz odpocznie".

Następny dzień spędziłem jak ogłuszony w łóżku, od czasu do czasu dostrzegając przybycie żony, matki lub lekarza. Na drugi dzień wieczorem odkryłem, że w tym pokoju znajdowali się jeszcze inni pacjenci. Jednym z nich był starszy mężczyzna, którego bardzo męczył kaszel. Drugim był młody chłopiec, który zszedł właśnie ze stołu operacyjnego. miał silne bóle.

Tego wieczoru mogłem po raz pierwszy pomyśleć o modlitwie. Próbowałem rozmawiać z tym Chrystusem, w którego wiarę wyznałem, ale było to jakby mówienie do powietrza nad łóżkiem. Nie miałem wogóle poczucia, że mam kontakt z kimkolwiek. Współczułem tym, którzy byli ze mną w pokoju, mężczyźnie z kaszlem i chłopcu w jego bólach. Próbowałem modlić się o nich, ale nic się nie działo. Po chwili zasnąłem. Przy tym przerażająco wyraźnie zdawałem sobie sprawę z tego, jak każdy z nas trzech jest samotny.

O północy nagle zbudziłem się. Trochę światła wpadało z korytarza, a trochę zza okna. Jakaś pielęgniarka przeszła na palcach przez korytarz. Moi dwaj towarzysze byli niespokojni. Jeden kaszlał, a drugi cicho postękiwał.

Nie wiem w jaki sposób zauważyłem to światło. Nagle po prostu było, bez zjawiania się, tak nagle, jak nagle się obudziłem. Było ono inne od tego, które wpadało przez okno i z korytarza; było bardziej jasnością, niż światłem.

Było w tym coś szczególnego. Światło to miało w sobie coś osobowego, wlewało we mnie zbożną cześć, ale absolutnie nie był to strach. Czułem się tak, jakbym na nowo coś rozpoznawał, jakbym widział znów przyjaciela z lat dzieciennych. Zewnętrznie był on wprawdzie bardzo zmieniony, tak że mogłem go poznać jedynie po konturach, a nie po szczególnych rysach.

"Chrystus?" powiedziałem.

Światło poruszyło się trochę. Właściwie nie był to wcale ruch, ale było nagle bliżej mnie nie ruszając się z miejsca, na którym było poprzednio. Przez chwilę myślałem, że ból pod bandażem zmalął, ale tak nie było. Coś jednak stało się podczas tego spotkania. Było tak, jakbym był napełniany zdrowiem. Moi współtowarzysze ciągle jeszcze rzucali się i postękiwali.

"Chryste!" powiedziałem poruszając jedynie wargami, "racz pomóc temu chłopcu". Światło nie odeszło ode mnie, ale w sposób szczególny znajdowało się teraz obok łóżka cierpiącego chłopca.

Ooo... westchnął i uspokoił się.

"I jeszcze drugiemu mojemu przyjacielowi?" Momentalnie światło skierowało się na łóżko starszego mężczyzny, który miał właśnie atak kaszlu. Kaszel ustał. Starszy człowiek westchnął i odwrócił się.

Wtedy światło to znikło.

Podniosłem głowę z poduszki tak wysoko jak tylko mogłem i szukałem go w całym pokoju, ale było już tylko żółte światło zza okna i z korytarza. Pielęgniarka wracała. W ciemnościach za oknem słychać było klakson

samochoду. Aparat za moim łóżkiem sapał i powarkiwiał. Wszystko było jak przedtem, oprócz tego, że leżąc w łóżku szpitala Memorial z obandażowaną głową, szwyją i nierśiami, z rwącymi bólami na całym cieie - - byłem napełniony uczuciem takiej błogości, jakiej przedtem nigdy nie znałem. Długo ołakałem z radości.

Aż do świtu nie spałem i myślałem i myślałem, że to niezwykle światło może powrócić. Przez cały ten czas moi towarzysze spali spokojnie. Gdy rano przyszła pielęgnarka z termometrami ciągle jeszcze nie spałem.

"Wygląda pan na wypoczętego", powiedziała.

"Jestem wypoczęty".

Zwróciła się w stronę moich towarzyszy.

"No dobrze. Obydwa jeszcze śpią. Zajmę się więc waszym pokojem później".

Zostałem wypuszczony ze szpitala o cały tydzień wcześniej niż to przewidywał doktor Catlin. Tak szybko wróciłem do zdrowia! Po powrocie do domu, w czasie najbliższych dni próbowałem opowiedzieć Tib o przeżyciu w szpitalu. Za każdym razem jednak, gdy tylko otwierałem usta działo się ku memu zakłopotaniu zawsze tak samo: czułem jak do oczu napływają mi łzy i wiedziałem, że gdy wymówię pierwsze słowo będę szlochał jak małe dziecko. Wyksztusiłem z siebie wszystko dopiero wtedy, gdy zadecydowałem, że Tib musi się o moim przeżyciu dowiedzieć niezależnie od ilości przelanych łez.

"Czy myślisz, że to był sen?" spytałem, gdy w końcu ciągle szlochając wszystko opowiedziałem.

"Nie sądzę, aby sen mógł cię tak wzbu-

rzyć".

"Ja też nie".

Było jeszcze dwoje innych ludzi, którym - jak sądziłem - winienem był tę historię: Len i Catherine Le-Sourd. Przestrzegłem ich, że będzie mi trudno opowiedzieć o moim przeżyciu i faktycznie znów powtórzyło się to samo: zacząłem rzeczowo, ale zaraz musiałem przerwać.

"Widzicie czego od was wymagam?" powiedziałem chcąc żartami opanować zakłopotanie.

Ale Len powiedział: "Właśnie łyż - John - mówią mi o wiele więcej niż wszystko inne, że to przeżycie jest prawdziwe. Nie krepuj się".

W taki sposób opowiedziałem do końca.

"Widziałeś jeszcze później to światło?" spytała Catherine gdy skończyłem.

"Nie".

"Myślę, że nie powinienes się tego nawet spodziewać", powiedziała. "Tak bezpośrednie spotkanie z Chrystusem przeżywa się zazwyczaj tylko raz. Sama przeżyłam coś podobnego. Z Lenem było inaczej. Zdziawiająca we wszystkich tych wypadkach, niezależnie od ich przebiegu jest zawsze ta wewnętrzna pewność, że spotkaliśmy Jezusa".

A później Catherine opowiedziała coś ciekawego. W przyszłości mogłem stwierdzić, że był to jakby rodzaj prorocтва:

"Cieszę się, że nam o tym opowiedziałeś. Będiesz teraz miał to przeżycie w pamięci nawet w chwilach, gdy nie będzie ci się ono wydawać zbyt realne". Trochę zamyślona uśmiechnęła się.

"Bardzo bym chciała, aby istniała mo-

żliwość czuć się zawsze tak, jak się teraz czujesz, ale - o ile wiem - takiej możliwości nie ma. Jeśli już zatracimy świeżość tego przeżycia, musimy dalej po prostu trwać w wierze".

Potrzebowałem trochę czasu, aby zrozumieć o czym ona wtedy mówiła. Wtedy - i jeszcze przez całe tygodnie później - żyłem pod mocnym wrażeniem tego przeżycia. Orzeczenie lekarza, które w końcu otrzymałem było, jeśli chodzi o raka, pocieszające. Ale spostrzegłem, ku memu zdziwieniu, że nie ma ono dla mnie tak wielkiego znaczenia jak oczekiwałem. Coś bardziej ważnego onanowało moje myśli. Chciałem poznać tego Chrystusa, którego spotkałem.

Przez jakiś czas, było mi łatwo o Nim myśleć. Działo się to niejako automatycznie. Czytanie Biblii stało się zupełnie nowym przeżyciem, gdyż mogłem teraz rozumieć w niej to, nad czym kiedyś próżno łamałem sobie głowę. Na przykład proste słowa Jezusa: "pójdźcie za mną", gdy powoływał swoich uczniów. Mogłem w nie teraz łatwo wierzyć. Jego obecność bowiem, którą przeżyłem, była czymś, za czym szło by się na koniec świata! Opowiadania o uzdrowieniach były jakby powtarzaniem przeżycia owej nocy w szpitalu. Stwierdzenie Jana: "Bóg jest miłością", było dla mnie teraz raczej opisem niż zasadą.

Ale gdy mijały tygodnie, a później miesiące, zbladło i to przeżycie w moich wspomnieniach. Po pewnym czasie nie było już tak łatwo wziąć Biblię do ręki; chodzenie do kościoła stawało się powoli rutyną, a gdy kiedyś przyjacielowi w szpitalu opowie-

działem o moim przeżyciu - dobrnąłem do końca mojego opowiadania bez uronienia ani jednej łzy. To przekonało mnie więcej niż wszystko inne, że tym, co posiadam jest już tylko wspomnienie, a nie żywa rzeczywistość. Czyż tylko tyle było dla mnie? Czułem się tak, jak musieli czuć się uczniowie gdy Jezus ich opuścił na końcu swej misji na ziemi. Odczuwałem głęboki smutek, gorące pragnienie nowego zetknięcia się z Nim - jak to określała Catherine - ale nie mogłem się zdobyć na cokolwiek innego, jak tylko na owo "trwanie w wierze".

W rozmowach z innymi wierzącymi stwierdzałem, że było to zupełnie normalne doświadczenie. Na początku umieszczone było przeżycie "szczytowe" - pewien okres, w którym rzeczywistość Chrystusa była bardzo wyraźna - a później następowało powolne zsuwanie się z tego szczytu. Najpierw był krótki czas intensywnej miłości, radości, głębokiego pokoju, okres, w którym bez większego wysiłku można było być cierpliwym, uprzejmym i pokornym. A później zaczynała nastawać ponura susza.

Czy tak miało być? Czy wierzący mają żyć tylko wspomnieniami? Jakoś wątpiłem w to: wspomnienia powoli zanikają i zamazują się.

A później, mniej więcej w rok po owym przeżyciu w szpitalu spotkałem człowieka, który opowiedział mi bardzo ciekawą historię. Najpierw zainteresowała mnie ona, gdyż była tak fantastyczna. Nawet mi się nie śniło, że znajdę w niej odpowiedź na moje pytania.

Dziwna Historia Haralda

Od pani Ruth Peale pierwszy raz usłyszałem o Haraldzie Bredesenie. Pani Ruth i jej mąż byli współwydawcami "Guidepost". Byliśmy właśnie na regularnym spotkaniu pracowników redakcji w poniedziałek wieczorem gdy wbiegła trochę zadyszana.

"Przepraszam, że się spóźniłam", powiedziała i zanim zdążyła zdjąć płaszcz już opowiadała dalej.

"Jadłam kolację z pewnym młodym człowiekiem, który mnie prawdziwie zaszokował i dał dużo materiału do przemyśleń".

Współpracowałam z panią Ruth Pealu już od dziesięciu lat. Wszyscy pracownicy redakcji cenili ją za jej zrównoważenie i zdrowy ludzki rozsądek. Mogliśmy zawsze ufać, że uda jej się sprowadzić nas na grunt faktów gdy nasze myśli rozpiływały się w abstrakcjach, lub niewyraźnych marzeniach. Podkreślałam to, gdyż tego wieczoru miała nam opowiedzieć bardzo dziwną historię. Była to historia tak fantastyczna, że nigdy bym w nią nie uwierzył gdyby ktoś inny ją opowiadał.

"Czy słyszeliście kiedy zwrot ,mówić językami'?" spytała pani Ruth.

Większość z nas miała jakieś niewyraźne wspomnienie o podobnym zwrocie. Przypomniałem sobie, że pochodzi on z Biblii.

"Czy masz na myśli ,gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi'?" spytałem.

"To jest jedno miejsce", odpowiedziała Ruth, "a poza tym ten zwrot występuje w Ewangelii, a również Paweł często go używa. Najczęściej można go jednak spotkać w Dziejach Apostolskich. Mówienie językami musiało chyba grać dużą rolę w życiu pierwszego Kościoła, chyba o wiele ważniejszą niż myślałem.

I oto mój gość powiedział mi, że sam miał takie przeżycie, a nawet nie tylko on, ale jeszcze kilku jego przyjaciół! Całe dwie godziny słuchaliśmy z mężem jak oczarowani gdy opowiadał nam o ludziach z całego kraju, którzy przeżyli to samo. Języki nieraz bywają rozpoznane przez słuchających, chociaż mówiący nigdy się danego języka nie uczył i sam wcale nie wie co mówi. To brzmi głupio, prawda? Ale w tym człowieku jest coś takiego..." Przerwała. "W każdym razie muszę dowiedzieć się o tym więcej".

Po spotkaniu powiedziałem Ruth, że Chętnie poznałbym tego jej znajomego, który mówi językami. Myślałem, że mogłaby przy tym powstać jakaś historyjka dla czasopisma.

Później poznałem go. Czym bardziej jednak zagłębiałem się w tę sprawę, tym wyraźniej rozumiałem, że natknąłem się na sprawę zbyt wielką na jeden artykuł do gazety.

Harald Bredesen jest ordynowanym pastorem w First Reformed Church w Mount Vernon w Nowym Jorku. Jest mniej więcej w moim wieku; wtedy miał więc około czterdziestu lat. Nosił koloratkę, zaczynał łysieć, a jego gorliwość działała zaraźliwie. Jadłem z nim obiad w restauracji niedaleko od mojego biura i właśnie tam, mię-

dzw filiżankami kawy i kostkami cukru odpowiedział mi historię, która wydawała się pochodzić nie z tego świata.

Przed kilku laty Harald był niezadowolonym młodym człowiekiem. Chociaż bardzo gorliwie działał w swoim kościele wydawało mu się, że jego życie religijne nie posiada właściwej energii. Takie wrażenie odnosił szczególnie wtedy, gdy swoje własne przeżycia porównywał z przeżyciami pierwszych chrześcijan.

"W pierwszym kościele panował entuzjazm i życie było bardziej pulsujące", powiedział Bredesen. "Dzisiejszy kościół w zasadzie już to wszystko utracił. Jestem pewien, że pan też podobnie na to się zapatruje. Czyżby życie bywa tak przekształcone? Gdzie jest ta wiara, za którą ludzie byli gotowi umierać?"

Bredesen zaczął kiedyś studiować biblijne doniesienia o pierwszym kościele pod tym aspektem i prawie natychmiast coś zauważył. Im więcej czytał, tym bardziej był pewny, że chrześcijanie pierwszego wieku otrzymywali moc do życia przez Ducha Świętego, a jeszcze dokładniej - przez pewne przeżycie, które w Nowym Testamencie nazwane zostało "chrztem w Duchu Świętym".

Bredesen postanowił, że sam musi mieć to przeżycie i aby mieć warunki do osiągnięcia go, wziął sobie urlop. Wyruszył w góry Allegheny, zaszył się w jakiejś górskiej chatce i przez całe doby modlił się. Był zdecydowany modlić się tak długo, aż osiągnie nowy stopień społeczności z Bogiem.

W końcu, pewnego poranka, gdy głośno modląc się stał przed chatką, na wzgórzach za-

legła dziwna, głęboka cisza. Każde włókno jego ciała było napięte, jak gdyby cała jego istota przechodziła do nowych obszarów poznawania. Przez moment przestał mówić. A gdy znów zaczął, z ust jego - i tu następują jego własne słowa, które sobie wtedy zapisałem: "...wylał się potok najpiękniejszych samogłosek i spółgłosek i trochę gardłowych sylab. Nie rozumiałem niczego. Czułem się, jak gdybym przysłuchiwał się jakiemuś obcemu językowi, tylko że pochodził on z moich własnych ust!"

Zdziwiony, zamyślony i trochę zaskoczony Bredesen biegł z gór. Ciągłe jeszcze mówił w tym języku. Na początku małej wioski siedział jakiś starszy człowiek na werandzie przed swoją chatką. Bredesen ciągle jeszcze mówił w tym języku, przy czym słowa wymawiał lekko i naturalnie. Wtedy ten starszy człowiek coś powiedział. Mówił szybko w jakimś języku. Kiedy stało się jasnym, że nie mogą się porozumieć, starszy człowiek powiedział po angielsku:

"Jakże pan może mówić po polsku i nie rozumieć tego?"

"Czy mówiłem po polsku?"

Człowiek zaśmiał się. Myślał, że Bredesen żartuje.

"Oczywiście! To był polski język!" powiedział.

Ale Bredesen nie żartował. Jeśli dobrze sobie mógł przypomnieć, to nigdy przedtem tego języka nie słyszał.

Gdy zadziwiony tą historią bębniłem palcami po stole, Bredesen opowiedział mi drugą, która wydarzyła się w holu pewnego nowojorskiego hotelu.

Bredesen brał udział w jakimś śniadaniu i pozostawił swój kapelusz na krześle w holu. Gdy śniadanie się skończyło, zamiast kapelusza zastał na tym krześle piękną, młodą dziewczynę.

Bredesen był jeszcze wtedy kawalerem i jego męskie instynkta sprawiły, że jego słowa nie ograniczyły się jedynie do formalnego: "Przepraszam, czy pani nie widziała tu mojego kapelusza?"

Dziewczyna zauważyła koloratkę i już po kilku minutach rozmawiali o sprawach religijnych. Po chwili młoda dama szczerze wyznała, że nie jest zadowolona ze swego życia religijnego. Wtedy Bredesen, powiedział, że też przeżywał podobny brak zadowolenia, ale że teraz znalazł nowy wymiar w życiu wiary przez mówienie językami.

"Przez co?" spytała dziewczyna.

"Przez mówienie w języku, który daje Bóg", powiedział Bredesen i opowiedział o swym przeżyciu. W oczach dziewczyny czytał niedowierzanie i jakby zatroskanie.

"Czy może pan mówić w tych językach zawsze gdy pan chce?" spytała i wydawało mu się, że odsunęła się na drugi koniec krzesła.

"Są one dane do modlitwy".

"Czy więc może pan modlić się w językach kiedy pan chce?"

"Tak. Czy chciałaby pani abym teraz tak się modlił?"

Dziewczyna rozejrzała się po holu. W jej oczach malował się strach.

"Nie chciałbym wprowadzać pani w zakłopotanie", powiedział Bredesen i pochylił głowę. Po krótkiej, cichej modlitwie zaczął wy-

mawiać słowa, których sam nie rozumiał. Dźwięki brzmiały twardo i pełno było "p" i "k". Gdy skończył, otworzył oczy i zobaczył, że twarz dziewczyny zrobiła się szara jak popiół.

"Co... co... ja pana rozumiałam! Wielbił pan Boga. Mówił pan w bardzo starym arabskim języku".

"Skąd pani to wie?" spytał Bredesen.

Dowiedział się, że była ona córką egiptologa, sama mówiła kilkoma współczesnymi językami arabskimi i studiowała język staroarabski.

"Pańska wymowa jest doskonała. Gdzież, u licha, nauczył się pan staroarabskiego?!"

Harald potrząsnął głową. "Nie uczyłem się", powiedział. "Nie wiedziałem nawet, że taki język istnieje".

Rozmowa z Bredesenem raczej wprowadziła mnie w zamęt niż by miała mi coś wyjaśnić. Napewno istniało jakieś logiczne wyjaśnienie tych historii, które mi opowiedział, w innym bowiem razie musiałyby to być wyraźne cuda, te zaś nie pasowały do dzisiejszego, znanego mi świata.

Bredesen opowiedział mi jak po swoim przeżyciu odkrył, że jest cała gałąź chrześcijaństwa, której charakterystyczną cechą jest mówienie językami. Chodziło mu przy tym o zielonoświątkowców, którzy swoją nazwę wzięli od Zielonych Świąt, w które to święta mówienie językami wystąpiło po raz pierwszy. Już kiedyś o nich słyszałem, ale nie poświęciłem im ani trochę uwagi. Uważałem ich za jedną z sekt, za zjawisko z marqinesu chrześcijaństwa.

Ale cóż to było za zjawisko z marginesu! W bibliotece dowiedziałem się, że na świecie jest 8,5 miliona zielonoświątkowców, z czego ponad dwa miliony w Stanach Zjednoczonych. Jedynie w mieście Nowy Jork jest 350 zielonoświątkowych zborów i misji, z których większość zajmuje pomieszczenia w małych, opuszczonych sklepikach w biedniejszych dzielnicach.

"Czy to nie jest dziwne", powiedziałem pewnego wieczoru do Tib przy kolacji, "że mogłem tyle lat pracować dla chrześcijańskiego, międzywyznaniowego czasopisma nie będąc nigdy na nabożeństwie u zielonoświątkowców?"

Postanowiliśmy zmienić tę sytuację. Bre-desen powiedział mi, że w Rock-Church, w zielonoświątkowym zborze na 60-tej ulicy po stronie wschodniej odbywa się w każdy wtorek wieczorem nabożeństwo. W najbliższy więc wtorek Tib postarała się o kogoś do pilnowania dziecka i spotkała się ze mną w mieście.

Było bardzo zimno, gdy wysiedliśmy z taksówki na rogu 62-giej ulicy i Third Avenue. Okolice tam jest ciekawa. Kiedyś była to jedna z najbiedniejszych dzielnic Nowego Jorku, aż do czasu gdy na Third Avenue zbudowano kolejkę naziemną. Teraz dzielnica ta przeobrażała się i była na najlepszej drodze do tego, by stać się jedną z najbardziej eleganckich dzielnic miasta. Stare sklepy z tandetą sprzedawały teraz antyki, a stary sklep z artykułami żelaznymi przekształcił się w wykwinny sklep z artykułami odlewany-
mi z brązu i stali. Jakiś podupadły, stary mężczyzna pchał wózek dziecienny po ulicy pełen szmat i butelek. Obok niego spacerowała

jakaś dama z trzema pudłami ubranymi w płaszczyki.

Sala zboru znajdowała się w budynku z białej cegły, który kiedyś musiał być domem mieszkalnym. Sala była od wewnątrz świeżo pomalowana na kolor pastelowo-niebieski. Za podium dla chóru wentylatory heroicznie usiłowały utrzymywać świeże powietrze. Nie było tu wcale inaczej niż w całych tuzinach innych małych kościółków, w których już bywałem, za wyjątkiem chyba tylko tego, że sala była tak pełna, że mieliśmy kłopot ze znalezieniem miejsc siedzących.

"Czegoś takiego we wtorkowe popołudnie jeszcze nigdy nie widziałam", szepnęła Tib.

Daleko w tyle znaleźliśmy jeszcze dwa miejsca siedzące i zaczęliśmy się rozglądać. Zbór był mieszaniną wielu więcej warstw społecznych niż to ma miejsce w innych zborach. Widać było futra z norek, a obok nich niebieskie garnitury z drelichu. Dostrzegłem też między ławkami wiele mundurów. Było kilka pielęgniarek z pobliskiego szpitala, kilka dziewcząt wyglądających na wychowawczynie z przedszkoli. Niektóre z nich zapewne jeszcze przed godziną pchały spacerowy wózek z dzieckiem. Był też jakiś szofer w liberii. Mniej więcej co piąty człowiek był murzynem.

Nie mogłbym powiedzieć czy nabożeństwo się już zaczęło, czy nie. Zgromadzenie wydawało się być skupione i pełne oczekiwania, ale nikt mu nie przewodził i nie było też żadnego ustalonego porządku nabożeństwa. Jakaś kobieta przed nami nagle głośno zawołała: "Wspaniały Jezu!" Później śpiewnie westchnęła i ze wszystkich stron sali rozległy

się jakby potwierdzające westchnienia. Obok nas siedziała z podniesioną głową jakaś murzynka. Oczywiście miała zamknięte. Teraz podniosła powoli obie ręce dłońmi na zewnątrz, jak gdyby otrzymywała z powietrza niewypowiedziane błogosławieństwa. I oto w całej sali podniosły się ręce. Dłonie otwierały się w tym samym geście przyjmowania. Nagle, z drugiego końca sali rozległ się męski głos: "Chwała Panu!"

Aspekt psychologii mas zafascynował mnie. Dotychczas słyszałem tylko o psychozie grup, ale wszedłem do tej sali nie wiedziałem, że coś takiego istnieje rzeczywiście. Była jakaś nie dająca się zdefiniować więź, jakaś prawie odczuwalna jedność między poszczególnymi ludźmi w tej sali. Była to jedność żywa, organiczna, a nie taka, jaka powstaje przez zapowiadanie np. przewodnika zgromadzenia. Ta jedność powstawała w wyniku jakiejś wewnętrznej więzi, tak jak to się dzieje z komórkami tworzącymi żywy organizm.

Od czasu do czasu ktoś wstawał i bocznym przejściem szedł do przodu sali i w końcu znikał gdzieś w jakimś innym pomieszczeniu, do którego wejście znajdowało się gdzieś za kazalnica. Po chwili i ja zostałem ogarnięty tą lekką, swobodną atmosferą. Schyliłem się do Tib i spytałem czy nie poszłaby ze mną na przód zobaczyć co jest za tymi drzwiami.

"Chodźmy", powiedziała.

Znaleźliśmy się w pokoju o powierzchni 5m², wyłożonym brązowym dywanem. Dookoła, wzdłuż trzech ścian stały krzesła z pros-

tymi oparciami. Poza tym nie było już żadnych mebli. Używano dziesięciu, albo dwunastu krzeseł, ale nie w tym celu aby na nich siedzieć, lecz każde z nich było osobistym ołtarzem. Przed każdym z nich klęczał ktoś opierając ręce o siedzenie. Ażeby nie sterczeć jak topole, także i my uklękaliśmy. Był to niepotrzebny gest, gdyż inni nawet nas nie dostrzegali. Wszyscy modlili się cicho. Od czasu do czasu łowiłem słowo Jezus. Gdy jednak przysłuchiłem się dokładniej, zauważyłem, że większość nie modli się po angielsku! Dziwne połączenia dźwięków i obce rytmy pulsowały w koło nas. Wydawało się, że każdy modli się dla siebie, a mimo to całość składała się na wspólne uwielbienie. Szum modlitw to wzmacniał się, to znów przyciszał.

"To musi być modlenie się w językach", szepnąłem do Tib.

Byliśmy w tym pomieszczeniu może kwadrans. Po pięciu minutach moje kolana nieprzyjemnie odczuwały twardą podłogę poprzez cienki dywan, ale inni modlili się dalej nie zwracając uwagi na takie niewygody. A później nagle, jak na jakiś szczególny znak, głosy zatrzymały się.

Rozejrzałem się. Nikt nie wszedł. Nie można było zauważyć żadnego powodu, który dla każdego mógłby mieć ten sam skutek. A mimo to wszyscy jak jeden mąż przestali się modlić. Pewna starsza kobieta podniosła się powoli z kolan i opuściła pokój nie odzwyczajając się do nikogo. Także jakiś mężczyzna wstał i wyszedł. Później już jedni po drugich wracali do sali, gdzie było zgro-

madzenie. Także i my wstaliśmy i wróciliśmy na swoje miejsca ucieszeni, że zarezerwowaliśmy je sobie poprzez pozostawienie na nich śpiewników.

Teraz na kazalnicę weszła silnie zbudowana kobieta i podała numer pieśni ze śpiewnika. Co to był za śnieg! Cała sala wybuchła śpiewem. Potężny mężczyzna obok nas śpiewał tak, jak gdyby honor całego zboru jedynie od tego zależał. Śpiewał basem. Niebyle to może nuty basu zapisane w śpiewniku, ale jednak dźwięki, które zupełnie dobrze harmonizowały z tymi, które zapisał kompozytor. A kobiety obok nas po prawej stronie jakby wcale nie było. Śpiewała z zamkniętymi oczami lekko kołysząc się, całkowicie nogażona w śpiewaniu.

Ta część podobała mi się mimo przeładowania uczuciowego. Gdy zaczęliśmy śpiewać /mówię "my", ponieważ Tib i ja śpiewaliśmy tak samo głośno jak inni/ "Jak błogo wiedzieć", stało się coś, czego nigdy przedtem nie przeżyłem. Dyrygent chóru kazał nam powtarzać refren. Śpiewaliśmy ciągle na nowo: "Chcę sławić Zbawcę swego do zgon, Bo gdzież Zbawiciel większy niż ON!?" Zamiast stawać się monotonnym, powtarzanie sprawiało coraz większy entuzjizm i widać było, że każdy jest w nie zaangażowany.

Później, w środku pieśni zaczęto klaskać w ręce. Nie było to zwykłe poklaskiwanie, lecz skomplikowany rytm wybijany raz na słabych, a raz na mocnych częściach taktu, przetrkany słabymi synkopami, które wolatały się w muzykę. Wszystko to wykraczało daleko poza to, do czego byliśmy przyzwyczajeni.

Nie braliśmy w tym udziału. Zauważyłem jednak, że czubek prawego buta Tib zachowywał się tak samo zielonoświątkowo, jak u wszystkich innych.

Śpiew nie urwał się raptownie, lecz powoli zanikał, a tu nagle gdzieś z przodu jakiś mężczyzna zaczął mówić bardzo głośno w języku, którego nie rozumiałem. Tradycja, której od dawnych generacji podlegałem sprawiła, że zadrżałem wobec tego głosu, jakby żywcem przeniesionego ze stadionu do kościoła. Ale nikt poza mną nie wydawał się być tym zgorzszony. W sali zapanała cisza. Gdy ten człowiek skończył ciągle było cicho. Sala trwała w napięciu jak gdyby jeszcze czegoś oczekując. A później z innego rogu sali słychać było inny głos. Ten człowiek mówił po angielsku, ale takim samym wysokim, ekstatycznym tonem jak ten, który poprzednio mówił w innym języku. Było to wezwanie do oczekiwania "w tych dniach wielkich rzeczy".

"Pan uczynił wielkie rzeczy", wołał ten głos. "On dał swoją obietnicę i będzie jej wierny w ostatnich dniach..." I tak jeszcze przez chwilę mówił w podobnym stylu.

Zwróciłem się do mojego sąsiada i spytałem co to miałyby oznaczać.

"On wykłada", usłyszałem w odpowiedzi. Gdy później lepiej zapoznałem się z teologią zielonoświątkowców, odkryłem, że dar wykładania jest traktowany na równi z darem języków, ba! że jest traktowany jako dar przynależący do daru języków i na równi z darem języków powinien być pożądanym.

"Wykład" ma przedstawiać sens poselstwa przedtem podanego w niezrozumiałym języku

i różni się tym od tłumaczenia, że ten, który wykląda też nie rozumie poselstwa w obcym języku - podobnie jak ten, który je przekazywał. Temu, który wykląda treść poselstwa zostaje objawiona w tajemniczy sposób i wtedy wstaje, aby podzielić się nią ze zborem. Owego wieczoru jednak - tak jak już wspomniałem - nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, że za każdym razem, gdy ktoś mówił w językach tak głośno, że słyszała go cała sala /a tak się stało trzykrotnie/, natychmiast wstawał ktoś inny i mówił do wszystkich po angielsku.

Kazanie trwało tego wieczoru 40 minut. Tekst traktował o przejściu Mojżesza przez Morze Czerwone. Dość przeciętne kazanie, tylko zauważyłem, że kaznodzieja bardzo korzystał z poparcia ze strony słuchaczy, o wiele bardziej, niż widziałem to wszędzie dotychczas. Jego wypowiedzi były przerywane przez słuchaczy potwierdzającymi wykrzyknikami jak: "tak bracie!", czy "amen!", albo nawet "alleluja!", którego to słowa - poza muzyką wielkanocną - nigdy przedtem nie spotkałem w użyciu. Gdy kaznodzieja wywiódł jakąś myśl, która przemawiała do zgromadzenia, rozgrzewał się i wtedy rozciągał ją. Czynił podobnie jak dyrygent chóru, który ciągle kazał powtarzać refreny śpiewanych pieśni.

"Przeszedł przez morze! Tak, Mojżesz przeszedł przez morze. Wody rozdzieliły się, a on przeszedł przez środek. Mojżesz przeszedł przez morze!"

Kazanie skończyło się. Latarnie uliczne świeciły przez drzwi wyjściowe gdy ludzie

opuszczali salę. Gdy walczyłem z moim płaszczem, stwierdziłem, że w ten wtorkowy wieczór siedzieliśmy przez trzy godziny na nabożeństwie! Na dworze było ciemno. Wypielegnowane pudle popędzono już dawno do domu na kolację.

W drodze do domu zajmowało nas pytanie, co mamy sądzić o tym wieczorze. Zewnętrzny obraz tego wszystkiego co się tam odbywało przypominał nam pobyt na jakimś święcie w nieznanym kraju. Ale za tym się jeszcze coś kryło, coś ekscytującego. Odczuwałem coś pociągającego i zarazem potężnego, ale także towarzyszyło mi zakłopotanie z tego powodu, że ludzie potrafili tak niepohamowanie okazywać swe uczucia przed innymi, a w końcu również nie wiedziałem co sądzić o tych wszystkich niezwykłych formach.

Wychodząc ze zboru spytałem kaznodzieję skąd bierze się taka szczególna forma nabożeństwa.

"Z Biblii", odpowiedział. "Ostatnie wersety 14-stego rozdziału pierwszego listu do Koryntian".

W domu już odszukaliśmy w Biblii to miejsce usadowiwszy się w naszym mieszkaniu przy kominku. Były tam słowa Pawła, jak gdyby napisane o tym właśnie wieczorowym nabożeństwie: "Cóż tedy bracia? Gdy się schodzicie jeden z was służy psalmem, inną nauką, inną objawieniem, inną językami, inną ich wykładaniem; wszystko to niech będzie ku zbudowaniu. Jeśli kto mówi językami, niech to czyni dwóch, albo najwyżej trzech i to po kolei, a jeden niech wyklada; a jeśliby nie było nikogo ktoby wykladał, niech mil-

czą w zborze, niech mówią samym sobie i Bogu... Tak więc, bracia moi, starajcie się gorliwie o dar proroctwa i językami mówić nie zabraniajcie. A wszystko niech się odbywa godnie i w porządku"/1.Kor.14,26-28.39-40/

Gdy Tib poszła już do góry, siedziałem jeszcze przez chwilę sam w pokoju rozświetlanym od czasu do czasu przez migotanie dogasającego w kominku ognia. Wydało mi się, że moje przeżycie z Chrystusem jest trochę podobne do tego ognia. Mój stosunek do Niego był przez jakiś czas jak płomień. Teraz ten płomień dogasał.

Czyżby paliwo tego pierwszego, jednego przeżycia miało się wypalić i czyżby miało po nim pozostać jedynie zimno?

Przeczytałem Dzieje Apostolskie i wiedziałem, że stosunek chrześcijan pierwszego kościoła do Chrystusa nie oziębiał się. To samo odnosiło się do zielonoświątkowców zebranych w ten wtorkowy wieczór w ich śmieszonym małym kościółku. Przy wszystkich odmiennościach ich nabożeństwa wydawało mi się jednak, że ci ludzie rzeczywiście przeżywali obecność Chrystusa i społeczność z Nim. Mogłem to ocenić, ponieważ sam przecież doświadczyłem tej społeczności kiedyś w szpitalu. Może ich język był inny i zachowanie się odmienne - ale gdy się patrzyło poza to wszystko, gdy się patrzyło na ich twarze, a nie na ich maniery, wtedy było widać radość i życie.

Nieoczekiwany Świadek

Następnego poranka padał śnieg, wiał wiatr i było bardzo zimno. Około dziesiątej wyszedłem z chłopcami aby odrzucić śnieg z drogi, przygotowując ją w ten sposób na przyjeście listonosza. Wczorajsze, ciekawe przeżycie wydawało się być już jakieś dalekie. Podczas machania szuflami opowiadałem Scottowi i Donnowi o nabożeństwie, na którym byliśmy. W ich wieku /9 i 6 lat/ najbardziej dziwnym wydał im się fakt, że ktoś poszedł do kościoła chociaż nie było niedzieli!

Miałem oddać listonoszowi kilka listów, więc ustawiłem w oknie na dole trzyletnią Elisabeth aby na niego uważała, a sam poszedłem do swego biura na poddaszu. Szkoła, do której chodzili chłopcy była zamknięta z powodu dużego śniegu. Chodząc po pokoju przysłuchiwałem się grze w monopol i zmianom szczęścia tam na dole jej towarzyszącym. Nagle pomyślałem sobie, że dzieci miały rację. To wczorajsze nabożeństwo było naprawdę niedorzeczne. To wstawanie i głośne mówienie w czasie nabożeństwa było niesłychane. Podnoszenie rąk ponad głowę było po prostu śmieszne. Miałem rację jeśli chodziło o moje pierwsze wrażenie: było to po prostu ciekawe studium psychologii grup.

"Idzie!" zawołała podniecona Elisabeth dojrzwawszy listonosza.

Zszedłem na dół i wymieniłem z nim pocztę. Pierwszy list jaki mi podał miał stempiel z Mount Vernon i wiedziałem, że pochodzi od

Haralda Bredekena. Teraz byłem już jednak bardziej trzeźwy jeśli chodzi o zjawiska z tamtego świata i - gdy znów poszedłem do qórv - schowałem ten list na sam środek, pod wszystkie inne listy. W końcu jednak jeszcze tylko ten list leżał przede mną na stole. Otworzyłem go bez entuzjazmu. Zawierał kilka kartek z czasopisma "Life", a na pierwsze z nich znalazłem nabazgraną notatkę: "Sądzę, że pana to zainteresuje. H.B."

Notatka zainteresowała mnie częściowo dla tego, że artykuł napisany był przez człowieka, którego znałem: Dr. Henry Pitney Van Dusen, ówczesnego prezydenta Union-Theological Seminary w Nowym Jorku. Dr. Van Dusen pisał o tym, co nazywał "trzecią notęgą chrześcijaństwa" i artykuł jego traktował częściowo o zielonoświątkowcach.

Cóż może powiedzieć prezydent jednego z największych ośrodków intelektualnych kraju o tych ludziach na wyjątkowo niskim poziomie intelektualnym? Dolałem sobie resztkę kawy, która po śniadaniu została w dzbanku i zacząłem czytać o podróży po świecie, którą Dr. Van Dusen właśnie zakończył. Odwiedził on 20 krajów i w każdym z nich rozmawiał z przywódcami tradycyjnych protestanckich kościołów. Wszędzie spotkał się z takim samym głębokim zaniepokojeniem z powodu niesłychanego wzrostu "nonkonformistycznych" społeczności religijnych - szczególnie ruchu zielonoświątkowego.

"Czy pana troska wynika z tego", pytał pewnego biskupa anglikańskiego, "że te nowe ruchy docierają do ludzi, do których pan sam nie może dotrzeć, czy z tego, że odciągają

one członków pańskiego kościoła?"

"Z obu tych powodów", nadła odpowiedź.

Gdy Dr. Van Dusen w końcu obracał materiały zebrane podczas tej podróży, mówił już o "trzeciej, potężnej gałęzi chrześcijaństwa", która dumnie wyrasta obok dwóch innych gałęzi: katolicyzmu i protestantyzmu. A w centrum tej "trzeciej potęgi" zajmowało miejsce przebudzenie zielonoświątkowe.

Dr. Van Dusen pisał:

"Jest kilka przyczyn, które tę trzecią potęgę uczyniły niezwykle, religijnym fenomenem naszych czasów. Te grupy religijne zwiastują wyraźne, łatwe do zrozumienia przesłanie biblijne. Zazwyczaj obiecują też natychmiastowe, przekształcające życie przeżycie z Bogiem w Chrystusie, co dla wielu ludzi jest o wiele ważniejsze niż wersja, którą znaleźć można w konwencjonalnych kościołach.

Szukają bezpośredniego kontaktu z człowiekiem w domach, na ulicy, czy gdziekolwiek i nie czekają aż ludzie przyjdą do kościoła. Są oni wypełnieni duchową gorliwością, która nieraz - ale w żadnym wypadku zawsze - ma przesadnie uczuciowy charakter. Nad swoimi nowonawróconymi opiekują się poprzez pielęgnowanie społeczności w małych grupach: typowa cecha każdego prawdziwego przebudzenia chrześcijańskiego od czasu, gdy Duch Święty zstąpił w pierwsze Zielone Święta na uczniów. Z wielkim naciskiem podkreślają wagę Ducha Świętego, co tradycyjni chrześcijanie tak bardzo zaniedbują, jako bezpośrednio, potężnej obecności Bożej tak w duszy jednego człowieka, jak i w całej chrześcijań-

skiej społeczności. Przede wszystkim oczekują, że ich członkowie będą praktykować aktywnie i wytrwale „siedem dni chrześcijaństwa na tydzień”. Jeszcze niedawno inni protestanci uważali ten ruch za zjawisko czasowe i przemijające, niezasługujące na większą uwagę. Teraz jednak lepiej znano prawdziwe rozmiary tego ruchu i jego żywotności. Tendencja do lekceważenia jego poselstwa jako niedostatecznego robi miejsce tłumionej jeszcze chęci zbadania tajemnicy jego potężnego oddziaływania”.
/“Life”, 6 czerwiec 1958 r./

To były stwierdzenia godne uwagi.

Chciałem dowiedzieć się więcej. Zaraz napisałem więc do Dr-a Van Dusen.

Po około dziesięciu dniach wraz z Tib odwiedziliśmy go. Miało to dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ mój ojciec wykładał w Union Theological Seminary aż do śmierci. Gdy teraz siedzieliśmy w pokoju mogłem przez podwórko widzieć dawne biuro ojca. Za rogiem było stare mieszkanie moich rodziców, gdzie przez sześć lat w każdą niedzielę bywaliśmy z dziećmi. Te odwiedziny wywoływały dużo minionych wspomnień.

Dr. Van Dusen musiał widocznie spojrzeć co oznaczał ten „powrót do domu” dla Tib i dla mnie, gdyż zadał sobie wielki trud przygotowania herbaty; trud, ponieważ jego żona i służąca gdzieś wyszły. Sam więc przygotował herbatę. Usiadł naprzeciw nas i trochę jej skosztował.

„Za mocna”, powiedział i potrząsnął głową. „Mam trochę „ginger-ale””. Skrzywił się i odstawił ją. „Proszę poczęstować się odro-

biną keksa", powiedział. "Cieszę się, że was widzę. Wiecie napewno, że zielonoświątkowcy bardzo mnie zainteresowali".

Dr. Van Dusen opowiedział nam o swej podróży na Wyspy Karaibskie gdzie pierwszy raz był na nabożeństwie zielonoświątkowym.

"Wie pan", powiedział, "to straszne oskarżenie, że prezydent Union Theological Seminary musiał jechać aż na Wyspy Karaibskie aby być pierwszy raz na nabożeństwie zielonoświątkowym! Aż mi się włosy jeżą!"

Dr. Van Dusen odniósł wtedy różnorakie wrażenia. Pierwsze było szczególne.

"Czułem się tam jak w domu", powiedział. "Mimo olbrzymie różnice - a były one rzeczywiście duże - czułem się jak u siebie. Wydawało mi się, że cofnąłem się do prymitywnego, ale bardzo żywego, chrześcijańskiego przeżycia. Osobiście uważam, że Piotr, Barnabasz i Paweł czuliby się na dobrym zielonoświątkowym nabożeństwie lepiej, niż na formalistycznych, liturgicznych nabożeństwach w wielu naszych kościołach dzisiaj".

Odniosł też wtedy pewne wrażenia jeśli chodzi o języki. Tak samo jak my obserwował, przysłuchiwał się i był zafascynowany, gdy niektórzy modlili się "w Duchu".

"Wydawało mi się", powiedział, "że to mówienie językami było rodzajem duchowej terapii. Było czymś niesłychanie ciekawym gdy się je słyszało po raz pierwszy. Jedno wrażenie jest jednak silniejsze od wszystkich innych. Wydaje mi się, że było to bardzo zdrowego rodzaju danie swobody uczuciom mówiącego w językach. Ludzie, których obserwowałem jak mówili

językami było później jakby lepiej; byli rozwiązani i rozładowani".

"Sam nigdy tego przeżycia nie miałem", ciągnął Dr. Van Dusen "ale mogę je sobie najlepiej wyobrazić, gdy przywołam sobie niektórych naszych wielkich poetów. Osiągają oni często pewien punkt, kiedy nie przekazują już myśli dających ogarnąć się rozumem. Np. Blake, Auden i Gerard Manley Hopkins. Wszyscy oni zapisali zupełnie irracjonalne zdania. Nie mają one żadnego sensu. Wydaje mi się, że rzecz ma się tak samo jeśli chodzi o irracjonalny charakter języków. Serce ludzkie osiąga w końcu taki punkt, w którym słowa i to co człowiek określa słowami już nie wystarcza aby wyrazić wszystko to, co chciałoby zostać wykrzyczane i wypowiedziane".

Byłem zaskoczony nową, z jaką o tym wszystkim mówił. Dopiero jednak na krótko przed naszym wyjściem Dr. Van Dusen stwierdził coś, co stało się dla mnie miarodajne i co doprowadziło mnie do podjęcia decyzji zbadania wszystkiego, co tylko jest dostępne na temat ruchu zielonoświątkowego.

Był już najwyższy czas aby wyjść. Tib stała już, ale Dr. Van Dusen jeszcze siedział; miał coś jeszcze do powiedzenia.

"Jestem teraz już przekonany", powiedział dobierając troskliwie słowa, "że ruch zielonoświątkowy, wraz z podkreślaniem przez ten ruch znaczenia Ducha Świętego jest czymś więcej niż tylko kolejnym przebudzeniem. Ruch ten jest rewolucją w naszych czasach, którą można porównać z założeniem Kościoła anostolskiego i z reformacją protestancką.

Potrzebowałem jakiegoś czasu aby pojąć znaczenie tych słów. Dr. Van Dusen rzekł, że to przebudzenie - reprezentowane przez podnoszące ręce, klaszczące, mówiące językami małe zbory, takie jak ten, który wraz z Tib odwiedziłem nowego wtorkowego wieczoru - nie jest porównywalne nawet z założeniem jednej z największych protestanckich denominacji jak np. prezbiterianie, albo metodyści! Taki ruch porównał z protestantyzmem, a nawet z katolicyzmem.

Gdy jechałem z Tib do domu, kręciło nam się w głowach. Jakże to było możliwe, aby Dr. Van Dusen porównał ruch zielonoświątkowy z założeniem pierwszego kościoła!? Czy reprezentował tylko sam taki pogląd? W ciągu następnych tygodni dużo czytałem na ten temat i już podczas tego powierzchownego studium odkryłem dwie ważne sprawy.

Po pierwsze, dowiedziałem się, że ruch zielonoświątkowy jest o wiele bardziej rozległy niż przedtem myślałem. Należy do niego bowiem nie tylko te 8 milionów członków zborów zielonoświątkowych, ale - co ma jeszcze większe znaczenie - też nieoszacowana liczba członków tradycyjnych kościołów, zarówno katolickich jak i protestanckich. Ludzie ci przeżywają wśród siebie to samo objawianie się jakiejś nadnaturalnej, niepojętej mocy.

A po drugie, odkryłem, że Dr. Van Dusen nie był odosobniony w ocenie tego zjawiska. Cały szereg wiodących osobistości, zarówno w kościele katolickim jak i w kościołach protestanckich wyrażało podobną opinię. Sporządziłem sobie listę tych nazwisk i u-

porządkowałem ją pod hasłem "historie językowe" w swoich notatkach. Pewnego dnia chciałem z nimi porozmawiać.

Istniała tylko trudność tego rodzaju, że te badania groziły zajęciem mojego czasu tak, jak chyba nie mógłbym sobie na to pozwolić. Temat ten fascynował mnie, ale istniały przecież zobowiązania dla czasopism, które miały decydujący wpływ na nasze zarobki. Byłem więc w rozterce, ponieważ zrozumiałem, że natknąłem się na wielką "story", z którą każdy pisarz spotyka się tylko raz. I w całej tej sprawie nic nie mogłem zmienić.

Później stało się coś, co zupełnie zmieniło sytuację. Kiedyś opowiedziałem u sąsiadów jak Bredesen mówił po polsku. Historia ta wydała mi się być dobrym materiałem do rozmowy podczas jedzenia. Niezależnie od tego jakie wywoływała wybuchy oburzenia czy wesołości, historia ta wydawała się zawsze interesować ludzi. Tego wieczoru jednak, w towarzystwie był jakiś człowiek, którego nigdy przedtem nie widziałem : Sam Peters. Gdy wstaliśmy od stołu Peters odrowadził mnie na bok.

"Wie pan", powiedział, "jestem zafascynowany tą historią. Chciałbym posłuchać więcej. Czy nie zechciałby pan przyjść do mojego biura?"

Okazało się, że Peters pracował dla jakiegoś wydawnictwa. Odwiedziłem go w jego biurze na Manhattan, a po kilku tygodniach doszło do tego, że podpisałem umowę dotyczącą napisania książki o całym zjawisku języków i jego znaczeniu. Wydawnictwo pokryło koszt badań.

"Chciałbym jeszcze wyjaśnić", powiedziałem kończąc rozmowę z Petersem. "Mówi pan zawsze ,pańskie języki'. To nie są moje języki panie Peters i nigdy moimi nie będą". Jestem zainteresowany, jestem zaciekawiony, ale nie ulegam. Jestem - jak pan wie - episkopalianinem i sądzę, że tworzymy przyjemną społeczność".

Peters uśmiechnął się.

"Wiem. Nikt nie wymaga, aby pan się poddawał. Niech pan dokona tylko dobrego opisu. Więcej nie pragniemy".

"Dobrze", powiedziałem. "W takim razie rozumiemy się. Zawsze twierdziłem, że najlepszym reporterem jest ten, kto potrafi utrzymywać dystans".

Stone's Folly

Z początku sądziłem, że utrzymywanie dystansu w stosunku do tych ludzi jest rzeczą niesłychanie prostą.

Siedziałem w wielkiej czytelni Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, przede mną leżał stos dawno już wyczerpanych książek, a świat, który się przede mną otworzył był tak daleki od świata mojego przedmieścia jak to tylko możliwe. Najpierw próbowałem dociec kto po raz pierwszy w nowożytnych czasach mówił językami. Jednym z pierwszych kandydatów był jakiś górnik, następnym jakiś wędrowny kolorowy kaznodzieja, innym znów jakiś człowiek, który prowadził szkołę nie pobierając opłat za nauczanie. Znaleźli się w tej kompanii jacyś Indianie z Chile, afrykańscy autochtoni, bariasi w Indii... Tib określiła przepaści, jakie dzieliły nas od tych ludzi.

"Ani jeden z nich", powiedziała, gdy opowiedziałem jej o wynikach moich dociekań, "nigdy nie zatroszczył się o robaka na swojej murawie".

Miała rację. Niewielu z nich miało pole, o które mogliby się troszczyć, a jeden, który miał łakę wprowadził na nią krowę i kazał jej się tam paść.

Działo się to w Stanach Zjednoczonych w roku 1900. Młody kaznodzieja metodystyczny, Charles F. Parham zdecydował się uczynić coś dla swojego życia religijnego.

Przeczytał Dzieje Apostolskie i listy Pawła i porównał słabość swojej własnej służby z mocą, jaka się tam objawiała. Gdzie byli jego nowonawróceni? Gdzie cuda? Gdzie uzdrowienia? Napewno - mówił sobie Parham - chrześcijanie pierwszego wieku znali jakąś tajemnicę, której nie znał ani on, ani jego kościół.

W październiku roku 1900 Parham wstąpił na drogę odkrywania tej tajemnicy.

Było dla niego rzeczą jasną, że do tego konieczne jest gruntowne studiowanie Biblii, gruntowniejsze niż jest się w stanie na nie zdobyć. Zdecydował się więc na otwarcie szkoły biblijnej, w której miał zostać jednocześnie kierownikiem i studentem. Nie chciał pobierać żadnych opłat za nauczanie. Każdy student miał się w miarę własnych możliwości przykładać do wydatków.

Najpierw należało znaleźć jakieś pomieszczenie za niską odpłatnością, albo bezpłatne. Taki budynek Parham znalazł w Topeka, Kansas. Jakiś mieszczanin z Topeki o nazwisku Stone zaczął sobie budować dworski dom. W środku budowy skończył mu się pieniądze. Parter był wspaniały: rzeźbione schody, porządne kominy, drogie boazerie. Góra natomiast zrobiona była z najtańszego drewna świerkowego. W okolicach Topeki budynek ten znany był pod złośliwą nazwą "Stone's folly"*.

Charles Parham wprowadził się do Stone's folly i ogłosił, że powita serdecznie każdego, kto zechce wspólnie z nim studiować Nowy Testament. Zjawiło się czterdziestu studentów. Musieli oni dostarczyć więcej

*Stone's folly - głupota Stone'go

materiału do złośliwych rozmów w okolicy niż kiedyś sam Stone. Przyjechali dwukołowymi wózkami, wozami z plandekami, przyszli piechotą, a towarzyszyli im żony i dzieci. Przywieźli z sobą wszystko, co im było potrzebne do życia i wkrótce w ogrodzie za wspaniałym dworkiem Stone'go wisiały pieluchy na sznurku, a na łące przed domem pasła się krowa.

Charles Parham zdawał sobie wyraźnie sprawę z tego w jakim kierunku miało zmierzać ich studiowanie. Od pięćdziesięciu już lat protestanci zwracali uwagę z coraz większym zainteresowaniem na pewne przeżycie religijne, które zazwyczaj pojawiała się w jakiś czas po nawróceniu i dawało się umiejscowić w dniu i godzinie. Niektórzy nazywali je "wtórnym działaniem łaski", niektórzy "drugim błogosławieństwem", inni znów "uświęceniem". W przeżyciu tym sprawą istotną było spotkanie z Duchem Świętym.

Obietnica jakiegoś nowego stosunku do Ducha Świętego wieje się jak czerwona nić przez Nowy Testament. Już w pierwszych rozdziałach Ewangelii jest on zapowiadany. Żydzi myśleli przez pewien czas, że Jan Chrzciciel mógł być tym obiecany Mesjaszem. Ale Jan powiedział im: "Idzie za mną mocniejszy niż ja, któremu nie jestem godzien, schyliwszy się, rozwiązać rzemyka u sandałów jego".

"Ja" - mówił - "chrzcilem was wodą, On zaś będzie was chrzczył Duchem Świętym". /Mk.1,7-8/ Chrzczenie Duchem Świętym będzie znakiem rozpoznawczym Mesjasza, powiada Jan.

Pod koniec swego życia ziemskiego Chrystus zaczął coraz bardziej akcentować zna-

czenie Ducha Świętego. Miał On być Poczci-
szycielem uczniów, miał być przy nich w smu-
tku, wprowadzać ich we wszelką prawdę,
i w ogóle zająć jego miejsce, gdy Sam ich
miał opuścić. Po swym ukrzyżowaniu Chrystus
ukazał się swoim uczniom i kazał im pozas-
tać w Jerozolimie.

"A spożywając z nimi posiłek nakazał im:
nie oddalajcie się z Jerozolimy, lecz oczekujcie obietnicy Ojca, o której słyszeliście
ode mnie; Jan bowiem chrzcił wodą, ale wy
po niewielu dniach będziecie ochrzczeni Du-
chem Świętym". /Dz.Ap.1,4-5/

I oto uczniowie czekali tak, jak im było
przykazane. A później:

"A gdy nadszedł dzień Zielonych Świąt by-
li wszyscy razem na jednym miejscu. I pow-
stał nagle z nieba szum, jakby wiejącego
gwałtownego wiatru i napełnił cały dom gdzie
siedzieli. I ukazały im się języki jakby
z ognia, które się rozdzieliły i usiadły na
każdym z nich. I napełnieni zostali wszyscy
Duchem Świętym i zaczęli mówić innymi języ-
kami tak, jak im Duch poddawał". /Dz.Ap.2,1-4/

To napełnienie Duchem Świętym było chwilą
narodzin kościoła. Kościół był nowy, mały
i otoczony wrogami, a mimo to miał on moc
uzdrowiania, przekonywania, rozszerzania
się... Zbory, które z biegiem czasu rozwi-
nęły się, zachowały w swej tradycji ślad
tej dawnej zależności od owego szczególne-
go napełnienia Duchem Świętym, jako źródła
ich mocy. Rzymskokatolicy, Luteranie, Ebi-
skopianie wyrażają w swoich nabożeństwach
komunijnych, czy konfirmacyjnych myśl, że
konfirmant w tym momencie otrzymuje szcze-

gólny dar mocy, aby mógł stać się żywym chrześcijaninem.

Ale takie grupy jak wesleyańscy Metodysci, czy tzw. "uświęceniowcy", wskazują na to, że ceremonia konfirmacji, czy bierzmowania jest tylko rytuałem, który nie udziela żadnej mocy. Kładą oni nacisk na chrzest Duchą, jako na przeżycie, które nie przychodzi automatycznie, lecz jako na takie, do którego trzeba tak długo dążyć, dopóki nie uzyska się pewności, że jest się napełnionym Duchem Świętym.

Ale jak można tę pewność uzyskać? Niektórzy mówili, że niema na to żadnego bezpośredniego dowodu. Należy wiarą jedynie przyjąć fakt, że jest się ochrzczonym. Inni mówili, że można być pewnym otrzymania Ducha Świętego wtedy, gdy posiada się pełną swobody moc w modlitwie. To był jednak trochę niewyraźny znak. Zadanie, które postawił sobie Charles Parham i jego studenci polegało na tym, aby znaleźć godne zaufania kryterium.

W Stone's folly Charles Parham i jego przyjaciele wypełniali czas czytaniem Biblii, zmywaniem naczyń, dojeniem krowy, modlitwą i poszukiwaniem takiego właśnie nowego dowodu na obecność Ducha Świętego.

W grudniu Parham musiał wyjechać na trzy dni. Zanim opuścił Topekę udzielił swoim studentom pewnej wskazówki.

"Gdy mnie tu nie będzie", powiedział, "chciałbym abyście czytali Dzieje Apostolskie. Studiujcie każdy urywek, który opowiada o pierwszych przeżyciach chrztu. Sprawdźcie, czy nie da się znaleźć coś sta-

tego, jakiś wspólny mianownik".

Po powrocie zastał całą szkołę w wielkim podnieceniu. Studenci, z których każdy pracował samodzielnie, doszli wszyscy do tego samego wniosku. W pięciu różnych opisach odnoszących w Dziejach Apostolskich o pierwszym otrzymaniu chrztu Ducha odkryli wzmiankę /bezpośrednią, lub dającą się odczytać z kontekstu/ o występowaniu dziwnego zjawiska zwanego "mówieniem językami".

Pierwszy raz miało to miejsce w same Ziemie Święte:

"I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym i zaczęli mówić innymi językami tak, jak im Duch poddawał". /Dz.Ap.2,4/

Drugi raz było tak w Samarii:

"A gdy apostołowie w Jerozolimie usłyszeli, że Samaria przyjęła Słowo Boże, wysłali do nich Piotra i Jana, którzy przybywszy tam modlili się za nimi aby otrzymali Ducha Świętego. Na nikogo z nich bowiem nie był jeszcze zstąpił, lecz tylko ochrzczeni byli w imię Pana Jezusa. Wtedy wkładali na nich ręce, a oni otrzymywali Ducha Świętego. A gdy Szymon spostrzegł, że Duch bywa udzielany przez wkładanie rąk apostołów przyniósł im pieniądze i powiedział: dajcie i mnie tę moc, aby ten, na kogo ręce włożę otrzymał Ducha Świętego". /Dz.Ap.8,14-19/

Po raz trzeci było tak w Damaszku, gdy Paweł otrzymał ten chrzest:

"I poszedł Ananiasz i wszedł do domu, włożył na niego ręce i rzekł: Bracie Saulu, Pan Jezus, który ci się ukazał w drodze jaką szedłeś, posłał mnie abyś przejrzał i został napełniony Duchem Świętym. I natych-

miast opadły z oczu jego jakby łuski i przejrzał". /Dz.Ap.9,17-18/

Po raz czwarty było tak w Cezarei, gdy ten chrzest otrzymał dom Korneliusza:

"A gdy Piotr mówił jeszcze te słowa, zstąpił Duch Święty na wszystkich słuchających tej mowy. I zdumieli się wierni żydowskiego pochodzenia, którzy z Piotrem przyszli że i na pogan został wylany dar Ducha Świętego; słyszeli ich bowiem jak mówili językami i wielbili Boga. Wtedy odezwał się Piotr: czy może ktoś odmówić wody aby ochrzcić tych, którzy otrzymali Ducha Świętego tak jak i my?" /Dz.Ap.10,44-47/

Po raz piąty wydarzyło się coś podobnego w Efezie:

"Podczas gdy Apollos przebywał w Koryncie, obszedł Paweł wyżynne okolice i przyszedł do Efezu, a spotkawszy niektórych uczniów rzekł do nich: Czy otrzymaliście Ducha Świętego gdyście uwierzyli? A oni mu na to: Nawet nie słyszeliśmy, że jest Duch Święty. Tedy rzekł: Jak więc zostaliście ochrzczeni? A oni rzekli: chrztem Janowym. Paweł zaś rzekł: Jan chrzcił chrztem upamiętania i mówił ludowi żeby uwierzyli w tego, który przyjdzie po nim, to jest w Jezusa. A gdy Paweł włożył na nich ręce, zstąpił na nich Duch Święty i mówili językami i prorokowali!" /Dz.Ap.19,1-6/

Parham był bardzo zaintrygowany, ale jeszcze nie przekonany.

"Widzę języki w trzech tylko opisach", powiedział, "nie było ich jednak ani w Samarii, ani w wypadku Pawła".

"Nie", powiedzieli studenci, "przecież

wiemy, że Paweł miał później dar języków w swojej służbie. Napisał przecież kiedyś Koryntianom iż dziękuje Bogu, że więcej mówi językami niż oni wszyscy /por. 1.Kor.14,18/. Kiedy otrzymał ten dar? Czy nie mogło się to stać przy jego chrzcie w Duchu?"

Parham milczał i zastanawiał się.

"A co jeśli chodzi o Samarię?" spytał w końcu.

"W Samarii Szymon czarnoksiężnik był pod tak silnym wrażeniem czegoś, co widział gdy ludzie byli napełniani Duchem Świętym, że ofiarował pieniądze, aby otrzymać dla siebie tę moc. Cóż on mógł takiego szczególnego widzieć? Nie mogły to być cuda, albo uzdrowienia, ponieważ te już wcześniej widział, gdy czynili je chrześcijanie. Z powodu takich właśnie znaków już od tygodni chodził przecież za Filipem. Nie! Gdy Piotr i Jan przyszli i gdy chrześcijanie w Samarii otrzymywali Ducha Świętego Szymon widział coś nowego, coś innego. Czy nie mógł to być języki?"

Podniecenie udzieliło się teraz także i Parhamowi. Czy rzeczywiście mógł to być znak, którego poszukiwali? Był już późny wieczór.

"Pytam się, co mogłoby się stać", powiedział, "gdybyśmy jutro wszyscy się zeszli aby wymodlić otrzymanie chrztu w Duchu dokładnie tak, jak jest on opisany w Biblii: z mówieniem językami?"

Następnego ranka wszyscy w Stone's folly zeszli się na taką modlitwę. Modlili się całe przedpołudnie i część popołudnia. Atmosfera w domu była napięta i pełna oczekiwa-

nia. Słońce jednak już zaszło, a ciągle jeszcze nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Gdzieś około godziny 19.00 - był to wieczór sylwestrowy z roku 1900 - jedna ze studentek, Agnes N. Ozman przypominała sobie o czymś. Czyż nie było tak, że wielokrotnie opisywanemu w Dziejach Apostolskich chrztowi towarzyszyło oprócz modlitwy także wkładanie rąk? Czy osoba, która modliła się nie wkładała częstokroć rąk na tego kogoś, kto życzył sobie otrzymać chrzest? W Biblii znalazła miejsca, które sobie przypominała. Było tam napisane w związku z chrztem w Samarii, Damaszku, Efezie ciągle to samo słowo... ręce. "Włożył na niego ręce", "Wtedy wkładali na nich ręce..."

Panna Ozman odszukała Charlesa Parhama. Opowiedziała mu o swoim nowym odkryciu.

"Czy nie zechciałbyś się tak właśnie o mnie pomodlić?" zapytała.

Parham ociągał się dopóty, dopóki po krótkiej modlitwie nie stało mu się jasne, że jej pragnienie jest szczere. Wtedy włożył swe ręce lekko na jej głowę. W mgnieniu oka, a jednak całkiem spokojnie, z jej warg popłynął strumień sylab, których żadne z nich nie potrafiło zrozumieć.

Zielonoświątkowcy uważają ten sylwestrowy wieczór roku 1900 za jedną z najbardziej przełomowych dat w ich historii. Podkreślają, że tutaj po raz pierwszy od dni pierwszego kościoła świadomie dążono do przeżycia chrztu w Duchu i oczekiwano mówienia językami jako pewnego znaku.

W Stone's folly modlili się teraz wszyscy jeszcze bardziej gorliwie o przyjscie

Ducha Świętego. Jedno z wielkich, niewykończonych pomieszczeń na piętrze zostało przygotowane jako miejsce na modlitwę, przy czym świadomie starano się odtworzyć wszystko tak, jak było w wieczerniku w Zielone Święta w Jerozolimie. W ciągu następnych trzech dni wiele osób doświadczyło tego chrztu - a każdemu przeżyciu towarzyszyły owe tajemnicze języki. Trzeciego stycznia sam Parham otrzymał w tym pomieszczeniu chrzest Ducha, wraz z tuzinem innych duchownych z różnych denominacji i też mówił językami. Z wielkim podnieceniem zaczęli planować długą podróż misyjną, w trakcie której mieli rozgłosić to nowe poselstwo poczynawszy od Topeki poprzez cały kraj i do Kanady.

Doszli tylko do Kassas City.

Tam spotkali się z otwartą wrogością. Nikt nie chciał słuchać tego poselstwa, o którego prawdziwości Parham był tak przekonany. On i towarzyszący mu kaznodzieje zostali skrytykowani przez miejscowe duchowieństwo i wyśmiani w prasie. Mała grupa rozwiązała się. Parham nie miał nikogo, kto by go podtrzymał; nie miał pieniędzy, ani nie stała mu do dyspozycji żadna kazalnica. W końcu zaczęło mu brakować jedzenia na codzień. Po niewielu tygodniach był znów w Topece. Tam spotkał go następny cios. Stone's folly miała być sprzedana. Stara, dziwaczna budowla, która tak wiele znaczyła dla tej małej szkoły musiała zostać opuszczona i wraz ze stratą miejsca zgromadzeń rozpadła się też sama szkoła.

Charles Parham zaczął głosić na rogach ulic. Swoją służbę nazwał poselstwem "beł-

nej Ewangelii". Oznaczało to, że Ewangelia miała być opowiadana w całej pełni, bez opuszczania poselstwa o językach, o uzdrowieniu, lub o jakimkolwiek innym darze obiecanym przez Ducha Świętego.

Mineły trzy lata i jeszcze nikt go nie słuchał. W roku 1903 w lecie Parham zawędrował do miejscowości kąpieliskowej El Dorado Springs, Missouri. Tu właśnie dokonała się dramatyczna zmiana w jego służbie.

O wodach El Dorado mówi się, że są dobre na wszystkie rodzaje bólów i cierni. Tu Parham wykorzystał okazję. W tej atmosferze różnego rodzaju ludzkiego nieszczęścia przemawiał na stopniach źródeł. Po każdym kazaniu zapraszał wszystkich chorych, lub tych, którzy mieli jakieś bóle na dalszą modlitwę do malutkiej chatynki, którą wraz z żoną wynajmowali w pobliżu. Wielu przychodziło. Od samego też początku wielu świadczyło o poprawie ich zdrowia. Po okolicy rozeszła się wieść, że jest tu człowiek wyposażony w niezwykle moce. Parhamowi najwyraźniej nie chodziło o korzyści osobiste. Nigdy nie chciał wynagrodzenia, ani też nie zbierał kolekty.

Miedzy tymi, którzy przychodzili na jego bezpłatne nabożeństwa uzdrowieńcze znalazła się pewna kobieta - Mary Arthur. Pani Mary coraz bardziej traciła wzrok. Miała już za sobą dwie operacje, ale po każdej z nich jej stan jeszcze bardziej się pogorszył. Tego dnia, w którym przyszła do chatki Parhama widziała już tylko na jedno oko, a i to ją bardzo bolało. Podczas nabożeństwa Parham włożył ręce na jej oczy i pomodlił się,

aby Duch się ich dotknął i uzdrowił je. Pani Arthur wstała z kolan do głębi poruszona i zdumiona. Gdy jeszcze przed kilkoma minutami musiała mieć ciągle zamknięte oczy z powodu bólu, to teraz bez najmniejszej trudności mogła patrzeć bezpośrednio na światło!

Pani Arthur wróciła do swojego domu w Galena, Kansas i zaczęła wszvstkim opowiadać o tej nowej duchowej służbie. Po kilku tygodniach zaprosiła Parhamów aby przyjechali do Galena i w jej domu przeprowadzili nabożeństwa. Decyzja przyjęcia tego zaproszenia miała stać się punktem zwrotnym w ich historii - to w Galena bowiem rozgalił się ogień zielonoświątkowego nioselstwa.

Już po kilku dniach pokój gościnny najsztwa Arthur był przepełniony. Przyjaciele rozstawili więc na otwartej przestrzeni namiot. Także i namiot okazał się zbyt mały prawie od samego początku, ponieważ ludzie zjeżdżali się z daleka do Galena. Parham i jego przyjaciele wynajęli więc stary magazyn na skraju miasta. Ponieważ nastała zima rozstawiono po obu stronach sali piece. Ławki kościelne zaimprovizowano w ten sposób, że na starych beczkach położono deski. Właśnie tam, w tym magazynie przerobionym na kościół zwiastował Charles Parham o całym dziele Jezusa Chrystusa, włącznie z chrztem w Duchu. Co wieczór tłumy ludzi wciskały się do tego prymitywnego kościoła, aby w kilka godzin później, przepełnieni świadectwami uzdrowień i innych niezwykłych, tajemniczych przeżyć opuścić go. Gazeta Cincinnati Inquirer wysłała do Galena swo-

jego korespondenta, który miał pisać na temat tego przebudzenia.

"Jest rzeczą wątpliwą", pisał ów korespondent, "czy w ostatnich latach było coś w tej okolicy, co wzbudziłoby takie zainteresowanie, taką krytykę, albo co tak zdumiałoby ludzi jak religijne zgromadzenia, które są tutaj prowadzone przez rev. C.F. Parhama... Prawie trzy miesiące minęły od kiedy ten człowiek przyjechał do Galena, a już w tym czasie uzdrowił ponad 1000 osób i więcej niż 800 nawrócił...

Ludzie, którzy od lat chodzili o kulach, przed ołtarzem prostowali się i mogli odłożyć swoje kule... Tutaj wierzący otrzymują coś, co nazywają 'zielonymi świętami' i to umożliwia im mówienie językami, tzn. mówienie w obcych językach, które są im bez tej mocy Ducha zupełnie nieznane. To mówienie językami jest tutaj uważane za jedną z ważniejszych rzeczy na tych zgromadzeniach. W poprzednim tygodniu podczas pewnego zgromadzenia wstała pewna niewiasta i mówiła ok. 10 minut, nie będąc - jak się wydawało - przez nikogo zrozumianą. Pewien Indianin, który tego dnia przyszedł tam z rezerwatu Pawnee aby wziąć udział w zgromadzeniu stwierdził, że mówiła ona w języku jego plemienia i że rozumiał on każde słowo jej świadectwa..." /Cincinnati Inquirer, 27 stycznia 1904r./

Parham pozostawał ponad trzy miesiące w Galena; nauczał, przemawiał, uzdrawiał. Gdy w końcu wyjechał, to uczynił tak pod wpływem marzenia, które wypełniało go od zamknięcia bram Stone's folly: chciał znów

otworzyć szkołę biblijną. Z dokładnością prawie co do dnia, w pięć lat po otwarciu szkoły w Topece, ogłosił otwarcie drugiej szkoły, tym razem w Houston, Texas. Do tej szkoły zgłosił się student, który w przyszłości miał się stać następną figurą kluczową w historii zielonoświątkowców: W.J. Seymour, ordynowany pastor murzyński. Seymour przyniósł poselstwo zielonoświątkowe do Kalifornii pod jeden z najsławniejszych adresów w historii zielonoświątkowców: 312 Azusa Street, Los Angeles.

Seymour przybył do Los Angeles z jedną walizką w ręku i nie przypuszczał nawet jaką miał rozpętać burzę. Był zaproszony aby przemawiać w małym murzyńskim kościółku. Wypełniony jeszcze przeżyciami ze szkoły Parhama, Seymour zaczął od kazania o Duchu Świętym i o mówieniu językami, a nie tak jak oczekiwano, od przeprowadzenia szeregu nabożeństw. Tego było za dużo, dla starszych kościoła. Gdy Seymour przyszedł następnego dnia aby znów przemawiać zastał zamknięte drzwi kościelne.

Pewna kobieta ze zboru nie zgadzała się jednak z takim potraktowaniem go. Powiedziała panu Seymour, że bardzo by się cieszyła gdyby zgodził się przemawiać w jej domu. Przyznała, że dom jej znajduje się na starym mieście, ale to jest i tak lepiej niż nic.

Przez trzy dni Seymour przemawiał tam. Spokojnie i logicznie wyjaśnił biblijne tło swojego punktu widzenia. 9 kwietnia wieczorem słuchacze zaczęli przeżywać chrzest podczas kazania. Mówili językami,

Śmiali się, radowali się i śpiewali tak długo, że w końcu to, co się tam działo musiało dobrze przypominać scenę z pierwszych Zielonych Świąt, gdy Piotr i ci, którzy z nim byli zostali podejrzeni o to, że upili się młodym winem.

Wiadomość o tym rozeszła się z szybkością ognia. Już następnego ranka cały ten przeznaczony do rozbiórki dom był przepełniony ludźmi, podczas gdy wielu jeszcze stało na zewnątrz czekając na okazję dostania się do środka. Radowanie się, śpiewy, okrzyki "Alleluja!" i "chwała Panu!" rozbrzmiewały po-przez szpary w dachu. Zaczęło się klaskanie i tupanie. Cała budowla zaczęła się trząść. Nikt na to nie zważał. Później, przy jakimś szczególnie głośnym "chwała Panu!" fundamenty popuściły, podłoga załamała się, ściany zawaliły się i spadł dach.

Nikt nie był ranny. Stało się jednak jasne, że szybko powiększającemu się zgromadzeniu potrzebna jest większa i mocniejsza kwatera. Po krótkim poszukiwaniu znaleziono bardzo odpowiednie miejsce: 312 Azusa Street.

Azusa Street leżała w bardzo nieeleganckiej części miasta. W najbliższym sąsiedztwie znajdował się plac, gdzie handlowano drewnem, stajnia i jakaś fabryka nagrobków. W każdym razie nikomu tu nie przeszkadzał nadmiar "nowego wina" w czasie zgromadzeń. Dwupiętrowy budynek też był kiedyś wypożyczaną stajnią, ale zniszczony częściowo przez ogień teraz stał pusty. Płaskim dachem zastąpiono ten spalony. Nadawało to budynkowi taki wygląd, jakby kawałek od góry odpiłowano. Otynkowano ściany i znie-

siono skrzynki po gwoździach na siedzenia. Sam Seymour ciągle siedział na końcu wielkiej sali na parterze i cały czas trwał w modlitwie. Przemawiał rzadko. Był przełożonym, ale kierował raczej poprzez zachęcanie niż poprzez rozporządzenia.

Przebudzenie na Azusa Street trwało trzy lata. Zarówno biedni jak i bogaci zjeżdżali się aby zobaczyć co się tam dzieje. Przyjeżdżali ludzie z sąsiednich miast, z środkowego zachodu, z Nowej Anglii, z Kanady, z Wielkiej Brytanii... Przyjeżdżali biali i kolorowi, starzy i młodzi, wykształceni i niewykształceni. Przyjeżdżali reporterzy z całego kraju aby badać i niezależnie od tego czy pisali pozytywne, czy negatywne raporty - to, co opisywali zawsze było wielką "story".

Podczas moich własnych badań nawiązałem kontakt listowy z jednym z pośród niewielu już żyjących świadków przebudzenia na Azusa Street - z panem Harvey McAlister ze Springfield, Missouri. Napisał mi, że odwiedzał wtedy często tę misję i chce opisać mi szczególnie interesujące wydarzenie:

"Mój brat, który już zmarł, pan Robert E. McAlister był w Los Angeles gdy to wydarzenie miało miejsce i opowiedział mi o nim. Znałem Kathleen Scott i słyszałem tę historię poza tym też od jej rodziców."

Wydarzyło się to w miejscu, które znane jest jako Old-Azusa-Street-Mission*. Przyjeżdżali tam ludzie z całego świata, aby zobaczyć co się dzieje. Była tam wielka sala,

*Stara Misja przy ul. Azusa

a na górze "wieczernik". Dom ten był przez kilka lat otwarty w dzień i w nocy. Codziennie odbywały się dwa, lub trzy nabożeństwa z kazaniem, a w "wieczerniku" w nocy i we dnie trwała modlitwa. Po zakończeniu nabożeństwa z kazaniem wiele osób udawało się do wieczernika na modlitwę, a gdy przyszedł czas następnego kazania ktoś uderzał w dzwonek i wszyscy schodzili na dół na nabożeństwo.

Kathleen - w tamtym czasie jeszcze nastolatka - była właśnie w wieczerniku. Jakiś człowiek wszedł do budynku, a ponieważ nabożeństwo dawno już się zaczęło i słyszał, że ludzie się modlą, poszedł do wieczernika. W momencie gdy wszedł, Kathleen pobudzona przez Ducha Świętego wstała, wskazała na tego człowieka, który stał właśnie na ostatnim szczeblu schodów i przez kilka minut mówiła w jakimś jej nieznanym języku.

Brzmienie dzwonka, który wzywał ludzi na kazanie przerwał jej mowę. Wszyscy wstali i udali się w kierunku schodów. Gdy Kathleen zbliżyła się do schodów człowiek ten ujął ją za rękę i poprowadził na dół przed kazalnice. Tam poczekał aż w sali zapanowała cisza i wtedy powiedział: „Jestem Żydem i przyjechałem do tego miasta by zbadać mówienie językami. Nikt w tym mieście nie zna mojego imienia ani nazwiska, ponieważ przyjechałem tu pod pseudonimem. Nikt w tym mieście nie zna mojego zawodu i nikt w ogóle o mnie nic nie wie. Przysłuchuję się nieraz kaznodziejom z jednym tylko zamiarem, aby ich kazania rozczłonkować i użyć ich później w moich prelekcjach skierowanych

przeciwko religii chrześcijańskiej.

Gdy wszedłem do tego pomieszczenia, ta dziewczynka zaczęła mówić po hebrajsku. Powiedziała mi moje nazwisko, imię, a także po co przyjechałem do tego miasta i co jest moim zajęciem. Później wezwała mnie do pokuty. Przypomniała mi rzeczy z mojego życia, o których w tym mieście napewno nikt nie wiedział'.

Później - kończy swój list pan McAlister - człowiek ten upadł na kolana i ze szczera skruchą serca płacząc modlił się".

Takie było przebudzenie na Azusa Street. Bez fanfar, bez reklamy, bez chórów, zespołów muzycznych czy czegokolwiek innego, co zazwyczaj towarzyszy przebudzeniom, to przebudzenie, które narodziło się w starej stajni torowało sobie dniem i nocą drogę przez więcej niż 1000 dni.

Dziwny Sposób

Wzrastania

Nadeszła wiosna roku 1960, a wraz z nią sezonowa "zmiana dekoracji" w naszym garażu. Do kąta zostały odstawione spychacze do śniegu, a z kąta wyciągnięta maszyna do koszenia trawy na trawniku. Ktoś wrzucił mi do skrzynki na listy kartkę, na której było napisane: "Czy będzie pan mógł być dumny, gdy pańscy przyjaciele zechcą obejrzeć tego lata pański trawnik przed domem?" Musiałem pomyśleć przy tym o krowie pasącej się na trawniku przy Stone's Folly.

Nadeszła wiosna, a moja podróż w szczególności świat zielonoświątkowców ciągle jeszcze była pewną, ale daleką sprawą, która nie przejmowała mnie osobiście więcej, niż jakaś podróż do obcego kraju, w czasie której miałbym jedynie z okna pędzącego pociągu oglądać mężczyzn i kobiety przy pracy.

Jedno byłem skłonny przyznać: w czasie pierwszych lat przebudzenia zielonoświątkowego musiało działać coś tajemniczego i nadzwyczajnego. Wszędzie na świecie powstawały zielonoświątkowe zbory, wszystkie mniej więcej w jednym czasie: w przeciągu kilku lat na przełomie wieków.

Rzeczą szczególną przy tym było to, że

często nie można było stwierdzić żadnych kontaktów między poszczególnymi grupami, żadnego kontaktu, na który wskazując historyk mógłby powiedzieć: "zbor B rozwinął się w skutek działalności zboru A".

Niektórymi spośród pierwszych odwiedzających misję na Azusa Street byli np. armeńscy imigranci, dla których zielonoświątkowe "objawy" nie były niczym nowym. Przed dwudziestu laty, bowiem od tamtych wydarzeń wśród presbiterian w Armenii pojawił się podobny ruch z mówieniem językami. Gdy ci zielonoświątkowi presbiterianie przywędrowali później do Kalifornii, przywieźli z sobą ich sposób oddawania Bogu czci, lecz pozostawiali sami w odizolowaniu, aż - ku ich zaskoczeniu - odkryli, że na Azusa Street ma miejsce równoległe podobny ruch.

Zupełnie niezależnie od tego, członkowie małego zboru baptystycznego Camp-Creek zaczęli mówić językami. Przedtem nie mieli żadnego kontaktu z ludźmi mówiącymi językami, a nawet nie wiedzieli, że takie zjawisko już gdzieindziej zaistniało.

W Indiach członkowie trzeźwego Towarzystwa Kościelno - Misyjnego Wielkiej Brytanii /Church - Missionary Society of Great Britain/ byli zaskoczeni, gdy pewna szesnastoletnia dziewczynka indyjska zaczynała zawsze w modlitwie mówić w jakimś języku, którego nikt nie mógł zrozumieć. Poproszono o radę przełożonego Katedry w Bombaju. On zaś zaprosił przyjaciół, którzy mieli modlić się z tą dziewczynką, w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto ten

język zrozumie. W końcu ktoś taki rzeczywiście się znalazł. Ten ktoś powiedział, że jest to język arabski i że modlitwy dotyczyły pewności Kościoła Libii, a więc kraju, o którym prawdopodobnie ta dziewczynka nigdy nie słyszała. Teraz także inni hinduscy chrześcijanie doświadczyli tego samego mówienia w niewyuczonym, obcym języku i wkrótce tkwili już w samym środzku w przebudzeniu. Misja donosiła o tym w małej broszurze, która ukazała się we wrześniu roku 1906. Gdy była ona jeszcze w druku i gdy zaczynało się rozsyłanie jej, do Indii dotarły wieści na temat podobnych wydarzeń ze Stanów Zjednoczonych.

Moja ciekawość została obudzona przez te wyraźnie spontanicznie, niezależnie od siebie pojawiające się w różnych odległych zakątkach świata języki. Co to wszystko miało znaczyć?

Nawet jeśli ślady jakiegoś jednego ruchu wyraźnie prowadziły do drugiego, to sama gotowość, z jaką przyjmowane było to nowe poselstwo wydała mi się nadzwyczajna. Wydawało się, że duszewny i duchowy grunt w tamtym czasie był tak przygotowany, że jeden traktat - gdyby pojawił się w odpowiedniej chwili, wśród odpowiednich ludzi - mógłby rozpaść cały płomień przebudzenia. Panna Minnie Abrams - członkini C.M.S. - Misji w Indiach - napisała małą broszurę o swoich przeżyciach tam i posłała ją do wybranych przyjaciół mieszkających w różnych stronach świata. Jedną z tych broszur znalazła się na plebanii biskupiego Kościoła Metodystów

w Valparaiso, Chile. Pastor W.C.Hoover czytał ją z wielkim zainteresowaniem. Opisuje on co wydarzyło się później:

"Upłynął chyba rok, albo trochę więcej, od kiedy otrzymaliśmy tę broszurkę, w czasie którego wymienialiśmy zdania z naszymi ludźmi na temat zadziwiająco dobrego poselstwa zawartego w niej. Teraz... chcieliśmy z całych serc mieć przebudzenie. Już w pierwszy wieczór... gdy wezwaliśmy do modlitwy stało się coś bardzo zadziwiającego. Cały około 150 osobowy zbór, jak jeden mąż wybuchnął głośną modlitwą! Szczególne objawienia i sny zostały darowane niektórym, a... wszystko to osiągnęło swój szczyt w przeżyciach wielkiej liczby ludzi, które bardzo trafnie opisane są w licznych szczegółach w Dziejach Apostolskich, rozdział 2. Cały tłum przyszedł zobaczyć... Frekwencja na nabożeństwach wzrosła raptownie. W niedzielę wieczorem na nabożeństwie było więcej niż 900 osób..."

Nieraz dochodziło do przebudzenia na jakimś miejscu po prostu na skutek doniesienia prasowego o przebudzeniu gdzieindziej. W taki sposób ruch ten ogarnął południowe Chiny. Misjonarze szkoły Wuchow przeczytali w gazecie o dziwnych wydarzeniach na Azusa Street. W krótki czas potem, jeden z nauczycieli tej szkoły w czasie bardzo spokojnego zgromadzenia modlitewnego, pewnego sobotniego wieczoru zaczął mówić w nieznanym sobie języku.

Był to początek potężnego przebudzenia w Chinach.

Mężczyźni i kobiety, które torowały drogę współczesnemu ruchowi zielonoświątkowemu byli przeważnie spokojnymi, nieuprzedzonymi ludźmi. Nie było wśród nich żadnego Lutra, Knox'a czy Kalwina, Fox'a czy Wesley'a, żadnej wybijającej się postaci, która by sobie zdobywała zwolenników dla tego poselstwa poprzez siłę swej osobowości. Na Azusa Street przychodzili przeważnie całkiem przeciętni ludzie, często biedni i niewykształceni. Ale gdziekolwiek się później nie pojawili - coś z tego, co mieli do powiedzenia zapalało ogień. Wkrótce tam, gdzie ci ludzie mieszkali powstały małe grupy zielonoświątkowców: w Chicago, Winnipeg, Nowy Jork, Little Rock i oddalone dalej w Londynie, Sunderland, Amsterdamie i Oslo, Kalkucie i Allahabad i Mukti - ponieważ na Azusa Street przyjeżdżali ludzie z całego świata.

Wszędzie powtarzała się ta sama historia: przeciętni ludzie wracali do domów z poselstwem, które natychmiast się przyjmowało. Nie musiało ono być wcale umiejętnie sprzedane, na szczęście, gdyż ludzie ci wcale nie byli umiejętnymi sprzedawcami. Często wydawało się, że ich słuchacze już od dawna na to poselstwo czekali. Teraz następował tylko przebłysk poznania, a praca przekonywania była już dokonana.

Ale obok tego ognia, który jakby bez trudu poprzez poselstwo zielonoświątkowe rozprzestrzeniał się, było też działanie

przeciwne, równie mocne, równie nagłe:
gorzka wrogość.

Mogłem tę reakcję zrozumieć. Sam ją w łagodnej formie odczułem w dzień po naszych odwiedzinach w Kościele Skały /Rock Church/, gdy w końcu cała ta sprawa we mnie obudziła wstręt i gdy nic więcej o tym nie chciałem już słyszeć. Ale ta moja reakcja była jedynie letnim deszczykiem w porównaniu ze sprzeciwem podobnym do orkanu, który zielonoświątkowcy wywołali w niektórych kręgach.

Sceną stała się składająca się z jednego pomieszczenia szkoła zawodowa w Camp Creek w górach północnej Karoliny. Powstawało przebudzenie. Ludzie przychodzili pieszo, lub na bryczkach zaprzężonych w osły z odległości do 50 km. W ciągu dnia zbierali się na urwisku poza budynkiem szkolnym, wieczorem zaś przy świetle lamp w pokoju szkolnym. Z dnia na dzień czuło się jak wzrastało oczekiwanie zgromadzenia.

"W czasie żarliwych modlitw", pisał Charles W. Conn w swoim ciekawym doniesieniu o tym przebudzeniu /Like a Mighty Army.../ "jeden, lub dwóch byli tak zachwyceni przez Tego Jednego, do którego się modlili, że bywali w szczególny sposób pobudzeni przez Ducha Świętego... Mówili w nieznanych językach do tych, którzy to słyszeli. Tego, co się tam działo nie mogli zrozumieć ci prości chrześcijanie pochodzenia chłopskiego, gdyż nawet najstarsi członkowie zboru nie mogli sobie przypomnieć,

coś podobnego. Z powodu ich zupełnej nieznajomości historii kościoła nie też nie wiedzieli o podobnych manifestacjach w okresach innych przebudzeń, czy odnowień. Wkrótce też i inni zaczęli przeżywać podobne zachwycenia i zupełnie niezależnie od tego gdzie, kiedy i w jakiej sytuacji zostali zachwycony, zawsze towarzyszył temu jednakowy znak: mówili językami, które nie były znane tym, którzy się z nadzieją i ze zdziwieniem temu przysłuchiwali.

Wiadomość o wielkim wylaniu Ducha pobiegła we wszystkich kierunkach jak ogień na prerii i sprawiła, że ciekawi, niedowierzający i jeszcze inni przyjechali, aby osobiście przekonać się na miejscu o tych dziwnych zjawiskach. W odległych okolicach przestawano już w południe orać, śmietana kwaśniała tak, że nie można było już z niej otrzymać masła, krowy dojono gdy jeszcze słońce stało wysoko, szybko dawano osłom pokarm, późniejsznie zaprzęgano do wozów, ażeby popędzić poprzez wzgórza do Camp Creek".

Na samym początku miejscowe kościoły przyjaźnie powitały to przebudzenie. Ludzie nadal chodzili do swoich własnych kościołów i opowiadali o przemienionym życiu i o nowym stosunku do Jezusa. Duchowni nie mogli uwierzyć własnym uszom i zachęcali swoich ludzi do dalszego uczęszczania tam.

Jednak później rozpoczęła się reakcja. Przyszła tak nagle i niespodziewanie jak

samo przebudzenie. Przez jedną noc przywódcy kościelni stali się jego wrogami. Starsi pewnego zboru baptystycznego nie dopuścili 33 swoich członków do wzięcia udziału w jakiejś konferencji. Ich przestępstwo: mówili językami. Kilku kaznodziejów zwróciło się do władz i dopięło tego, że cofnięto wierzącym zezwolenie na używanie pomieszczenia szkolnego. Gdy pewnego wieczoru ci przebudzeni wierzący chcieli się zgromadzić zastali zamknięte drzwi i okna. Niezniechęceni zbudowali sobie po prostu własny mały, drewniany kościółek.

Opozycja przyjęła poważne formy. Pewnego deszczowego wieczoru kilku chłopów wtargnęło do tego kościółka i podpaliło go. Gdy deszcz zagasił ogień, w kilka dni później zniszczono i tak ten budynek przy pomocy materiału wybuchowego. Wierzący znów go sobie odbudowali. Później, pewnego rana - teraz już w jasny dzień - więcej niż 100 mężczyzn ruszyło przeciw temu małemu kościółkowi. Wśród nich znajdowali się ordynowani kaznodzieje, diakoni, starsi zborowi, pewien sędzia i starosta. Podczas gdy członkowie zboru stali bezradnie obok, ta grupa ludzi wyrывała belkę po belce, składała wszystko drewno na stos i później je podpaliła. Gdy kościół był już rozebrany, podkreślali to, że nie podpalają niczyjej własności, lecz jedynie stos drewna.

Wierzący nie próbowali już później budować, lecz zbierali się tu i ówdzie po domach. Wtedy ta sama grupa obywateli za-

stosowała inne praktyki. Wypędzali w nocy tych wierzących z ich łóżek, popędzali ich batami. Każdego rana ogrody tych domów, w których poprzedniego wieczoru odbywało się zgromadzenie były pokryte kamieniami i odłamkami szkła. Strzelano przez okna z fuzji, kanalizacja wodociągowa bywała zanieczyszczana, domy podpalane. Takie akty przemocy były dokonywane przez lata, ale w końcu głos jakiejś kobiety wprowadził spokój.

Nazywała się ona Emiline Allen i była żoną jednego z przywódców nowego ruchu. Pewnego dnia, gdy w domu Allen'ów odbywało się zgromadzenie, grupa 25 - 30 mężczyzn włamała się do ogrodu. Wymachiwali pałkami, nożami i fuzjami i żądali zaniechania dalszego zgromadzenia. W przeciwnym razie grozili spalaniem domu wraz ze wszystkimi, którzy się w nim znajdowali.

"Nieustraszona żona Allena", pisze Conn, "wyszła tym ludziom na przeciw do ogrodu w swoim poszanowania godnym autorytecie, rozbrajająca i poprosiła ich aby weszli do środka. Sprzeciwili się temu i szemrząc dalej wykrzykiwali pogrożki... Wtedy powiedziała: 'Nie ma potrzeby chowania się za maskami, ponieważ znam każdego z was. Jesteście naszymi sąsiadami, dlatego nie musicie się wcale chować gdy przychodzicie do naszego domu. Zdejmijcie swoje przebrania i wejdźcie, a ja przygotuję wam ciepłą kolację. Ale nie chcemy przestać służyć Panu.

Mężczyźni na próżno usiłowali dalej trwać w takim wrogim i groźnym nastawieniu. Teraz byli zakłopotani poprzez chrześcijańską miłość do bliźniego tej odważnej niewiasty. Powoli wroga grupa rozbiła się na małe dwu- trzyosobowe grupki, które zaczęły odchodzić próbując pokryć swe zmieszanie poprzez chwalenie się. Swoich gróźb nie spełnili, a także zaprzestali swoich prześladowań".

Prawie wszystkie młode zbory zielonoświątkowe musiały przejść na początku poprzez takie prześladowania. W.C. Hoover przeżył to w Chile. Reporterzy prasowi w pogoniach za sensacyjnymi zdarzeniami zaczęli przychodzić na jego nabożeństwa i wkrótce znajdował się on już w centralnym punkcie makabrycznego zamieszania prasowego. Jedna z gazet obwiniała go o przestępcze czyny i oskarżała go, że daje ludziom do picia jakiś "niszczycielski płyn zwany 'Krwia Baranka', który wywołuje letargię i sprawia, że ludzie padają na ziemię".

Hoover szybko wplątał się w konflikt ze swymi przełożonymi. Jego biskup chciał go zwolnić, ale Hoover odmówił odejścia. W końcu został zmuszony do wystąpienia z kościoła metodystycznego i do samodzielnego prowadzenia swojego zboru.

Ciekawy jest fakt, że prześladowanie - zamiast niszczyć ruch zielonoświątkowy - umocniło małe, pojedyncze grupki i dało im jedność, której w inny sposób by może nigdy nie osiągnęły. Przebudzenie w Camp

Creek przybrało formę Kościoła Bożego /Church of God/, jednej z największych zielonoświątkowych denominacji. Ruch przebudzeniowy w Chile stał się w końcu Zielonoświątkowym Kościołem Metodystycznym /Methodist-Pentecostal Church/, który dzisiaj ma 600 000 członków.

Ale mimo oczywistego bezsensu, prześladowanie zielonoświątkowców było kontynuowane. Za przyczynę tej gorzkiej wrogości, do jakiej zielonoświątkowcy mieli dawać powód, podaje się zazwyczaj ich fizyczne manifestacje. Mówienie językami, krzyczenie, płacz, tarzanie się po podłodze - to wszystko wydaje się niektórym być zbyt mocnym akcentowaniem uczuć, co jest szkodliwe dla prawdziwego służenia Bogu. Ale nawet jeśli te rzeczy mogą może wywoływać odrazę, w żadnym wypadku nie mogą stanowić przyczyny prawdziwego gniewu, który zielonoświątkowcy tak często u innych wywołują. Dr. Van Dusen zbliżył się do sedna sprawy prawdopodobnie jeszcze bliżej, gdy spytał się amerykańskiego Biskupa skąd pochodzą nawróceni do zielonoświątkowców. Wielu pochodziło z pośród niewierzących, ale bez wątpienia wielu przeszło tam bezpośrednio z ławek innych kościołów.

Rzymskokatolicy zostali szczególnie dotknięci. Tuziny hiszpańskich zborów zielonoświątkowych powstały w Nowym Jorku. Wśród katolików kursowała smutna historia o tym, że zielonoświątkowcy mają własne tłumaczenie Biblii. W katolickiej Biblii rozkaz Jezusa dla Piotra brzmiał: "Paś

owieczki moje!" Ale w wersji zielonoświątkowej miało być napisane: "Kradnij moje owieczki!" A w kradzieży owiec stali się oni mistrzami.

Protestanckie kościoły też nie uniknęły podobnego losu. Oficjalne statystyki porównujące wzrost kościołów w czasie od 1926 - 1936 roku wskazują, że w czasie tego okresu kościoły tradycyjne straciły 2 miliony członków, tj. 8%. W tym samym okresie zielonoświątkowcy:

Zbory Zielonoświątkowe /Pentecostal Assemblies/ powiększyły się o 264,7%,

Zbory Boże /Assemblies of God/ o 208,7%,

Kościół Boży /Church of God/ o 92,8%.

Jak mogło dojść do tak nienormalnego przyrostu - pytali się nagle ludzie - i czy nie ma to związku z tymi brakującymi dwoma milionami?

Pytali się dokąd idą ich członkowie, ale nie pytali dlaczego odchodzą. Co mieli zielonoświątkowcy do ofiarowania, co stanowiło tę siłę przyciągającą do nich? Nikt nie zadał sobie trudu by o to zapytać. A gdy zielonoświątkowcy sami o tym mówili, to wywoływało to sprzeciw. Wybuchła wojna broszurowa między zielonoświątkowcami, a wszystkimi innymi denominacjami, które tylko dały się sprowokować do tego, by odpowiedzieć na zarzuty. Agresywny, ewangelistyczny, z wiernością męczennika, z wielkim przywiązaniem do swej wia-

ry zielonoświątkowiec wyrobił o sobie opinię człowieka za wszelką cenę ubiegającego się o przyznanie mu racji: "jeśli nie czynisz czegoś tak jak ja, to czynisz to zupełnie niewłaściwie". Najgłębiej tkwili wg. niego w błędzie tzw. "liberalni", którzy spędzali swój czas na budowaniu pięknych kościołów i rozważaniu Ewangelii.

Mur między zielonoświątkowcami, a pozostałym chrześcijaństwem szybko wzrastał. Tradycyjalne kościoły odrzucały mówiących językami jako zwolenników przemijającego upodobania, które wkrótce ustanie. Zielonoświątkowcy odrzucali tradycyjne kościoły, ponieważ straciły one kontakt z dynamiczną mocą, która miała przecież być głównym dziedzictwem Kościoła.

Niewidocznie dla siebie nawzajem, poza dzielącym je murem, oba obozy rozeszły się - każdy swoją drogą. Nie było żadnych prób, po obu stronach, znajdowania tego, co wartościowe u drugiego. Nie było nawet takiej myśli, że coś wartościowego u innych istniało. Przez pięćdziesiąt lat panowało hasło: "zejść sobie z oczu i z myśli!" A później, całkiem nagle dokonała się przemiana.

Mury Padają

"Co tam słyszać z twoją książką?" spytała Tib. Była właśnie zajęta pakowaniem naszych naczyń kuchennych do wielkich skrzyń dostarczonych nam przez przedsiębiorstwo transportowe, które miało nam umożliwić naszą przeprowadzkę.

"Nie wiem..." Patrzyłam przez okno kuchenne gdzieś daleko. Było promienne czerwcowe popołudnie. "Znudziły mi się te wszystkie kłótnie kościelne. W ostatnich trzech książkach, które przyniosłem sobie z biblioteki było tylko o tym, że wszyscy inni nie mieli racji".

Teraz, gdy obserwowałem przez okno zajętych grać w golfa ludzi na zielonym trawniku, cała dziedzina wiary, prawdziwych Bożych przeżyć i mistycznych wizji szpitalnych wydała mi się być nieskończenie daleką. Przed jakimś czasem wydawało mi się przez chwilę, że moje badania zielonoświątkowców mogły by mi osobiście dać też odpowiedź, szczególnie w sprawie duchowej suszy, jaką przeżywałem w moim życiu wiary. Ale badania te najwyraźniej nie dawały mi takiej odpowiedzi.

Rozumiałem to coraz bardziej, że nie przynosiły one żadnych odpowiedzi, lecz tylko nowe problemy. A książka stała się uciążliwą pracą domową, zamiast być przygodą. Zielonoświątkowcy byli po prostu trochę pomyłonymi ludźmi i ja też taki byłem.

Na ulicy rozległo się wykrzykiwanie łodziarza i nagle trzy przebiegłe twarzy-
czki pojawiły się w otwartych drzwiach.

"Czy możemy...", zaczął Donn.

"Nie", powiedziała gdzieś z szafy Tib.
"Mamy lody na kolację". Twarzyczki znikły.

Właśnie przeprowadzaliśmy się do mie-
szkania, w którym każdy mógłby mieć dla
siebie sypialnię. Tib jest także pisarką
i nasze oba biura zajmowały dotychczas
całe poddasze naszego małego domu. Niżej
były dwie sypialnie. Donn i Scott spali
w jednej z nich, a w drugiej Elisabeth
i pralka. Tib i ja spaliśmy na tapczanie
w pokoju mieszkalnym. Niedawno znaleźliś-
my większy dom i teraz już tylko dwa dni
dzieliły nas od przeprowadzki.

W takiej sytuacji zmuszony byłem ogło-
sić wiadomość o tym, że zaprosiłem na ko-
lację w celu wywiadu bardzo ważną osobi-
stość.

"Skoro właśnie mówimy o kolacji", za-
cząłem; ale gdy Tib wychodziła z szafy,
ciągle jeszcze była zajęta moimi badania-
mi.

"Myślę, że wiem dlaczego jesteś taki
zmartwiony", powiedziała. "Zbyt długo
przesiadujesz w bibliotece, a zbyt mało
rozmawiasz z odpowiednimi ludźmi".

Tylko niebo mogło dać mi taką okazję.
"Masz rację", przytaknąłem jej, "zupełnie
się z tobą zgadzam, dlatego zaprosiłem
kogoś na dzisiejszy wieczór".

Szelest papieru gwałtownie się urwał.
"Co zrobiłeś?"

"Kaznodzieję". Oczywiście Tib biegały od

rozrzuconych po kuchennej podłodze paków, do porozwalanych skrzyń na rzeczy.

"On się nazywa David du Plessis i pochodzi z Afryki Południowej. Jest jednym z najbardziej wpływowych zielonoświątkowców świata i pozostaje tylko do jutra w Nowym Jorku..."

Teraz spojrzała na mnie jakby sądziła, że już dojrzałem do jednoosobowej celi.

"... zamówiłem dla niego pokój w Kittle House".

Wykorzystałem jej westchnienie ulgi i natychmiast dodałem: "On wie, że się właśnie przeprowadzamy i powiedział, że jemu to wcale nie przeszkadza i że może jeść zimną fasolkę z konserwy".

"Mniej więcej tak dzisiaj wieczorem będzie", powiedziała Tib. Ale tak umiejętnie zapowiedziałem naszego gościa, że na znak przebaczenia Tib uśmiechnęła się do mnie.

Ze wszystkich stron słyszałem o Davi-dzie du Plessis. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był on kiedyś człowiekiem o małym sercu, upierającym się przy swoich zasadach. W środku swego życia przekształcił się jednak w osobistość o szerokim sercu, gotową do współdziałania z innymi. Teraz był gotów w mi-łość rozmawiać z innymi nie krytykując ich mimo, że ich wiara ukształtowała się na innym podłożu.

"Wśród zielonoświątkowców dokonuje się przemiana", powiedziano mi. "Jeśli chce pan coś na ten temat rzeczywiście wiedzieć, to musi pan koniecznie poznać Davida

du Plessis". Gdy dowiedziałem się, że ma przyjechać do Nowego Jorku zaprosiłem go bez względu na naszą przeprowadzkę.

Okazało się, że David du Plessis był człowiekiem, z którym od początku było się na "ty". Promieniowanie jego oczu można było już dostrzec gdy wjeżdżał na dziedziniec. Jeszcze dziesięć minut nie upłynęło od czasu gdy wszedł, a już zdjął marynarkę i pomagał przy pakowaniu porcelany.

"Teraz pomaga pani fachowiec", powiedział w swym miękkim południowoafrykańskim akcencie, który dla amerykańskich uszu brzmi angielsko. "Moja żona i ja tak często przeprowadzaliśmy się, że potrafię pakować naczynia z wprawą, z jaką inni mężczyźni wiążą sobie krawat".

I tak, pochyleni nad skrzyniami, zajęci rozmową spędziliśmy pozostałą część popołudnia. Tib miała rację. Zbyt mało czasu poświęcałem na rozmowy z ludźmi. Przez Davida du Plessis mogłem wejrzeć w zielonoświątkowy świat, który bardzo różnił się od tego, o którego początkach i rozwoju czytałem dotychczas w książkach. Przemiana dokonała się w ciągu mniej więcej jednej generacji, a osobista historia Davida była tego charakterystycznym przykładem.

David du Plessis prawie od początku odgrywał rolę w ruchu zielonoświątkowym. W roku 1908 - dokładnie w dwa lata po wydarzeniach na Azusa Street - dwaj Amerykanie, którzy byli świadkami zaczynającego się w Johannesburgu przebudzenia wy-

jeli tam już od dłuższego czasu pusty prezbiteriański kościół i zaczęli w nim przemawiać. Ich poselstwo o chrzcie w Duchu Świętym było nowe w Afryce Południowej. Od początku więc przychodziło wiele ludzi aby ich słuchać.

Ojciec Davida był jednym z tych, którzy też tam z ciekawości poszli. David miał wtedy dziewięć lat, ale może sobie przypomnieć dobrze jak działały te kazania na jego ojca. "Postępował jak ktoś ogarnięty przez ogień", przypominał sobie David. "Chciał natychmiast porzucić swój interes i uczynić coś dla Pana". Ojciec Davida był z zawodu cieślą. Zanim rodzina dobrze zrozumiała o co chodzi, wszyscy znaleźli się już w buszu, gdzie ojciec budował stacje misyjne dla zielonoświątkowców, którzy to poselstwo zwiastowali tubylcom.

Rodzina Davida, a później sam David, przyłączyła się do ruchu zielonoświątkowego w tym czasie, gdy był on przez kościoły tradycyjne zupełnie ignorowany. David wzrastał więc w atmosferze wzajemnej niechęci. Gdy jako młody człowiek zdecydował się zostać kaznodzieją jego wrogiem był: grzech, diabeł i liberalni przywódcy kościelni.

David posuwał się do coraz to wyższych stanowisk w ruchu zielonoświątkowym. Pierwsze dwadzieścia lat po swej ordynacji spędził w Afryce. Przemawiał w swoim własnym zborze, wydawał zielonoświątkową gazetę i wkrótce został sekretarzem społeczności zielonoświątkowych w Afryce

Południowej. Po jakimś czasie były okazje do współpracy z międzynarodowym ruchem zielonoświątkowym i wtedy można go było widzieć w Genewie, Paryżu, Londynie i Sztokholmie. Od 1949 roku był już sekretarzem generalnym Światowych Konferencji Zielonoświątkowych. A na każdym z tych stanowisk wraz z innymi przyczyniał się do tego, że dalsze cegły były dokładane do muru nieporozumienia, który oddzielał zielonoświątkowców od starszych kościołów.

Później David miał wypadek samochodowy, który miał decydujący wpływ na jego własną służbę, na niego samego i w końcu na cały ruch zielonoświątkowy.

W czasie, w którym wydarzył się wypadek David znajdował się w Stanach Zjednoczonych i zaangażowany był w przygotowania do drugiej Światowej Konferencji Zielonoświątkowej, która miała odbyć się w lecie w roku 1949 w Paryżu. Jako sekretarz generalny odpowiedzialny był za zaplanowanie konferencji w każdym szczególe.

"A nie czyniłem tam żadnej dobrej roboty", przypominał sobie. "Niecierpliwiłem się gdy inni mieli inne pomysły niż ja. Miałem też skłonność do tego aby widzieć wszystko albo na czarno, albo na biało i uważałem ludzi albo za bohaterów, albo za przestępców. Doszedłem do moich przekonań poprzez twardą szkołę - doświadczenie osobiste - i nawet słuchać nie chciałem gdy doświadczenia innych wskazywały coś innego. Krótko mówiąc, powtarzałem w małych wymiarach to, co ruch zielonoświątkowy czynił na wielką skalę.

A później wszystko zmieniło się w jednej chwili".

Był późny wieczór gdy David pędził przez pagórkowatą okolicę w Tennessee z jednej narady na drugą. Jego przyjaciel Paul Walker zaofiarował się zawieźć go aby oszczędzić czas. Był ciemny, deszczowy wieczór. Pasma mgły utrudniały obserwację ulicy. Z powodu późnej godziny i trudnej jazdy rozmowa ustała. Nagle Walker wyęteżając wzrok spojrzał przez szybę, po której lały się strumienie deszczu. David przypomina sobie jeszcze jak Walker powiedział: "Musiałby tu gdzieś być biały most".

Ale nigdy nie dokończył już tego zdania. Z mgły przed nimi wyłonił się nagle zarys lokomotywy zagrządzającej poprzecznie drogę i nieoświetlonej, stojącej na przejeździe.

Walker próbował zahamować, ale jeżdżnia była śliska tak, że samochód poślizgiem wpadł na pociąg.

Paul Walker odniósł tylko lekkie obrażenia, ale David uderzył głową w przednią szybę. Później został odrzucony do tyłu, przy czym za każdym razem kaleczył się o odłamki szyby. Lewa noga złamała się ponad kolanem, kręgosłup został uszkodzony, ramiona pokaleczone.

Po dwunastu godzinach Davidowi wróciła świadomość. Nogę miał na wyciągu, twarz zszyto mu trzydziestoma siedmioma szwami i zabandażowano tak mocno, że nic nie widział. Ale w nim działało się coś niezwykłego.

"Gdy przyszedłem do siebie", przypomi-

na sobie David, "czułem się jak obudzony z dobrego snu. Lekarz spytał mnie:

„Jak się pan czuje, panie kaznodziejo?”

„Naprawdę dobrze”, powiedziałem mu.

Lekarz śmiał się, ale ja mówiłem to całkiem poważnie”.

Gdy David przeleżał tydzień w szpitalu, inni lekarze przyszli na kontrolę. Stali przed zagadką. David nie miał gorączki. Jadł normalnie i spał normalnie bez zażywania środków nasennych. „Napewno będzie jeszcze reakcja”, powiedział jeden z lekarzy. „Conajmniej musiałyby pan mieć gorączkę. Jest pan ciężko chorym człowiekiem”.

„Ależ, panie doktorze”, odpowiedział David, „pan się myli. Nie jestem chory, lecz jedynie rozbity”.

Mimo to David był z różnych przyczyn równie zdziwiony swym stanem jak lekarze. Zadawał sobie pytanie, czy za tym wypadkiem nie kryje się jakiś Boży zamiar. Wszystko przebiegało zadziwiająco dobrze. Paul Walker nie miał żadnych poważniejszych obrażeń, kosztą naprawy samochodu wystarczająco pokryło ubezpieczenie, nawet rachunki za szpital pokryła kolej. A jego samego zupełnie nic nie bolało.

„Jedynym prawdziwym następstwem wypadku było to”, mówił David, „że moje własne uparte, podobne do działania walca do ubijania ulic przygotowania do paryskiej konferencji zostały powstrzymane. Zupełnie nagle musiałem oddać z moich rąk część planów. Musiałem prosić o pomoc ludzi i Boga”.

W ciągu następnych tygodni David nagrał na swój dyktofon w szpitalu dosłownie tysiące listów. Zauważył przy tym, że bez świadomego próbowania w tonie jego listów dokonała się delikatna przemiana. Z tonu, który intensywnie upierał się przy swoim, w ton, który słuchał, który pytał się o Boże stanowisko, nawet gdy oznaczało to, że trzeba usłuchać ludzi, którzy mieli przeciwne zdanie.

"Według mnie, konferencja, która później odbyła się była osiągnięciem", powiedział David, "ale nie to uważam za najważniejszy skutek wypadku. Stwierdziłem, że przechodziłem proces łagodnienia. Nie byłem po prostu już taki jak kiedyś. Byłem teraz cierpliwszy, bardziej uprzejmy i przystępny, podczas gdy w czasie pierwszej Konferencji Światowej byłem zagoniony, głośny i apodyktyczny. Wypadek jakby mnie przekształcił, abym stał się człowiekiem, którego Bóg mógłby użyć w określonej sytuacji.

Najpierw David myślał, że tą sytuacją jest sama konferencja. Panował zresztą na niej rzeczywiście całkiem inny duch. Ale bardziej jeszcze zaciekało Davida to, co stało się krótko potem. Podczas następnych lat zajął się coraz bardziej grupą ludzi, których kiedyś z góry potępiał i których nigdy nie akceptował: owymi liberalnymi przywódcami kościelnymi, którzy według niego odrzucali samo serce Ewangelii. Dlaczego musiał ciągle o nich myśleć? Bóg przecież napewno nie chciał, aby zadawał się z liberałami.

"Nigdy nie dostałbym się do nich dalej niż do ich przedpokoju", argumentował sobie. "Nic więcej nie osiągnę wśród nich jak tylko wzgardliwy ruch ramion, a to mi przecież nie wystarczy".

David ma zwyczaj mówić w podobny sposób głośno gdy się modli. W najlepszym wypadku uzyskuje w ten sposób pewien rodzaj dialogu z Bogiem, przy czym prowadzenia przez Ducha doświadczają w ten sposób, iż przysłuchuje się wewnętrznemu głosowi. W ciągu wielu lat nauczył się bardzo na ten wewnętrzny głos uważać. Teraz ten głos zwrócił się do niego bardzo wyraźnie słowami pewnej starej pieśni: "Zaufaj i bądź posłuszny!" To było przypomnienie udzielone przez ów wewnętrzny głos.

Rzeczą szczególną przy tym było to, że zaufanie to - jak się wydawało - miało mieć do czynienia z tymi murami, które on i inni zielonoświątkowcy wzniesli by bronić czystości Ewangelii. Było tak, jak gdyby Bóg mówił: "Zaufaj mi. Niech padną mury. Podaj przyjaźnie twą dłoń każdemu, kto zechce ją uścisnąć". Wrażenie to było tak mocne, że David nie mógł go ignorować. Chciał w każdym razie spróbować. Chciał spróbować udać się do centrali tych najbardziej liberalnych, najbardziej intelektualnych, do tych, którzy wśród nowoczesnych byli najbardziej eklektycznie nastawieni. David nie miał wcale trudności by móc powiedzieć do kogoś ma pójść: do Światowej Rady Kościołów.

"Dobrze Panie, jeśli Ty tak chcesz", powiedział David biorąc słuchawkę do ręki

ki aby zamówić sobie bilet lotniczy w biurze podróży na samolot do Nowego Jorku. Był właśnie w Dallas, podczas gdy Światowa Rada Kościołów była w Nowym Jorku. "W najbliższy poniedziałek udam się do Światowej Rady Kościołów i zobaczę co z tego wyjdzie".

W tej samej chwili wewnętrzny głos mówił: "Nie, nie jedź tam w poniedziałek, zamów sobie bilet lotniczy na czwartek tak, byś w piątek mógł się zjawić w biurze Światowej Rady Kościołów".

David zastanawiał się przez chwilę i odłożył słuchawkę. "Poczekajmy chwilkę; w tym jest coś dziwnego". Znowu zastanawiał się dłużej. "Dlaczego mam tam być na końcu tygodnia, a nie w poniedziałek, gdy wszyscy będą jeszcze wypoczęci?"

"W poniedziałek nie będzie nikogo w biurze".

David ciągle jeszcze nic z tego wszystkiego nie rozumiał, ale już teraz nie ociągał się, lecz zamówił bilet na czwartkowy wieczór. W piątek przed południem poszedł do biur Światowej Rady Kościołów w Nowym Jorku. Nigdzie się uprzednio nie meldował. Prawie nikogo z tych ludzi nie znał z nazwiska. Nie wiedział również co miałyby powiedzieć gdy się z nimi zobaczy.

Ale wszedł.

Młoda dama przy biurku w pokoju recepcji spojrzała na niego. David wyjaśnił jej kim jest, a później...

"Czy... - hm - czy mogę mówić z dr. Carpenter?" spytał na chybił trafił i wymienił jedno z niewielu znanych mu nazwisk.

"Niestety, nie ma go".

"To może z dr. Barnes?" pytał David.

"Niestety, także go nie ma".

"Czy jest więc ktośkolwiek w biurze z kim mógłbym rozmawiać?"

"Nie, proszę pana, niestety nie ma nikogo.

Oto było to pogardliwe wzruszenie ramion, którego się przez cały czas spodziewał. Cóż to za dziwna myśl owładnęła nim, że w ogóle spodziewał się czegoś innego? Słowo "zielonoświątkowiec" zawsze w pewnych kręgach zamykało drzwi, a szczególnie...

"Teraz oni wszyscy są na pewnej konferencji", powiedziała młoda dama. "Za chwilę jednak chyba skończą i wtedy będzie pan mógł rozmawiać prawdopodobnie z kim pan tylko będzie chciał". Spojrzała na kalendarz stojący na biurku i uśmiechnęła się: "To jest dopiero pierwszy dzień w tym tygodniu gdy tu ktoś w ogóle jest. Odsyłałam z niczym całe tłumy ludzi. Dzisiaj rano jednak zjechali się wszyscy ze względu na to posiedzenie. Ma pan szczęście".

David usiadł. Teraz czuł się już lepiej jeśli chodzi o myśli na temat jego prowadzenia przez Ducha. Tego piątku rozmawiał z wieloma ludźmi ze Światowej Rady Kościołów, a oni nie tylko słuchali, lecz nawet robili sobie notatki słuchając. W każdym razie słuchali uważnie.

Taki był początek. W końcu ten proces łagodzenia spowodowany przez wypadek popchnął Davida przez wiele nowych, dziw-

nych drzwi. Był przedstawiany właśnie tym ludziom, którym przez całe życie próbował schodzić z drogi. Jeden teolog wołał często drugiego i przedstawiał mu Davida. Był on przekazywany ze szkół do uniwersytetów i z seminarium do seminarium.

"Do jakich?" spytałem.

"Zobaczmy". Wyciągnął z kieszeni mocno zużyty kalendarz. "Tutaj znajdziemy kilka terminów z ubiegłej jesieni. 27 października byłem w seminarium kongregacjonalistów w Myerstown, Pennsylvania. Następnego dnia, 28 października, poproszono mnie abym przemawiał na Fakultecie Teologicznym Yale. A 30 i 31 października miałem wewnętrzną rozmowę z kilkoma profesorami z Harvard, Yale, Union, Drew i Chicago w Greenwich, Connecticut. Później, 2 listopada byłem na Fakultecie Teologicznym w Princeton. 5 listopada udałem się do Union Seminary w Nowym Jorku..."

David schował kalendarz. "Wie pan", powiedział, "stało się coś bardzo szczególnego: stało się dla mnie przyjemnością poznawanie tych wszystkich profesorów, uczonych i przywódców kościelnych, chociaż sam nie dojechałem do końca drugiego roku na College'u. Myślałem, że wśród takich ludzi będę się czuł skrępowany, że będę się obawiał, by nie ośmieszyć się, gdy moja niewiedza wyjdzie na jaw. Ale ku memu zdziwieniu czułem się swobodnie i spokojnie. Nigdy nie przygotowywałem się do moich wystąpień. Nawet nie używałem notatek. Starałem się

jedynie być narzędziem, które Duch Święty mógłby użyć, gdyby zechciał. Ciekawą rzeczą było, że została mi darowana umiejętność wysławiania się, jakiej normalnie nie posiadam".

W Seabury House, centrum kościoła episkopalnego postawiono Davidowi najbardziej kłopotliwe pytanie - pytanie, które w przeszłości bardziej niż cokolwiek innego powodowało, że rosła nienawiść innych w stosunku do zielonoświątkowców. Około 30 minut mówił do duchownych na temat zielonoświątkowego przeżycia, gdy jakiś kaznodzieja nagle wstał i dość szorstko zapytał:

"Panie du Plessis, czy pan twierdzi, że zielonoświątkowcy mają prawdę, a my, członkowie innych kościołów nie mamy prawdy?"

David przyznaje, że wtedy szybko najpierw się pomodlił.

"Nie", powiedział, "tak nie twierdzę". Rozmyślał nad tym w jaki sposób wyjaśnić różnicę, którą zielonoświątkowcy odczuwają, że jest między ich zborami, a innymi; to uczucie zresztą jest tak często źle rozumiane. Nagle przypomniał mu się pewien aparat elektryczny, który on i jego żona sobie kupili gdy wprowadzali się do swego mieszkania w Dallas.

"Wszyscy posiadamy prawdę", powiedział. "Wiecie panowie, gdy moja żona i ja przeprowadziliśmy się do Ameryki kupiliśmy sobie coś wspaniałego, tzw. zamrażalnik. Leżą w nim do dziś kotlety z mięsa wołowego z Texasu.

Moja żona mogłaby wyjąć jeden z nich i taki sztywny, zamrożony podać na stół. Byłby to prawdziwy kotlet. Moglibyśmy wtedy tam usiąść i analizować, moglibyśmy dyskutować na temat jego formy i wieku, a także o tym z jakiej części wołu został zrobiony. Moglibyśmy go zważyć i określić jego wartość odżywczą.

Ale gdy moja żona położyłaby ten kawałek mięsa na ogniu, stałoby się coś zupełnie innego. Mój mały synek poczułby coś na drugim końcu ogrodu, przybiegłby i zawołał:

„Mamusi! Tutaj coś tak ładnie pachnie! Chciałbym kawałek tego!”

Moi panowie – kontynuował David – właśnie tak różnie traktujemy tę samą prawdę. Panowie trzymacie ją na lodzie, my natomiast na ogniu”.

David był u nas 24 godziny, a zostało mi po nim pracy na sześć miesięcy: w moim notatniku wypełniłem stronę po stronie adresami i nazwiskami ludzi, którzy nie należeli do zborów zielonoświątkowych, lecz do metodystycznych, baptystycznych, luterkańskich, czy prezbiteriańskich, ale byli ochrzczeni w Duchu.

Rzecz jasną było, że przeprowadzenie z nimi wszystkimi rozmów będzie wielką pracą. Samo napisanie do każdego zajęło mi trzy tygodnie. Później, gdy zaczęły nadchodzić odpowiedzi musiałem ustalić terminy takich rozmów. Do niektórych osób musiałem pojechać osobiście, niektóre zaś w przeciągu roku miały i tak być

w Nowym Jorku. Z niektórymi rozmawiałem przez telefon, z innymi znów miałem tylko listowny kontakt. Z innymi jeszcze rozmawiałem próbując posługiwać się techniką nagrywania rozmowy na taśmę. Na jednej ścieżce taśmy wyjaśniałem im cel książki i stawiałem pytania, drugą ścieżkę nagrywali oni.

Dwoje z pośród tych, których poznałem telefonicznie to Charles i Helen Maurice z Richmond. Gdy tylko Charles otrzymał mój pierwszy list, natychmiast zatelefonował i gdy jeszcze w poczuciu winy zadawałem sobie ile te międzymiastowa rozmowa będzie go kosztować, odpowiedział mi na całą listę pytań, które mu postawiłem. Poznanie tych ludzi jakoś dziwnie mnie uspokoiło gdyż jako rodzina mieszkająca na przedmieściu mieli te same problemy co my, a jeśli chodzi o chrzest w Duchu Świętym to byli oni pełni entuzjazmu.

"Oni są ,szybko żyjącymi' ludźmi", powiedziałem do Tib.

Charles, lub jego żona jeszcze często dzwonili nie dbając o wysokość rachunku za telefon na końcu miesiąca. Chcieli po prostu wiedzieć jak posuwa się sprawa pisania książki. Także podawali mi dalsze nazwiska ludzi mówiących językami na wypadek gdybym ich jeszcze nie znał.

Charles miał biuro prawnicze w Richmond - jak mi powiedział - i pracował jako prokurator w swym mieście powiatowym. On i Helen mieli wielkie poczucie humoru i dużo radości życia tak, że bardzo chcia-

łem poznać ich osobiście.

Gdy im o tym powiedziałem Charles pomyślał przez chwilę. "Czy pan kiedy słyszał o Chrześcijańskim Międzynarodowym Stowarzyszeniu Biznesmenów dla Pełnej Ewangelii?" spytał.

"Niech pan to powtórzy trochę wolniej".

"FGBMFI /Full Gospel Business Men's Fellowship International/... jest grupą ludzi interesu i innych zawodów ze wszystkich chrześcijańskich denominacji, którzy albo już przeżyli chrzest w Duchu Świętym, albo tego przeżycia szukają i którzy kilka razy na rok spotykają się aby wymienić wspólne doświadczenia".

FGBMFI miało odbywać swoją roczną konferencję w Atlantic City, powiedział mi Charles. Helen i on chcieli wziąć w niej udział. Gdybym więc wraz z Tib mógł tam przyjechać, to mielibyśmy okazję do zapoznania się.

"Tam jest bardzo żywo", przestrzegł mnie, "ale jeśli się pan nie zamknie w sobie to już nigdy pan nie będzie taki jak teraz".

"Dobrze", powiedziałem, prawie nie wiedząc na co wyraziłem zgodę.

"Proszę nas tam zapisać, a wtedy spotkamy się".

Przypuszczalna data była już ustalona: 30 listopad 1960 r.

Element tajemniczości utrudniał bardzo badania nad mówieniem językami wśród członków konwencyjnalnych kościołów. Były wprawdzie takie wyjątki jak państwo Maurice, ale przeważnie fakt mówienia ję-

językami niezielonoświątkowcy utrzymywali w takiej tajemnicy, jak gdyby chodziło o produkcję głowic atomowych. Typową odpowiedzią z pośród tych, jakie otrzymałem na moje listy na początku roku 1960 był list pewnego kaznodziei z środkowego zachodu, z małego miasteczka:

"Bardzo chętnie opisałbym panu moje doświadczenia na temat tego, jak prowadzi mnie Duch Święty, aby to mogło przyczynić się dla sprawy Królestwa Bożego. Ponieważ jednak dotychczas podzieliłem się moim zdaniem na temat Ducha Świętego i Jego działania tylko z jedną rodziną z mojego zboru, muszę pana prosić, aby nie podawał pan mojego nazwiska".

Za każdym razem rozmowy w pierwszych miesiącach z prezbiterianami, baptystami, metodystami, którzy byli ochrzczeni w Duchu kończyły się słowami:

"Rozumie pan, mówię to w zaufaniu".

Od czasu do czasu ukazywał się na ten temat jakiś artykuł, ale zawsze tylko bezosobowy, bez wymieniania nazwisk. Episkopalne czasopismo "The living church" /Żywy kościół/ zamieściło na przykład artykuł o następującej treści:

"Mówienie językami nie jest już dzisiaj zjawiskiem właściwym dla jakiegś nic nie znaczącej sekty. Spotykamy je też w naszych szeregach; jest praktykowane przez duchownych i laików, którzy cieszą się dobrą opinią w naszych kościołach. Gdyby języki bardziej się rozpowszechniły, to przeczy-

łyby naszym pojęciom o estetyce i raniłyby głęboko w nas zakorzenione uprzedzenia, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy członkami takiego kościoła, któremu takie wstrząsy są konieczne. Gdyby Bóg wybrał Sobie ten czas, aby - jak powiedział biskup Sterling z Montana - podłożyć dynamit pod 'nasze episkopalne dostojęstwo', to nie znamy żadnego lepszego materiału wybuchowego". /Skrócony urywek z artykułu zamieszczonego w "The living Church", 17 lipca 1960 r./

A później ten materiał wybuchowy eksplodował. W wielkim kościele episkopalnym w Van Nuys, Kalifornia stało się nagle coś, co wydobyło języki na pierwsze strony gazet, przestając bawić się w tajemniczość.

Ojciec Dennis Bennett był człowiekiem, który odnosił zawsze sukcesy. Urodził się w Londynie, studiował w Chicago, później uczęszczał tam do seminarium teologicznego. W roku 1953 przejął walczący o swój byt episkopalny kościół św. Marka w Van Nuys. Pod jego kierownictwem ciągle przybywało wiernych, aż w końcu ich liczba osiągnęła 2600. Zatrudnieni zostali aż czterej duchowni.

Ojciec Bennett czuł, że w jego osobistym życiu wiary czegoś brakowało. Jako jedenastoletni chłopiec przeżył swoje nawrócenie, które pozostawiło po sobie tylko wspomnienie ciepła i miłości, do których to uczuć później nie bardzo umiał powracać.

I oto na początku roku 1960 do ojca Bennett'a zatelefonował ksiądz z sąsiedniej parafii, który zauważył, że w jego własnym kościele dzieje się coś tajemniczego.

W życiu dwojga członków jego parafii mógł widzieć olbrzymią zmianę. Zawsze sądził, że są oni tylko nominalnymi chrześcijanami; nagle jednak zaczęli przychodzić na każde nabożeństwo, zaczęli dobrowolnie zgłaszać się do wykonywania różnych zadań, przyprowadzać przyjaciół na godziny biblijne i ofiarowywać trzy razy więcej niż kiedyś. Gdy przyjaciel ojca Bennett'a dowiadywał się o przyczynę tej zmiany, dowiedział się, że ta para - jak mówiono - przeżyła chrzest w Duchu Świętym i jednocześnie otrzymała dar mówienia w języku, którego sami nie rozumieli. W międzyczasie tego samego doświadczyli też inni parafianie i wszyscy oni otrzymali takie nowe życie i entuzjazm.

Ojciec Bennett został zaproszony, aby sam przyjechał i wszystko obejrzeć. Wziął udział w godzinie modlitewnej z napełnionymi Duchem parafianami i godzina ta wywarła na nim tak silne wrażenie, że sam poprosił o modlitwę, aby i on przeżył chrzest w Duchu Świętym.

"Tylko, że...", powiedział ojciec Bennett, "ja chciałbym ten chrzest przeżyć bez języków".

"Przykro nam", powiedziano mu, "ale języki są z tym chrztem w jednym opakowaniu. A w każdym razie, wg. Biblii, one są normalnym następstwem takiego chrztu".

Ojciec Bennett pozwolił się za sobą

modlić. Otrzymał chrzest w Duchu Świętym i to z językami. Od tej chwili w jego życiu nic nie pozostało bez zmian.

Gdy członkowie jego własnej parafii pytali go o przemianę, jaką w nim dostrzegali, opowiadał im co się stało. W ciągu następnego tygodnia około 70 jego parafian prosiło o chrzest w Duchu Świętym i otrzymało go. Byli to najważniejsi ludzie w parafii: kierownik koła młodzieży, kierowniczką koła niewiast i drugi ksiądz. A wszyscy, którzy to przeżycie mieli byli napełnieni entuzjazmem.

Inni jednak inaczej patrzyli na sprawę. Spośród czterech księży w parafii, dwaj byli teraz ochrzczeni w Duchu Świętym, natomiast dwaj inni nie. Ci dwaj nieochrzczeni zaczęli przeciwdziałać, a wkrótce przyłączyli się do nich inni, którzy podobnie jak oni myśleli. W parafii zarysowało się głębokie rozdarcie i ojciec Bennett wiedział, że coś należy zrobić. 3 kwietnia 1960 roku wygłosił kazanie na temat swojego przeżycia. Aby wszyscy wiedzieli o co w tej grze chodzi, całą historię opowiedział. Powiedział nawet i to, że mówił w języku, jakiego sam nie rozumiał. Dla wielu tego już było za dużo. Jeden z księży zdjął w czasie nabożeństwa sutannę i oznajmił, że w takiej sytuacji nie ma innego wyboru jak tylko odejść. Po nabożeństwie, kasjer parafii podpowiedział ojcu Bennett'owi, że byłoby o wiele lepiej, gdyby to on sam ustąpił. Tak też ojciec Bennett uczynił.

Już następnego ranka całe to zajście

było opisane w gazetach. Agencje prasowe zainteresowały się tym. W ciągu nocy po całym kraju rozeszła się wiadomość: mówienie językami zdarzyło się w normalnym, przyzwoitym kościele i stało się przyczyną braku jedności, rozdarcia i rozłączenia. Taką wiadomość podawał "Time", a także "Newsweek".

W pierwszym odruchu myślałem, że ta historia potwierdziła w roku 1960 to, czego od początku uczyła mnie historia zielonoświątkowców: języki doprowadziły do tego, że ludzie zaczynali się kłócić. Biskup Francis Eric Bloy z Los Angeles wydał list pasterski, w którym zabraniał używania języków w kościołach. Ojciec Bennett został przeniesiony do Seattle, gdzie powierzono mu malutki kościółek misyjny. Pomyślałem sobie, że chciano się po prostu pozbyć kogoś, kto zakłóca spokój. Napisałem do ojca Bennett'a na jego nowy adres, wyjaśniłem mu cel pisania mojej książki i poprosiłem o to, by zajął jakieś stanowisko w związku z wydarzeniami w Van Nuys.

Otrzymałem list, który był napisany bez pomocy sekretarki. "Proszę wybaczyć mi moje błędy", zaczynał się ten list, "piszę bowiem sam, a jestem słabeuszem w dziedzinie pisania na maszynie". Przebiegłem treść listu sądząc, że będzie on potwierdzał osobowość, która doprowadziła w Van Nuys do kłótni, rozerwania i rozejścia się. Potwierdzenia takiej osobowości w nim nie znalazłem. Ojciec Bennett wspominał tylko mimochodem o Van

Nuys. Cała jego uwaga była skierowana na zadanie, jakie miał do wykonania w Seattle.

"Działanie mojego świadectwa o Duchu Świętym i językach w tej okolicy miało potężny skutek i dlatego dniami i nocami jestem zajęty. Nie mniej sensacyjny był sposób, w jaki mała parafia św. Łukasza zbudziła się do nowego życia. W tym małym kościółku misyjnym teraz już 50 osób przeżyło chrzest w Duchu Świętym. Około czternastu księży tej diecezji otrzymało dar języków. Niech Pan będzie za to uwielbiony!"

W długiej korespondencji, jaka rozwinęła się między mną, a ojcem Bennett'em, nigdy i nigdzie nie skarżył się na złe potraktowanie, jakiego doświadczył. Nie wyładowywał się też na ludzi, którzy z nim się nie zgadzali. O wiele później poznałem go osobiście w Nowym Jorku i to wrażenie o nim mi się potwierdziło. Był spokojny i dostojny, chociaż miał opinię człowieka o wielkiej energii. Był człowiekiem tak bardzo zajęтым dniami dzisiejszym, że nie miał już czasu na odgrzebywanie wydarzeń z przeszłości. Kiedyś powiedział - i było to jedyne nawiązanie do minionych wadzeń:

"Oczywiście, próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego to właśnie my w Van Nuys zostaliśmy przewidziani do tego, by stanąć otwarcie przed oczami opinii publicznej, podczas gdy setki innych parafii wszędzie w kraju mają ochrzczono-

nych Duchem parafian i nikt się z ich powodu nie denerwuje.

Jedyną odpowiedzią, jaką znalazłem jest chyba to, że Bóg chciał spowodować, aby ludzie zaczęli mówić o swoich przeżyciach z Duchem Świętym. Aż do całej tej sprawy w Van Nuys wszyscy siedzieliśmy zbyt cicho. Teraz - myślę - ludzie zaczynają sobie opowiadać o swych przeżyciach".

Tak było istotnie. Nagle ledwie mogłem sobie poradzić z powodzią listów, w których ludzie opisywali mi swoje przeżycia nie wstydząc się podpisać swoim nazwiskiem. Pisali ze wszystkich stron. Wszyscy pastorowie jakiegoś bardzo trzeźwego prezbiteriańskiego kościoła na przedmieściu New Jersey otrzymali chrzest w Duchu Świętym. 85% członków zboru baptystycznego w tym samym Stanie zostało ochrzczone Duchem. To samo stało się wśród członków kościoła episkopalnego św. Trójcy w Wheaton, Illinois.

Studenci w Princeton, Yale, Harvard, U.C.L.A., Stanford i Wheaton zaczęli organizować zebrania modlitewne, gdzie modlili się o chrzest w Duchu Świętym i otrzymywali go. W Yale na przykład, dwadzieścia osób zostało ochrzczone w Duchu Świętym, a wśród nich był członek fakultetu, pięciu diakonów kaplicy uniwersyteckiej i dwóch absolwentów "summa-cum-laude". Zaczęli oni organizować zgromadzenia napełnionych Duchem.

Moje badanie wykazało, że ruch zielonoświątkowy z początku miał przeważnie tendencję do przyciągania ludzi mało,

lub wcale nie wykształconych. Gdy teraz jednak rzuciłem okiem na stos mojej korespondencji, to wynikło z tego następujące, ciekawe zestawienie zawodów:

Matematyk	Przedstawiciel han-
Sierżant policji	dlowy
Gospodyni domowa	Właściciel salonu
Fabrykant narzędzi	samochodowego
Agent F.B.I.	Aktor
Fotograf z Hollywood	Prawnik
Inżynier	Magnat olejowy
Urzędnik	Inspektor
Właściciel restauracji	Dyrektor szkoły
Profesor	Lekarz
Psychiatra	Pośrednik sprzeda-
Dentysta	ży parcel
Kaznodzieja	Właściciel mleczar-
Pielęgniarka	ni
Psycholog	Żona fabrykanta
Tragaż	samolotów
Biolog	Rabin żydowski

Coraz więcej przywódców kościelnych donosiło o zielonoświątkowych przeżyciach w ich własnych denominacjach:

Kaznodzieja Samuel M. Shoemaker:

"Niezależnie od tego jakie znaczenie mogłoby mieć to stare, a jednocześnie nowe zjawisko mówienia językami, zadziwia fakt, że pojawia się ono nie tylko w grupach zielonoświątkowych, ale też wśród episkopalian, luteran, prezbiterian. Sam nie mam takiego przeżycia, ale widziałem ludzi, którzy je mieli. Ono ich ubłogosławiło i dało im moc, której przedtem nie mieli. Nie

twierdzą, że rozumiem to zjawisko, ale jestem przekonany, że wskazuje ono na obecność Ducha Świętego w życiu człowieka właśnie tak, jak dym wychodzący z komina wskazuje, że pod kominem pali się ogień. Wiem, że oznacza to, że Bóg próbuje przeniknąć do Swego Kościoła, który często stał się bardzo sztywny i nadąsany obraca się tylko wokół swoich własnych spraw. Bóg próbuje więc napełnić ten Kościół taką mocą, aby znów tryskał życiem, aby promieniował i poświęcał się. Powinniśmy zatem raczej starać się to zjawisko zrozumieć i traktować je poważnie, zamiast przemilczać je, lub sobie wręcz z niego kpić".

Dr. James I. McCord, Prezydent Seminarium Teologicznego w Princeton:

"Nasz wiek musi stać się wiekiem Ducha, wiekiem Boga, który jest aktywny w świecie, który wstrząsa i rozbija nasze wszystkie formy i struktury i doprowadza do odruchów zgodnych z Ewangelią i potrzebami świata".

Dr. Ernest Wright z Harvard:

"... Dokończenie Królestwa Bożego charakteryzuje się potężnym odrodzeniem zjawisk charyzmatycznych. Zarówno duchowni, jak i świeccy będą napełnieni Duchem w nieznaną dotąd mierze i będą trwać w mocy Tego Ducha".

Billy Graham:

"My, członkowie głównych denominacji

patrzyliśmy niejako ze wzdrgną na naszych braci ze zborów zielonoświątkowych, ze względu na akcentowanie przez nich nauki o Duchu Świętym, ale wierzę, że przyszedł czas, gdy należy dać Duchowi Świętemu należne Mu miejsce w naszych zborach. Musimy się na nowo nauczyć co to znaczy być ochrzczonym w Duchu Świętym".

Po drugiej stronie oceanu, Kościół Anglii także zajął stanowisko w tej sprawie:

Biskup Leslie Newbiggin w swojej książce "Kierownictwo nad Domem Bożym" wylicza trzy główne nurty w chrześcijaństwie. Pierwszym jest katolicyzm, drugim protestantyzm, a trzecim ruch zielonoświątkowy.

Dr. Philips Edgecumbe Hughes, wydawca teologicznego kwartalnika anglikańskiego "The churchmen" /Człowiek kościoła/ odwiedził Kalifornię, gdzie słyszał jak episkopaljanie mówili językami. Zanim wyjechał z Anglii przypisywał to wszystko "flirtowi z zielonoświątkowymi wypaczeniami pod gorącym słońcem Kaliforni". Ale ten sąd przekształcił się w zupełnie odmienną opinię. Pisał później:

"Duch żywego Boga dotyka uschłych kości wielkich, czcigodnych, wiekowych denominacji, a szczególnie Kościoła Episkopalnego..."

Od wyboru papieża Jana można zauważyć także w kościele katolickim nowe akcento-

wanie Zielonych Świąt. Papież Jan powołu-
je się ciągle na sobór watykański jako
na "nowe Zielone Świąta". A pod tym okre-
śleniem ma na myśli zielone świąta wraz
z takimi samymi charyzmatycznymi objawie-
niami Ducha, jakie znaleźć można już od
dawna w zborach zielonoświątkowych, wła-
cznie z językami. Czasopismo "Catholic
Messenger" zdefiniowało słowo "charyz-
mat" w raportach z soboru. Słowo to, któ-
re ostatnio jest bardzo często używane
w kręgach katolickich zostało zdefinio-
wane następująco:

"Wydaje się, że będziemy musieli przy-
jąć do naszego słownika słowo 'charyz-
mat', ponieważ raporty z Rzymu właś-
nie w tych dniach donoszą, że jest
ono jedną z najważniejszych nowości
soboru. Słowo charyzmat pochodzi od
greckiego słowa i znaczy dosłownie
dar miłości. Tak, jak go używają teo-
lodzy oznacza szczególny dar, który
bywa udzielony człowiekowi przez Ducha
Świętego. W pierwszym rzędzie dar ten
nie służy własnej korzyści tego czło-
wieka, lecz jest darowany dla dobra
innych... W tym sensie - jak swoim
współkapłanom mówi kardynał Suenens
z Belgii - musimy dzisiaj uznawać
istnienie takich charyzmatów, jeśli
chcemy zachować obiektywne spojrzenie
na Kościół. Charyzmatów nie wolno nam
już traktować jako przypadkowych zja-
wisk z marginesu Kościoła, lecz musi-
my traktować je jako istotną w tym
Kościele wartość".

Ojciec Daniel J. O. Hanlon, profesor teologii na Alma College w Los Gatos w Kalifornii pisze dla katolickiego tygodnika narodowego "Amerika" pewien artykuł, w którym m.in. stwierdza:

"Tych niewielu katolików, którzy w ogóle wiedzą o istnieniu zielonoświątkowców traktują ich niewiele lepiej niż pobłażliwie. Nawet większość protestantów zachowuje w stosunku do nich dystans i nie potrafi niczego dobrego o nich powiedzieć. Mimo to, szybki wzrost ruchu zielonoświątkowego na całym świecie, jak również jego atrakcyjność właśnie dla takich ludzi, do których szczególnie zwracał się nasz Pan, mianowicie dla biednych i odrzuczonych, powinny nas napominać abyśmy odrzucili nasze mieszczańskie uprzedzenia i intensywnie się nimi zajęli".

Jak katolicy mieli to praktycznie czynić? Ojciec Hanlon proponuje coś niezwykłego dla jego kościoła:

"Najlepsza, jeśli nie jedyna droga do tego, by dowiedzieć się jacy zielonoświątkowcy naprawdę są, polega na tym, aby odwiedzać ich nabożeństwa, chociaż dla niejednego katolika równałoby się to wkroczeniu w nowy, obcy świat. Wszyscy, którzy w ten sposób spróbują ich poznać z pierwszej ręki, znajdą wiele rzeczy godnych podziwu, a także wiele rzeczy godnych naśladownictwa".

Stos listów na moim biurku wzrastał. Dowiedziałem się z nich, że episkopalny

biskup, Rt.Rev. Chandler W. Sterling przeżył chrzest w Duchu Świętym. Studenci uniwersytetu państwowego Oregon organizują charyzmatyczne zgromadzenia modlitewne, podobnie jak członkowie zboru św. Inocente-go w Corte Madera, Kalifornia. Pastor pierwszego kościoła presbiteriańskiego w Prince Rupert, B.C., Kanada, Ivan S. Gamble mówi swojemu zborowi, że przeżył chrzest w Duchu Świętym i że od tego czasu jego życie zostało przekształtowane. David du Plessis przyjmuje zaproszenie do wygłoszenia kazania z kazalnicy katedry episkopalnej w Detroit.

Dr. John Peters, kaznodzieja metodystyczny i prezydent World-Neighbours-Organisation /Światowa Organizacja Bliźnich/ przeżywa chrzest w Duchu Świętym podczas gdy baptystyczny kaznodzieja się o to dla niego modli. W każdą sobotę zbiera się na modlitwę pewna grupa charyzmatyków w pokoju hotelu "Benjamin Franklin" w Filadelfii. Zielonoświątkowe przeżycie znajduje dostęp do Zion-Lutheran-Church /Luterański Kościół Syjon/ w Glendive, Montana i do Trinity-Lutheran-Church /Luterański Kościół św. Trójcy/ w St.Pedro, Kalifornia. Wydawca czasopisma baptystycznego konwentu amerykańskiego "Frontier" jest napełniony Duchem. "Lutheran Standard" i "Christian Advocate", oficjalne pisma kościoła luterańskiego i metodystycznego drukują wiadomości na temat zielonoświątkowych zjawisk w ich denominacjach. Ton tych publikacji jest wprowadzić ostrożny, ale nie

wrogi. W kościele metodystycznym "Casa Linda", w wielkim mieście Dallas i w kościele episkopalnym "Advent" w małym mieście Alice - oba miasta w Texasie - występują przeżycia zielonoświątkowe. To samo dzieje się u presbiterian w Alpine, Tennessee, mieście węgla i w centrum wielkiego miasta jak np. w "Hillside Church" /Kościół na Stoku Wzgórza/ na Jamajce i w Long Island, Nowy Jork.

I tak dalej, i tak dalej... Wody wzbie-
rały. - Po około sześćdziesięciu pięciu
latach stoimy u progu rewolucji zielono-
świątkowej.

Wizyta Lydii

Ale jeśli nawet żyliśmy w samym środku rewolucji, to trudno było rozpoznać czy miała ona jakikolwiek wpływ na nasze codzienne życie.

Nasz nowy trawnik porastał w górki i doliny. Udałem się na posezonową wyprzedaż i zapytałem o cenę maszynki do strzyżenia trawników. Tib wydobyła dziecinne rzeczy zimowe i przechodziła przez coroczną rozpacz, że nic nie pasuje.

Listonosz przyniósł list z "Międzynarodowego Stowarzyszenia Biznesmenów Pełnej Ewangelii". Dokonano dla nas rezerwacji dwu miejsc na konferencję mającą się odbyć za dwa miesiące. Proszono mnie abym przesłał mój czek. Charles Maurice nie zapomniał. W odległej perspektywie minionej wiosny jego entuzjizm sprawił, że konferencja zapowiadała się wcale interesująco. Ale teraz cała sprawa wyglądała śmiertelnie nudno i żałowałem, że daliśmy się w to wciągnąć.

Włożyłem list do przegródki "do załatwienia" razem z ogłoszeniem o ratalnej subskrypcji pisma, które mnie szczególnie nie interesowało. Obydwoma sprawami mógłbym się zainteresować. Oczywiście, kiedyś ...

Teraz jeździłem pociągiem do miasta niemal codziennie. Zdecydowałem się na dokonanie nagrań ludzi mówiących językami celem odtworzenia ich później przed językoznawcami. Chciałem sprawdzić co oni o tym pomyślą.

Nasz dom w Chappaqua był zbyt daleko, aby zapraszać tam ludzi. Nagrań dokonywałem więc w biurze redakcji "Guideposts" w Nowym Jorku.

Zespół redakcyjny "Guideposts" całkiem się przyzwyczał do energicznych osobowości zielonoświątkowców, którzy przychodzili na nagrania. Kiedy po raz pierwszy recepcjonistka powitana została tubalnym "Dzień dobry! Siostro! Czy jest brat Sherrill?" to w jej odpowiedzi powiało chłodem. Ale po niedługim czasie "bratowała" i "siostrowała" z najlepszymi z nich, a nawet oczekiwała tych małych eksplozji w codziennej rutynie biurowego dnia.

Dla dokonywania nagrań brałem swego gościa do oddzielnego pokoju biurowego gdzie znajdowała się aparatura i zamykałem drzwi. Ale jeśli miałem nadzieję, że w ten sposób odizoluję resztę pomieszczeń biurowych od rozpraszających uwagę dźwięków, to był to daremny trud. Jeśli chodzi o języki, to zielonoświątkowcy przeważnie nie krepują się używać ich. Zdarzało się, że siła głosu wzrastała, dziwaczne sylaby i rytmy wrywały się z małego pokoiku, gdzie znajdowałem się ze swym gościem i po ciszy panującej w sąsiednim pokoju wnioskowałem, że ustała tam wszelka działalność i wszystkie uszy kierują się w stronę zamkniętych drzwi.

W czasie przerw na kawę języki stały się tematem numer jeden, żywotnością zainteresowania bijąc nawet doniesienia światowe. Reakcje przeróżnych maszynistek i redaktorów zdawały się oscylować od roz-

bawienia do wesołości. Nadeszły moje urodziny i obok tradycyjnego ciastka, którym w biurze czci się takie okazje, znalazłem małą paczuszkę. Wewnątrz była miniaturowa waza grecka z długim napisem po grecku biegnącym wokół obrzeża.

Na kartce przywiązanej do szyjki napisane było: "To dla nas greczyzna, John, ale nagrywaj dalej. Najlepsze życzenia urodzinowe!".

Docinki czyniono zawsze na wesoło, ale myślę, że wyrażały one poważne wątpliwości jakieś w związku z tym fenomenem odczuwało wiele osób w redakcji i które to wątpliwości ja także podzielałem.

Te wątpliwości podsumowała pewnego dnia za nas wszystkich Dina Donohue, nasz kierownik działu, kiedy posilaliśmy się kanapkami przysłanymi z pobliskich delikatesów. Kiedy tak siedzieliśmy wokół stołu w głównym pomieszczeniu redakcyjnym, Dina oświadczyła:

"Ja także potrafię mówić językami. Posłuchajcie!"

I zaczęła: dziwaczne pomruki, chrząknięcia, mlaskania i inne bezsensowne sylaby wypowiedane z wielką ekspresją dawały złudzenie jakiegoś języka. Elokwencja Diny spotkała się z powszechnym aplauzem, ale w ciszy, która potem nastąpiła moja sekretarka zapytała:

"Czy pan naprawdę sądzi, że da się wykazać jakąś różnicę pomiędzy tym, co mówiła Dina, a tymi "językami", którymi - jak utrzymują - mówią ci ludzie?"

Musiałem przyznać, że nie potrafię dostrzec żadnej różnicy.

Czy nie jest możliwe, że istota problemu jest bardzo prosta? Nie chodzi o to, że ci mówiący językami próbują oszukać kogośkolwiek, ale że po prostu oszukują samych siebie. Czy pod wpływem emocji religijnej i z uwagi na silną tradycję, która każe im oczekiwać pewnych objawów nie biorą oni mylnie za Boże działanie po prostu tego bełkotania i mamrotania, jakie każdy może sfabrykować?

Właśnie wtedy, kiedy te myśli i obawy były najsilniejsze złożyła mi wizytę Lydia.

O Lydii Maxam słyszałem od wielu różnych osób. Słowo, które najczęściej pojawiało się przy jej opisywaniu było "arystokratyczna". Była pierwszą damą Filadelfii, członkini kościoła episkopalnego i jedną z niewielu nie-zielonoświątkowców, którzy zgodzili się mówić językami do mojego mikrofonu.

Lydia spodobała mi się od pierwszej chwili, gdy weszła do pokoju: wysoka, pełna godności, uśmiechnięta.

"Istnieje pewien warunek, od którego zależy moja zgoda na to, by mówić do tego aparatu", powiedziała kiedy byliśmy sami w pokoju, a ja wyjaśniałem jej działanie magnetofonu.

"Dla mnie języki, to zawsze modlitwa. A nawet szczególny rodzaj modlitwy. Używam ich kiedy modłę się o sprawy, w których mój własny umysł nie widzi rozwiązania - zazwyczaj w modlitwie o kogoś innego, kiedy nie mogę znać wszystkich zależności i komplikacji".

"A więc, jeśli chce pan, abym mówiła

językami, musi mi pan pozwolić modlić się o jakiś rzeczywisty problem, najlepiej o taki, który dotyczy pana, czy kogoś bliższego panu".

Przez chwilę zastanawiałem się. Nie było niczego szczególnie pilnego. I wtedy przypominałem sobie rękopis Tib. Był to artykuł do czasopisma, nad którym Tib trzymała się od kilku tygodni. Wersja, za którą kończyła swój żywot w koszu i dzisiaj rano powiedziała mi, że termin ostateczny mija jutro, a ona czuje, że nie jest bliższa ostatecznego rezultatu niż w dniu, w którym przyjęła zamówienie. Mówiąc to, była bliska płaczu, co nigdy nie zdarzało jej się w związku z jej pracą.

Opisałem Lydii tę sytuację.

"Czy o coś takiego chodziło pani?"

"Właśnie o to", powiedziała. "Gdyby pańska żona tu była, to poprosiłabym ją, aby usiadła na tym krześle. Potem po prostu położyłabym ręce na jej głowie i poprosiłabym, aby Duch Święty użył mnie jako kanału, przez który mogłby wkroczyć w tę sytuację. Poprosiłabym Go, aby usunął wszelkie zakłócenia, czy osobiste problemy, które blokują doskonałe zrozumienie, które jest jednym z Jego darów. Poprosiłabym Go, aby Sam tę sprawę rozwiązał dla własnej chwały. Języki byłyby po prostu dowodem poddania Jemu mej woli i umysłu".

Lydia powiedziała także, że w przypadku gdy osoba, za którą ma być wzniesiona modlitwa jest nieobecna, ktoś inny może usiąść zamiast niej. Spytała też czy nie

zechciałbym usiąść w miejsce Tib i przyjąć modlitwę za nią. Zgodziłem się i natychmiast tego pożałowałem. Czy nie wiedziałem o tych wszystkich nastawionych na podsłuchiwanie uszu z drugiej strony drzwi? Jak mogłem osobiście angażować się w coś, w stosunku do czego sam żywiłem tak mieszane uczucia?

Ale teraz było już za późno aby się wycofać. Włączyłem magnetofon, krzesło postawiłem pod oknem tak daleko od drzwi jak tylko mogłem i usiadłem. W tej samej chwili spotkałem się z czymś, co było gorsze od słuchaczy. Naprzeciw mojego okna było pomieszczenie jakiejś fabryki odzieżowej, w którym około piętnastu dziewcząt siedziało przy maszynach do szycia i - jak mi się zdawało - wszystkie były nieszczególnie zainteresowane swoją pracą. Nasze obydwa okna spoglądały na siebie od lat, ale dopiero teraz ten fakt bardzo mi przeszkadzał.

Lydia jednak wcale nie zwracała uwagi na otoczenie. Stanęła za moim krzesłem, lekko położyła mi obie ręce na głowie i zaczęła się modlić po angielsku o usunięcie tego, co blokowało twórczą aktywność Tib. Jedna z dziewcząt z naprzeciwka spojrzała w naszą stronę. Powiedziała coś do dziewczyny siedzącej przy sąsiedniej maszynie i teraz obie patrzyły na nas. Zamknąłem oczy, aby odciąć się od tych rozpraszających wpływów otoczenia, ale to jeszcze pogorszyło moje położenie, gdyż teraz w swojej wyobraźni widziałem cały zakład krawiecki zgromadzony przy

oknie i patrzący jak elegancka dama modli się nad łysiejącym facetem.

Sytuacja stała się dla mnie zbyt humorystyczna. Zacząłem się śmiać, ale musiałem ten śmiech zdusić w sobie, gdyż Lydia modliła się z taką oczywistą szczerością. I właśnie w tym momencie, kiedy tak walczyłem ze śmiechem wydarzyła się ta nadzwyczajna rzecz.

Bez żadnej zmiany tonu swego głosu Lydia zaczęła modlić się językami. I w tym momencie odczułem, rzeczywiście odczułem falę gorąca przechodzącą od jej rąk do mojej głowy, a później stopniowo poprzez kark i ramiona. Było to wrażenie gorąca, ale bez jego skutków. Nie czułem żadnego pieczenia czy parzenia. Było to jakby zbliżanie się do intensywnego źródła ciepła, rozpalonego pieca czy słońca, które jednak zupełnie nie miało palących właściwości.

Było tak przez cały czas gdy Lydia modliła się językami, jednak później wrażenie to nie było już tak intensywne jak na początku. I nagle odkryłem, że płaczę. Wielkie łzy spływały mi po twarzy i kapały na krawat. Łzy te jednak wcale nie odzwierciedlały moich uczuć, podobnie zresztą jak i gorąco nie miało żadnego związku z działaniem kaloryferów. Bardzo ostro uświadamiałem sobie obecność dziewcząt w oknie sąsiedniego budynku, nie śmiałem otworzyć oczu ze strachu, by nie spotkać się z ich spojrzeniami. W miarę jak Lydia przedłużała swoją modlitwę świadomość ta rosła we mnie nieustannie. Kiedy wreszcie skoń-

czyła modlitwę i zdjęła ręce z mojej głowy, nagłym ruchem na obrotowym krześle odwróciłem się od okna i przez długi czas pilnie zajmowałem się magnetofonem. W sąsiednim pomieszczeniu zaczęły klekotać maszyny do pisania.

Lydia wyszła w chwilę potem tak chłodna jakbyśmy rozmawiali o otwarciu sezonu baletowego, ale ja pozostałem samotnie w swoim pokoju przez długi czas. Miałem wiele do przemyślenia; wiele myśli musiałem sobie na nowo poukładać. Czułem się jak człowiek, który właśnie przestał głaszać małego kotka i wtedy dopiero zauważył, że trzyma rękę na głowie tygrysa. Co to jest, ta namacalna moc, która nawiedziła ten pokój, gdy Lydia modliła się językami? Czyż było możliwe, że mylnie traktowałem ten cały problem jako nieistotny i wynikający z czegoś innego? Czy jest w tym jakaś tajemnicza siła?

Tib spotkała mnie na dworcu tego wieczora z miną kota, który właśnie przed chwilą zjadł kanarka.

"Jak tam rękopis?" zapytałem siadając za kierownicą samochodu.

"Wysłany", powiedziała nachylając się ku mnie. "Właśnie wrzuciłam go do skrzynki. Zupełnie nie rozumiem dlaczego miałam takie kłopoty z tym artykułem. Był tak prosty, kiedy go wreszcie napisałam! Cały czas przedtem próbowałam go tylko komplikować. Dzisiaj po południu znów zabrałam się do pisania go i od razu mi wyszedł. Nieomal sam się napisał".

Nie powiedziałem jej o modlitwie Lydii.

Nie wiedziałem zupełnie jak się do tego zabrać. Zanim mógłbym bowiem cokolwiek na ten temat powiedzieć, wiedziałem, że musiałbym jeszcze o dużo więcej przemyśleć, bardziej się weń zagłębić, dużo więcej zbadać.

Wieczorem, po kolacji wypisałem sobie trzy pytania, na które chciałem znaleźć odpowiedź:

Czy Biblia mówi coś o tym, że języki mają jakąś dziwną moc?

Jeśli mają moc, to dlaczego przez tyle stuleci nie były używane?

Czy ludzie, którzy teraz mówią językami świadczą o tej mocy?

Zacząłem od Biblii. Zaraz następnego ranka wydobyłem swoją konkordancję i odkryłem, że Nowy Testament zawiera około trzydziestu miejsc odnoszących się do języków. Ale już nawet pobieżny przegląd tych miejsc uświadomił mi, że Biblia mówi o dwóch zupełnie różnych sposobach używania tego fenomenu.

Pierwszy to ten, z którym zdażyłem się już zapoznać, gdzie języki są uznawane za znak, że Duch Święty wstąpił w danego wierzącego. Nowy język w tym wypadku zdaje się mieć niewielkie znaczenie; służy tylko jako dowód.

O tym znaczeniu języków mówi najpierw - jeśli chodzi o kolejność występowania w Biblii - Ewangelia wg. Marka. Jezus został ukrzyżowany, wstał z martwych i teraz oto objawia się uczniom z nakazem głoszenia Ewangelii po całym świecie.

"A takie znaki będą towarzyszyły tym, którzy uwierzyli: w imieniu moim demony

wyganiać będą, nowymi językami mówić będą..." /Mk.16,17/

Fragment ten zawierający słowa Samego Chrystusa ma wielki autorytet i zielonoświątkowcy przywiązują do niego wielką wagę. Wkrótce jednak odkryłem, że nie wszyscy uważają go za wystarczająco autentyczny. Angielski przekład Biblii, tzw. Wersji Króla Jakuba, który dokonany został z manuskryptu zwanego Kodeksem Aleksandryjskim, pochodzącego z V w. n.e. zawiera ten fragment. Jednak wcześniejsze manuskrypty z IV.w.n.e. nie zawierają go. Oczywiście, w IV.w. te słowa mogły być częścią jakiejś ustnej tradycji, która nie została jeszcze utrwalona na piśmie. Być może, że wspólne doświadczenie wielkiej liczby chrześcijan przekonały ich, że także i ta tradycja jest częścią piśmiennej spuścizny Kościoła.

Księga Dziejów Apostolskich napisana przy końcu pierwszego wieku, której nikt nie podejrzewa o późniejsze dodatki kilkakrotnie wspomina o językach, traktując je jako znak obecności Ducha Świętego. W związku z tymi wzmiankami warto zwrócić uwagę na trzy fakty:

1. Języki uznawane są za niepodlegający dyskusji dowód, że daną osobę lub grupę napełnił Duch Święty.

"I zdumiali się wierni żydowskiego pochodzenia, którzy z Piotrem przyszli, że i na pogan wylany został dar Ducha Świętego; słyszeli ich bowiem jak mówili językami..." /Dz.Ap.10, 45-46/

2. Nie podlegało także dyskusji, że ję-

zyki były rezultatem tego, że sam Dych przemawiał przez ludzi.

"I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym i zaczęli mówić innymi językami tak, jak im Dych poddawał". /Dz.Ap.2,4/

3. Nie przykłada się zbyt wielkiej wagi do języków jako takich. Gdy Piotr referował przed zbozem w Jerozolimie swoje przeżycia w Cezarei, to nie zadał sobie nawet trudu aby wymienić języki, jakkolwiek były one w tych wydarzeniach bardzo ważne. /Dz.Ap. 11,15/

Tak więc języki traktowane były jako znak zstąpienia Ducha Świętego. Ale kiedy zwróciłem się do listów Pawła, to zrozumiałem, że patrzy on na nie zupełnie inaczej. Paweł traktuje języki bowiem nie jako jednorazowe wylanie, ale jako stałe doświadczenie. Były one ważne nie tylko jako dowód Bożej obecności, ale także dlatego, że ich używanie przynosiło pewne określone korzyści Kościołowi. Były one darem Ducha dla pożytku wierzących, aby były używane wraz z pozostałymi ośmioma darami Ducha do budowania ludu Bożego. Według Pawła, są jakby trzy zasadnicze dziedziny, w których języki odgrywają ważną rolę:

1. W prywatnej modlitwie służą mówiącemu do uwielbiania Boga.

2. Pozwalają mu modlić się nawet wtedy, gdy nie wie o co ma się modlić.

3. W publicznym nabożeństwie, gdy towarzyszy im inny z dziewięciorga darów - tłumaczenie, języki stają się środkiem służącym do bezpośredniej komunikacji pomiędzy Bogiem a człowiekiem.

Ten pierwszy list do Koryntian napisany został około roku 54 n.e. Paweł przebywał w Efezie, gdy doszły go wiadomości, że zbor w Koryncie przeżywa trudności. Wśród nieprawidłowości i nadużyć, jakie zakradły się do praktyki chrześcijańskiej był też swego rodzaju nieporządek podczas publicznych zgromadzeń, który był rezultatem nadużywania niektórych darów Ducha, a szczególnie języków. Dwunasty, trzynasty i czternasty rozdział swego listu poświęca Paweł omówieniu tych darów, a szczególnie języków. Ale przestrzegając wierzących przed nadużywaniem darów duchowych, Paweł przedstawia nam bardzo przejrzysty obraz jak powinny być one używane. Przystudiowałem te trzy rozdziały i poczyniłem następujące uwagi:

- »Zwróciłem uwagę przede wszystkim na stosunek Pawła do wydarzeń w Koryncie. Nie ma żadnej wzmianki o zaskoczeniu, żadnego zdziwienia w rodzaju: "co się tam u was wyprawia?!" Najwidoczniej musiał być oswojony ze zjawiskami tego rodzaju, o których mu donoszono. Bez sprzeciwu akceptuje je jako autentyczną część doświadczenia chrześcijańskiego i chodzi mu jedynie o to, aby te zjawiska zostały odpowiednio uszeregowane.
- »Paweł uznaje, że Duch Święty jest źródłem języków. "A w każdym różnie przejawia się Duch ku wspólnemu pożytkowi. Jeden bowiem otrzymuje przez Ducha mowę mądrości... inny różne rodzaje języków, inny wreszcie dar wykładania

języków". /1.Kor.12,7-10/

»Wierzy on, że ich używanie zostało ustanowione przez Boga. "A Bóg ustanowił w Kościele... r. ne języki". /1.Kor.12, 28/.

»Traktuje on jednak języki jako jeden z wielu darów, które manifestowane są przez Ducha. Wylicza dziewięć z pośród nich:

- słowo mądrości
- słowo poznania
- wiara
- dary uzdrowień
- czynienie cudów
- prorocтво
- rozeznanie duchów
- różnego rodzaju języki
- wykładanie języków /1.Kor.12*,8-10/

»Paweł uważa, że dary te, włącznie z językami są dane przez Boga w pewnym określonym celu. "A w każdym różnie przejawia się Duch ku wspólnemu pożytkowi". /1.Kor.12,7/

»W przypadku języków celem tym jest posilenie tego, kto ich używa. "Kto językami mówi siebie buduje". /1.Kor.14,4/

»Kiedy towarzyszy im wykładanie, języki są także skuteczne w budowaniu zboru jako całości. "Gdy się schodzicie... inny z was służy językami, inny ich wykładem; wszystko to niech będzie ku zbudowaniu". /1.Kor.14,26/.

»Języki nie należą jednak do najważniejs-

szych darów. Paweł umieszcza je na końcu listy. "A Bóg ustanowił w kościele najpierw apostołów, po wtóre proroków, po trzecie nauczycieli, następnie moc czynienia cudów, potem dary uzdrawiania, niesienia pomocy, kierowania, różne języki". /1.Kor.12,28/

» Paweł traktuje języki jako rodzaj modlitwy. "Bo jeśli się modłę językami..." /1.Kor.14,14/

» W liście do Rzymian traktuje on języki jako rodzaj modlitwy przydatnej wówczas, gdy umysł jest czymś zakłopotany. "Podobnie i Duch wspiera nas w niemocy naszej; nie wiemy bowiem o co się modlić, jak należy, ale sam Duch wstawia się za nami w niewysłowionych westchnieniach". /Rzym.8,26/

» Nie wygłasza teorii, ale mówi w oparciu o osobiste doświadczenie. Sam osobiście w wielkiej mierze używał języków. "Dziękuję Bogu, że ja o wiele więcej językami mówię, niż wy wszyscy". /1.Kor.14,18/

» On nie tylko modlił się językami, lecz też śpiewał językami. "...będę śpiewał duchem, będę też śpiewał i rozumem". /1.Kor.14,15/

» Paweł nie oczekuje, że język, którym się mówi będzie rozumiany przez słuchaczy /w przeciwieństwie do Pięćdziesiątnicy, kiedy to słuchacze rozpoznali swe ojczyste języki/. "Bo kto językami mówi, nie dla ludzi mówi, lecz dla Bo-

ga; nikt go bowiem nie rozumie, a on w mocy Ducha rzeczy tajemne wygłasza".
/1.Kor.14,2/

»Nie uważa on też, że usługiwanie językami dane jest każdemu. "Czyż wszyscy językami mówią?" /1.Kor.12,30/
W tym miejscu z kontekstu wynika odpowiedź negatywna. Nie. Nie wszyscy mówią językami. Zielonoświątkowcy zwracają w tym miejscu uwagę na to, że w tych trzech rozdziałach Paweł omawia języki jako dar, a nie jako inicjujący znak chrztu w Duchu Świętym. Uważają oni, że każdy mówi językami, nawet krótko, w momencie przeżycia chrztu niezależnie od tego, czy później dany jest mu dar mówienia językami do użytku w codziennym życiu chrześcijańskim.

»Mimo te ostrzeżenia przed nadużywaniem języków Paweł zachęca Koryntian do mówienia językami. "A pragnąłbym, żebyście wy wszyscy mówili językami..." /1.Kor.12,5/ i "językami mówić nie zabraniajcie". /1.Kor.12,39/

Jeśli zatem dwa rodzaje manifestacji języków - zarówno jako znak i jako dar - znane były autorom Nowego Testamentu i jeśli wynikały z nich tak oczywiste korzyści, to dlaczego języki zanikły w Kościele?

Na to pytanie odpowiedź znalazłem natychmiast: one nie zanikły!

Języki nadal odgrywały swoją rolę w doświadczeniu chrześcijańskim poprzez wieki. Znaczenie ich zostało pomniejszone - być może na skutek takich ostrzeżeń jakie Pa-

weł skierował do Koryntian. Ludzie, którzy ich doświadczali nic o tym nie mówili, tak, że łatwo można przeoczyć jakiegokolwiek wzmią-
nki o tym zjawisku. W momencie, gdy zaczą-
łem ich szukać okazało się, że są!

Sięgając wstecz do drugiej połowy dru-
giego wieku odkrywamy, że niektórzy chrze-
ścijanie ubolewali nad tym, że Kościół
stracił swój rozprzestrzeniający się żar.
Przebudzenie pod wodzą Montanusa wzywało
chrześcijan do szukania nowej Pięćdzie-
siątnicy i oczekiwania tych samych mani-
festacji, które towarzyszyły pierwszej
Pięćdziesiątnicy.

Z początku montanizm został przychyl-
nie przyjęty. Dwaj spośród najbardziej
szanowanych i najbardziej wpływowych Oj-
ców pierwszego Kościoła, Tertulian i Ire-
neusz znaleźli w nim wiele racji i udzie-
lili mu swego poparcia. Ale gdy języki
i inne zjawiska zaczęły się rozszerzać,
Rzym zaczął obawiać się ekscesów. Mon-
tanizm ogłoszono herezją i nawet wpływy
Ireneusza i Tertuliana nie zdołały złago-
dzić tego wyroku.

W ruchu tym pojawiały się też i inne
charyzmaty, które jednak nie spotkały się
z takim sprzeciwem.

O Pachomiuszu, założycielu pierwszego
klasztotu chrześcijańskiego w IV w. mówi
się, że był w stanie mówić zarówno po gre-
cku jak i po łacinie, mimo, że nie uczył
się żadnego z tych języków.

Ta tajemnicza zdolność do mówienia ję-
zykiem, którego się nie uczono pojawia się
znów w XIV w. w przeżyciu św. Vincentego

Ferrera, a w XVI w. w przeżyciu Franciszka Xaviera. Był on jednym z pierwszych misjonarzy jezuickich, którzy pracowali m.in. wśród Indian i Japończyków. Wiadomo o nim, że posiadał zdolność przemawiania w językach, których się nie uczył.

Języki pojawiają się na początku wielu wielkich przebudzeń. Pierwotni Waldensi mówili językami. Podobnie Janseniści, Kwakrzy, Metodyści... W.C.Braithwaite opisując zgromadzenie pierwotnych Kwaków pisze: "Gdy oczekiwaliśmy na Pana, często otrzymywaliśmy wylanie Ducha na nas i mówiliśmy nowymi językami".

Poczynając od dziewiętnastego stulecia znalazłem zarówno więcej oryginalnych materiałów źródłowych w bibliotece, jak też więcej wzmianek na temat języków.

- Szkocja, rok 1830: Mary Campbell, młoda dziewczyna z Fernicarry ma zamiar zostać misjonarką. Pewnego wieczoru podczas modlitwy wraz z grupą przyjaciół panna Campbell zaczyna mówić w nieznanym sobie języku. Z początku myślała, że jest to język, który ma jej pomóc w pracy misyjnej, ale później nigdy nie zdołała go zidentyfikować.
- Anglia, rok 1834: Młody i popularny londyński kaznodzieja kościoła prezbiteriańskiego, Edward Irving odkrywa przeżywanie języków w swoim zborze i zachęca do ich praktykowania.
- Stany Zjednoczone, rok 1854: niejaki V.P.Simmons donosi o pojawieniu się

glossolalii w Nowej Anglii. "A.D.1854 starszy zboru F.G.Mathewson mówił językami, a starszy zboru Edward Burnham wykładał je".

- Stany Zjednoczone, rok 1855: Mormoni mówią językami w swojej kolonii w Nauvoo, Illinois. Siódmy artykuł wiary Mormonów /Święci Dni Ostatecznych/ mówi, że wierzą oni "w dar języków, proroctwa, objawienia, widzeń, uzdrowienia, wykładania języków".
- Rosja, ok. roku 1855: Z głębi carskiej Rosji docierają wieści o zielonoświątkowych przeżyciach w kościele prawosławnym.
- Anglia, rok 1873: Języki pojawiają się w następstwie kampanii ewangelizacyjnych Dwighta L. Moody'ego. Robert Boyd po wizycie Moody'ego w Sunderland w Anglii pisze: "Kiedy wszedłem do pomieszczeń YMCA, znalazłem tam bardzo płomienne zgromadzenie. Młodzi ludzie mówili językami i prorokowali. Na miły Bóg! Cóż to miałoby znaczyć? Nic innego jak tylko to, że Moody przemawiał do nich tego popołudnia".
- Stany Zjednoczone, rok 1875: R.B.Swan, pastor w Providence, R.I. pisze: "W roku 1875 nasz Pan zaczął wylewać na nas Swego Ducha: moja żona i ja, a także kilkoro innych, zaczęliśmy wypowiadać po kilka słów w nieznanym języku".
- Stany Zjednoczone, rok 1879: W Arkansas W.Jethro Walthall mówi językami:

"Zupełnie nie znałem biblijnej nauki na temat Chrztu w Duchu, czy języków" - napisze o tym później.

- Armenia, rok 1880: Wśród armeńskich prezbiterian w Kara Kala istnieje silny ruch zielonoświątkowy z mówieniem językami.
- Szwajcaria, rok 1880: Maria Gerber podaje, że w chwilach szczególnej radości, którą opisuje jako „oddanie mego niespokojnego serca Duchowi” śpiewała duchowe pieśni w języku, którego nigdy się nie uczyła. Później Maria przybyła do Ameryki i nie znała angielskiego. Pewnego dnia, podczas modlitwy o chorą przyjaciółkę słowa jej, ku obopólnemu zaskoczeniu okazały się płynną angielszczyzną.

Różnica między tymi rzadkimi pojawieniami się języków, a ruchem zielonoświątkowym, który rozpoczął się w XX w. wydaje się polegać na tym, że przed Charlesem Parhamem i jego szkołą biblijną w Stone's Folly nikt nie przykładął szczególnej wagi do języków. Nie czyniono żadnych prób, aby innych przekonać do tego przeżycia, nie było żadnego zapалу ewangelizacyjnego pobudzającego do takich przeżyć. Języki pojawiały się w odizolowaniu, jakby przypadkowo, niedoceniane. Ale Były.

Dlaczego Właśnie Języki?

Trzecią rzeczą, jaką sobie po wizycie Lydii postanowiłem było porozmawianie z każdym, o kim wiedziałem, że mówi językami, aby stwierdzić, czy uważa on, że praktykowanie tego przydało jego życiu wymiar taki, jakiego nie mógłby osiągnąć modląc się tylko po angielsku. Tkwił mi nadal w pamięci ten tajemniczy prąd gorąca płynący z rąk Lydii i fakt, że po powrocie do domu odkryłem, że modlitwa Lydii o Tib została wysłuchana. Czy te rzeczy były tylko przypadkiem, czy też w pewnym stopniu działała tu moja wyobraźnia, czy i inni ludzie mieli podobne przeżycia?

Oczywiście, kiedy zapytałem zielonoświątkowców jaką rolę odegrały języki w ich życiu, to pierwszą odpowiedzią było zawsze: "upewniły mnie, że zostałem ochrzczony Duchem Świętym". Był to ten dowód, którego szukał Parham i jego studenci, gdy zaczęli swe długotrwałe studium biblijne. Oczywiście, byłoby to rzeczą bezcenną dla wierzącego wiedzieć bez cienia wątpliwości, że Duch Samego Boga objawia się w nim. Zielonoświątkowcy uważają, że języki są źródłem takiej pewności. Jest to zresztą niejako ich do-

gnatem, że chrztowi w Duchu Świętym towarzyszą zawsze języki.

W zasadach wiary Zborów Bożych /Assemblies of God/ stwierdza się: "Chrzest wierzących w Duchu Świętym poświadczany jest przez inicjujący fizyczny znak mówienia językami, tak, jak Duch Boży daje wymawiać".

Wyznanie wiary Kościoła Bożego /Church of God/ wyraża w zasadzie tę samą rzecz: "Wierzymy w mówienie językami, tak, jak Duch daje wymawiać i jest to początkowy dowód Chrztu w Duchu Świętym".

Jednakże poza ugrupowaniami zielonoświątkowymi odkryłem brak powszechnego przekonania w tym względzie. Nawet ci, którzy sami mówili językami w momencie chrztu nie podzielają tego przekonania.

Pewien pastor luterński, Larry Christenson - pastor Kościoła św. Trójcy w San Pedro, Kalifornia, wyraża opinię, którą prawdopodobnie podziela większość nie-zielonoświątkowców mówiących językami. Przeglądając opisy chrztu w Dziejach Apostolskich postawił on następujące pytania:

"Czy to oznacza, że każdy, kto otrzymuje Ducha Świętego mówi językami i że gdy nie mówiliśmy językami, nie otrzymaliśmy Ducha Świętego? Nie sądzę, aby na podstawie Biblii można było dojść do takiego wniosku. Jednakże uważam, że Dzieje Apostolskie podają nam następujący wzorzec:

1. Otrzymanie Ducha Świętego to ściśle określone, wyraźnie umieszczone w czasie, świadome przeżycie.

2. Prostym i przez Boga przewidzianym sposobem objawienia się tego daru Ducha Świętego jest wzniesienie głosu w wierze i mówienie nowym językiem pod natchnieniem Ducha Świętego". /"Trinity" tom III, Nr.1/

Biegunowo przeciwni zielonoświątkowcom są ludzie, którzy są przekonani, że otrzymali chrzest w Duchu Świętym, ale nie zgadzają się z tym, że języki są normalną częścią tego przeżycia. Jednym z nich jest Dr E. Stanley Jones. Razem z Tib rozmawialiśmy z tym weteranem - misjonarzem w Indiach - o jego wrażeniach na ten temat, a później otrzymaliśmy też list od niego, w którym opisuje nam pewne przeżycie, jakie miał gdy był jeszcze studentem Asbury College w Wilmore, Kentucky. Dr Jones pisał:

"Byłem na spotkaniu modlitewnym w pokoju jednego z moich kolegów ze studiów, wraz z trzema innymi kolegami, gdy nagle - bez szczególnego wyczekiwania, czy emocji - niezależnie od czegokolwiek zostaliśmy napełnieni Duchem Świętym, dosłownie od stóp do głów. Nie spałem już przez resztę nocy; mogłem tylko chodzić po pokoju i uwielbiać Go. Przez trzy dni nie było wykładów. Wszystkie zajęcia zamieniono na zgromadzenia modlitewne. Ludzie przychodzący z okolicy nawracali się z nim jeszcze weszli do sali zgromadzeń. Padali na kolana na dziedzińcu szkolnym i tam się nawracali. Nie było kazań, tylko modlitwy i świadectwa o wyzwoleniu i zwycięstwie. Wszyscy studenci nawrócili

się. Dziwiłem się i nie wiedziałem co to mogłoby oznaczać. Wkrótce dowiedziałem się. Przez to nawiedzenie Ducha Świętego zostałem przygotowany do dzieła swego życia. Uświadomiłem sobie, że w tym przeżyciu wypowiedziałem swoje „tak” na Boże powołanie do służby misyjnej.

Znaki przejawiania się Ducha Świętego? Sam Duch Święty był Znakiem. Nie było potrzeby, ani pragnienia innego znaku. Prośba o znak równałaby się prośbie o dowód na istnienie słońca w słoneczne południe. Nikt nie mówił językami, nie znaliśmy tej nauki”.

Tak więc istniała cała gama opinii na temat znaczenia języków w określaniu obecności Ducha Świętego, od „konieczne”, poprzez „pomocne”, aż po „niekonieczne”.

Ale języki miały mieć też inne zastosowanie niż tylko jako znak chrztu. Kiedy apostoł Paweł mówił o językach, jako o darze, to traktował je jako uzdolnienie do uwielbiania Boga. Mieliśmy bardzo interesującą sposobność doporównania tej funkcji języków ze współczesnym ich takim przeżywaniem, gdy rozmawialiśmy z pewnym absolwentem uniwersytetu Yale. Robert V. Morris był członkiem Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Studentów Yale i uważał, że jego życie religijne jest jak najbardziej pełne, z jednym może tylko wyjątkiem, a to właśnie w dziedzinie uwielbiania Boga. Wspominał o tym, jak to kiedyś, gdy na niego przypadła kolej prowadzenia modlitwy, tę modlitwę przerwał. Używał właśnie bardzo popularnej formuły, która zawiera słowa „uwielbiamy Cię, wysła-

wiamy Cię Panie..." i tu nagle przerwał.

"Nie. Ja nie", powiedział ze szczerością, o którą grupa ta od dawna dbała wśród swoich członków. "Ja nie wiem co to znaczy uwielbiać Boga!"

Oczywiście, wiedział on co to znaczy dziękować Mu za określone rzeczy. Często przeżywał zachwyt podczas słuchania pięknej gry organów na nabożeństwie, czy też gdy oglądał jakiś piękny witraż. Ale uwielbiać Boga i to Jego Samego w oderwaniu od czegokolwiek, co On Sam uczynił, lub co uczynił poprzez talent ludzki - to, jak wyznał wobec swoich przyjaciół, było coś, czego jeszcze nie osiągnął.

W niedługi czas potem, na uniwersytecie Yale nastąpiły wydarzenia szeroko komentowane i opisywane w prasie całego kraju. Wielu członków Chrześcijańskiego stowarzyszenia Studentów i inni z grona studentów otrzymywali chrzest w Duchu Świętym wraz z charyzmatami, włącznie z językami. I mimo, że prasa podkreślała języki celem uatrakcyjnienia całej historii, to jednak Bob Morris i inni przywiązywali do nich niewielką wagę uważając, że dary prorocstwa, uzdrowienia, a ponad wszystko owoc miłości, którą Duch Święty wylał na tę grupę były daleko więcej ważne. Ale w osobistym życiu religijnym Boba te właśnie języki wypełniły szczególną lukę.

Bob powiedział nam: "Dla mnie dar języków okazał się darem służącym do uwielbiania. Kiedy używałem danego mi przez Boga, nieznanego języka, to czułem

jak wzrasta we mnie miłość, zbożny lęk, uwielbienie czyste i bezgraniczne, jakiego nigdy nie mogłem osiągnąć w modlitwie rozumowej. Chwała i uwielbienie nie są w swej istocie czymś racjonalnym, a języki, to właśnie taki rodzaj modlitwy, w którym "rozum jest bez pożytku". Języki uwalniają nas od naszej zależności od konkretów i krok po kroku prowadzą nas do pełnej świadomości obecności Boga - - podobnie jak odbieramy osobowość człowieka, bez potrzeby wyliczania poszczególnych detali, które się na nią składają".

Ten nowy wymiar w modlitwie ujawniał się nie tylko wtedy, gdy Bob modlił się językami. Zauważył on w sobie bowiem zupełnie nową zdolność do uwielbiania i wywyższania Boga w modlitwie po angielsku. Często zaczynał modlić się językami, przy czym odczuwał wzrastanie i wzmaganie się w nim tej nowej zdolności. Wtedy zaczynał modlić się po angielsku, odkrywając przy tym, że całe jego życie modlitewne nabrało zupełnie innego charakteru.

"Spostrzegłem, że posiadam zupełnie nową możliwość oddawania chwały Bogu objawionemu w Chrystusie", napisał w artykule do tygodnika "Trinity" w okresie wzmożonego zainteresowania wydarzeniami na uniwersytecie Yale. "Nie tylko intelektualne dziękczynienie, ale uwielbienie, które wydawało się wypływać z nieznanych głębin i to nie pobudzone uczuciami, ale jakby samoczynnie".

A potem dodał jeszcze: "Czułem też bar-

dzo wyraźnie dosłownie fizyczną siłę i prężność w wypełnianiu codziennych obowiązków". /"Trinity", tom III nr.2/

Ta dodatkowa siła i prężność również wiąże się z językami, o czym wspominał apostoł Paweł. Człowiek, który mówi językami - pisał Paweł - buduje siebie samego. /1.Kor.14,4/

Mamy przyjaciela, który codziennie przeprawa się promem pomiędzy State Island, a Manhattan w Nowym Jorku. Przeprowa trwa bez mała pół godziny i może być prawdziwą zmurą w czasie pracowitego dnia. Ale ten człowiek, Dawid Wilkerson - bo o niego tu chodzi - wykorzystuje ten czas na promie na modlitwę w językach. Zaczyna zwykle od przypomnienia sobie wszystkich rzeczy, za które powinien być wdzięczny. W odwrotnej kolejności niż Bob Morris zaczyna on od przeglądu tych rzeczy jedna po drugiej, w myśli wysławiając Boga za każdą z nich po angielsku. Stopniowo zaczyna odczuwać wewnątrz narastającą radość. Ogarnia go świadomość, że jest kochany, że ktoś się o niego troszczy. Zaczyna dostrzegać prawidłowości i cel we wszystkim co go spotyka. I nagle, usiłując wyrazić swoją wdzięczność dochodzi do bariery językowej. Już dalej nie potrafi wyrażać po angielsku tego co czuje. Brak mu słów, by wyrazić wszystko co przeżywa. I właśnie w tym momencie przechodzi na taki rodzaj komunikowania się, którego nie ogranicza słownik. Zarówno jego duch, jak i umysł zaczynają wysławiać Boga.

Gdy prom dobija do przystani na Mahat-

tan w Dawidzie dokonuje się pewna przemiana. Jest zbudowany na ciele i na duchu. Czuje się bardziej ośmielony, gotów do podjęcia nawet niemożliwych zadań, ożywiony i odświeżony, gotów na spotkanie wszystkiego co przyniesie dzień. A to było często bardzo ważne, ponieważ Dawid Wilkerson pracuje wśród ulicznych gangów młodzieżowych w nowojorskich slumsach. Jest to praca, która wymaga kontaktu z kilkunastoletnimi narkomanami, młodocianymi prostytutkami, mordercami i różnymi najbardziej zniechęcającymi i niewdzięcznymi problemami dzisiejszego świata.

A oto kilka jeszcze odpowiedzi na moje pytanie dotyczące wagi języków:

- "Jaki pożytek przynoszą języki? Mogę na to pytanie odpowiedzieć tylko w ten sposób: jaki jest pożytek ze słownika? Jaki jest pożytek z promienia słońca? Po prostu bezgraniczne uniesienie, po prostu radość niewymowna, a wraz z tym siła i pokój, odprężenie i uwolnienie od ciężarów i napięć". - Marianne Brown, gospodyni domowa z Parkesburg, Pennsylvania.
- "Często, a właściwie bardzo często, muszę spędzać noc w dalekobieżnym autobusie, czy w samolocie. Nie polecam tego jako środka zastępującego dobry materac. Ale mam pewien sekret: w momencie, gdy zamykam oczy zaczynam modlić się w Duchu. Modlę się w ten sposób przez całą noc, zapadając w sen i znów się budząc. Tak mogę modlić się

cały czas. Nie wysypiam się zbyt dobrze, ale za to doskonale wypoczywam. Następnego ranka jestem świeży, silny i gotów do całodziennnej pracy". - David Du Plessis, duchowny zielonoświątkowy, Oakland, Kalifornia.

- "Gdy zacząłem modlić się językami, to poczułem się - a ludzie powiedzieli, że też wyglądam - o dwadzieścia lat młodszy. Mój umysł nie wie o czym mówię, ale moja podświadomość wie o tym bez wątpienia, bo to, co się dzieje jest dokładnie tym, o czym pisał apostoł Paweł: "Kto się modli językiem niezrozumiałym buduje siebie samego". Ja jestem budowany, otrzymuję radość, odwagę, pokój, świadomość Bożej obecności. Przy tym jestem słabą istotą, która tego właśnie potrzebuje". - William T. Sherwood, 75-cio letni duchowny episkopalny z St. Petersburg, Floryda.

Gdy dziesięć lat temu dla Sherwooda nadszedł czas odejścia na emeryturę, to napisał wówczas, że cieszy się: od lat już czuł się źle fizycznie, nieustannie zmęczony i bez energii życiowej. Po tym jednak czasie przeżył chrzest w Duchu Świętym i... zaczęły się dla niego najbardziej produktywne lata jego życia!

Innym zastosowaniem języków, o którym mówi Biblia jest zdolność do modlitwy nawet wtedy, gdy sami nie mamy pojęcia o co prosić w danej sytuacji. /Rzym. 8,26.27/

Lydia Maxam w oczywisty sposób posłużyła się tą możliwością modlitwy językami,

gdy wstawiała się o inną osobę, będąc świadoma tego, że prawie wcale nie zna położenia tej osoby. Byłem ciekaw czy i inni ludzie używali w ten sposób języków. Oto fragment listu jaki otrzymałem od pewnego lekarza psychiatrii:

"Każdego ranka, zanim nadejdą godziny przyjęć, mamy razem z żoną modlitwę. Modlimy się o nasze własne potrzeby, a później też o każdego pacjenta, którego przyjmę tego dnia... Najpierw wyrażamy swoją opinię o jego problemie posługując się notatkami poczynionymi podczas poprzednich wizyt przy użyciu całej swej medycznej i psychologicznej wiedzy. A wtedy, świadomi jak wiele chorób umysłowych pozostaje nadal niezbadane, modlimy się o naszego pacjenta językami. Często jestem zaskoczony uzdrawiającą mocą, jaka przejawia się podczas wizyt po takiej modlitwie".

William C. Nelson opowiedział mi o jednym z najdziwniejszych przypadków, kiedy to intelekt po prostu odmówił posłuszeństwa, gdy należało modlić się w krytycznej sytuacji. Rev. Nelson jest obecnie redaktorem naczelnym "Frontiers" - pisma Amerykańskiej Konwencji Baptystów, ale wtedy, gdy to się zdarzyło był on pastorem Pierwszego Zboru Baptystycznego w Whitman, Massachusetts.

Późną nocą, pod koniec roku 1959 zadzwonił telefon przy łóżku Nelsona. Gdy ciągle jeszcze nie całkiem rozbudzony podniósł słuchawkę usłyszał kobiecy głos,

którym przedstawiła się jakaś pielęgniarka z pobliskiego szpitala. Okazało się, że wydarzył się wypadek samochodowy.

"Mamy tu Carol Vinall. Właśnie jej matka podała nam pańskie nazwisko jako ich duszpasterza. Jeśli pan ma zamiar tu przybyć, to proszę się pośpieszyć. Doktor nie ma pewności, czy dziewczynka przeżyje jeszcze chociaż godzinę".

"Zaraz tam będę".

Bill narzucił na siebie ubranie i przekroczył wszystkie ograniczenia szybkości w drodze do szpitala. Portier wiedział już o jego przybyciu i natychmiast skierował go na trzecie piętro. Zegar naprzeciw windy wskazywał godzinę 3.15.

"Tędy, proszę", powiedziała pielęgniarka.

Trzynastoletnia Carol leżała na wysokim szpitalnym łóżku bez żadnych oznak życia. Jej matka stała obok zbiornika z tlenem. "To było zderzenie czołowe", powiedziała. "Od tamtej chwili jeszcze się nie poruszyła". Wyglądało na to, że Carol została wyrzucona z samochodu w chwili zderzenia przez wybitą szybę. Lekarz stwierdził uszkodzenie mózgu.

"Mówią, że jeśli przeżyje, to już nie będzie... normalna", powiedziała pani Vinall.

Bill wiedział, że powinien się modlić. Był przecież ich kaznodzieją. Pani Vinall miała prawo oczekiwać pomocy i pocieszenia od niego. Ale o co się modlić?

Spojrzał na Carol i pomyślał, że godzina życia, jaką dawał jej lekarz była

grubą przesadą. Dziewczynka nadal miała na sobie swoje ubranie; czarny sweter był podarty i poplamiony krwią. Włosy odgarnięte z poranionej i posiniaczonej twarzy pozlepiane były krwią. Miejsca wokół zszytej rany były opuchnięte i zaognione.

Bill wiedział, że najgorszych ran nie widzi. Głęboko wewnątrz kość czaszki ochraniająca mózg została uszkodzona. A jak uszkodzony jest sam mózg? Czy miał prawo modlić się o fizyczną poprawę, skoro istniała możliwość, że Carol po wyzdrowieniu pozostanie przez resztę życia stworzeniem bardziej podobnym do rośliny niż do człowieka? Ale nie mógł się też przecież modlić o to by Carol umarła.

Bill podszedł do łóżka i położył ręce na tej części jej ciała, która wyglądała na najmniej uszkodzoną - na jej prawym ramieniu. W głowie miał natłok przeróżnych sprzecznych myśli, jakie dyktował mu jego umysł.

"Panie", powiedział, "pomóż mi abym wiedział jak mam się modlić".

I w tym właśnie momencie przyszedł mu na myśl werset z Biblii: "Nie wiemy bowiem o co się modlić, jak należy, ale sam Duch wstawia się za nami w niewysłowionych westchnieniach. A Ten, który się bada serca wie jaki jest zamysł Ducha..." /Rzym. 8,26.27/

Jak idealnie pasował ten werset do sytuacji! Bill wziął głęboki oddech i zaczął się modlić nie przy użyciu umysłu, ale jedynie wargami i językiem, pomijając wszelkie swe ludzkie wątpliwości i waha-

nia, używając dźwięków, jakie dawał mu Bóg. Całą modlitwę przekazał bez reszty Duchowi Świętemu wiedząc, że On kocha matkę Carol bardziej niż ktokolwiek z ludzi. Zdawał sobie doskonale sprawę z całej paradoksalności tej sytuacji: na ile on sam był bezwolny i poddany Duchowi Świętemu, na tyle też mógł być skutecznym narzędziem w ręku Bożym

Bill modlił się w ten sposób szeptem w Duchu około piętnastu, czy dwudziestu minut. Na poły tylko uzmysławiał sobie pokój wokół siebie, stojącą lampę, rzucającą światło na ścianę, butelki z lekarami, zbiornik z tlenem, pojemnik na kroplówkę stojący przy łóżku Carol, drugą chorą w pokoju, która przyglądała się tej scenie szeroko otworzonymi oczami. Był świadomy napiętego wyczekiwania pani Vinall. Ale ponad wszystko był świadomy dwóch rzeczy, które działały się w nim samym. Odczuwał stałą falę ciepła, która wypływała z niego do ramienia dziewczynki, które lekko dotykał modląc się. Doświadczał też dziwnej, olśniewającej pewności rosnącej w nim z każdą chwilą: zupełnej pewności, że Carol wyzdrowieje!

I wtedy Carol poruszyła się.

To było wszystko. Tylko jedno ledwo uchwytnie poruszenie. Szept życia dotknął jej ciała i uleciał. Ale to dało Billowi Nelsonowi odwagę, by głośno powiedzieć to, co rozbrzmiewało pieśnią triumfu w jego sercu. Rzecz, której był absolutnie pewien. Rzecz, o której wiedział!

"Pani Vinall, Carol wyzdrowieje".

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zabrzmiały one niedorzecznie. Jak mógł! Pielegniarka pochyliła się nad łóżkiem i z niewzruszonym spokojem przystąpiła do czynności związanych z oddychaniem tlenowym i kroplówką.

Zegar na korytarzu wskazywał godzinę 3.45. Bill spędził tam tylko pół godziny, a wydawało mu się, że trwało to o wiele dłużej. Pani Vinall towarzyszyła mu aż do windy, chcąc jakby jak najdłużej przebywać w pobliżu jedyne go głosu nadziei jaki usłyszała. Stojąc przy windzie powtórzył jej jeszcze raz to, czego sam nie rozumiał, że Carol wyzdrowieje.

I Bill miał rację.

Po dwunastu tygodniach Carol była znów w szkole. Dziś - pięć lat po tym wypadku - - jedynymi pozostałościami po nim są niewielkie blizny na twarzy i ramionach Carol. Bill Nelson wierzy, że to co Paweł pisał do Rzymian kiedyś, jest dzisiaj równie prawdziwe: gdy nie wiemy jak się modlić, "Duch wspiera nas w niemocy naszej".

Czwarte i ostatnie twierdzenie Biblii dotyczące języków i ich zastosowania mówi nam, że języki, wraz z towarzyszącym im darem wykładania ich, że służą one jako środek do bezpośredniej komunikacji między Bogiem, a grupą wierzących zgromadzonych na nabożeństwie.

Szczerze przyznaję, że jeśli chodzi o takie zastosowanie tego daru współczesnie na nabożeństwie, to wydało mi się ono szczególnie podejrzane. Do czasu gdy nad tym zastanawiałem się byłem już na wielu

nabożeństwach zielonoświątkowców i zanotowałem na nich wiele swoich spostrzeżeń.

"Niepokoi mnie", pisałem po jednym z takich zgromadzeń, "że ci ludzie muszą mówić tak głośno i używać tak monotonnego głosu, gdy mówią językami, lub gdy je wykładają. Wydaje się, że wpadają nieomal w trans, który ma oznaczać, że są naprawdę pod działaniem Ducha Świętego i być może mają nadzieję, że dzięki temu będą sprawiali takie wrażenie". innego wieczoru napisałem po prostu: "Bardzo teatralne!"

Zauważyłem, że długość wypowiedzi w językach często nie jest proporcjonalna do długości wykładania jej. Niekiedy też odnosiłem wrażenie, że wykładanie /często dokonywane przez kaznodzieję/ było "tworzone" tylko dlatego, że apostoł Paweł domagał się, aby ono było, a nie dlatego, że zostało spowodowane autentycznym, wewnętrznym impulsem. Zwykle też rozczarowywała mnie treść wykładu. Najczęściej było ono stereotypowym przypomnieniem aby "...stać mocno w tych, ostatecznych czasach...", "kroczyć drogą", "chodzić drogami Pańskimi". Niepokoił mnie także fakt, że język, którego przy tym używano, to niemal wyłącznie archaiczny język Biblii Króla Jakuba. Dlaczego Bóg, jeśli to On rzeczywiście posługiwał się tym środkiem komunikacji z ludźmi, tutaj i teraz nie miałby używać współczesnego nam języka?

I wtedy właśnie miałem pewnego wieczoru osobiste przeżycie związane z tego rodzaju poselstwem od Boga, które spowodowało, że od tamtego czasu zupełnie ina-

czej o tej sprawie myślę. Razem z Tib wybraliśmy się do Filadelfii na zgromadzenie tzw. "grupy sobotniej" - płynnego i umyślnie nie ujmowanego w żadne ramy organizacyjne zgrupowania chrześcijan mówiących językami, w swej większości pochodzących z różnych kościołów historycznych, którzy na jedną sobotę w miesiącu wynajmowali salę w hotelu "Benjamin Franklin" na całodzienne nabożeństwo modlitewne.

Na tydzień przed wyjazdem do Filadelfii podjąłem pewną decyzję, która kosztowała mnie wiele zmartwień. Chodziło o pewnego młodego człowieka, z którym zetknąłem się przed kilku laty podczas zbierania materiału do jakiegoś artykułu. Gromadząc materiały do artykułu na temat przestępczości wśród nieletnich zdarzyło się, że odegrałem pewną rolę w doprowadzeniu do zawieszenia wykonania wyroku sądowego za kradzież, jaki mu groził. Od tego czasu miewałem częste kontakty z jego rodziną, pomagałem mu w znalezieniu pracy i dwukrotnie wzywano mnie na przesłuchanie, gdyż znów oskarżano go o kradzież w pracy. Teraz znów był w więzieniu, na podstawie niezbitych dowodów winy, a ja zmuszony byłem dojść do niełatwego wniosku, że wszystkie moje próby wyrwania go, wstawianie się za nim, wkraczanie między niego, a konsekwencje jego czynów nigdy nie leżały w jego interesie.

Była to długa i skomplikowana sprawa, w którą zaangażowana była zarówno grupa ludzi z kościoła, jak i inni, ale w zasadzie była to moja własna decyzja i waha-

łem się od całkowitego przeświadczenia o słuszności swego działania, aż po zupełne zwątpienie. Członkowie rodziny chłopca napisali do mnie, oskarżając mnie, że jestem niestałym przyjacielem i zarzucili mi jeszcze wiele innych trudnych do odparcia spraw.

W każdym razie właśnie pod koniec tego tygodnia wybraliśmy się do Filadelfii. Przez mniej więcej godzinę od chwili gdy dołączyliśmy do zgromadzenia w pomieszczeniu na jedenastym piętrze, spotkanie przypominało wiele innych, w których brałem już udział. Było sporo modlitw w językach, ale były to modlitwy prywatne: albo cicho modlących się pojedynczych osób, albo też małych grupek, po trzy - cztery osoby "usługujące" sobie nawzajem.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, pewna kobieta, pełniąca funkcje pastora metodystycznego wyszła na środek pokoju i wygłosiła poselstwo w językach, które wyraźnie przeznaczone było na to, aby usłyszała je cała grupa. Natychmiast zaległa cisza. Po chwili jakiś męski głos zaczął wykladać. Z miejsca, na którym siedziałem nie mogłem go widzieć, ale w jego głosie nie było niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że jest on w jakiejś ekstazie. Język, jakiego używał był zwykłym, współczesnym językiem angielskim. Mówił przy tym bardzo spokojnie.

"Nie martw się. Cieszę się ze stanowiska, jakie zająłeś. Dla ciebie jest to trudne, ale przyniesie wiele błogosławieństwa komuś innemu".

Słowa te uderzyły mnie z nieopisaną mocą. Wiedziałem, że były one przeznaczone dla mnie osobiście w tej właśnie chwili. Rzeczywiście, dały mi one odwagę, aby wytrwać przy swojej decyzji w następnych tygodniach i to w obliczu wielkiego nacisku z zewnątrz. Wydarzenia, które potem nastąpiły dowiodły, że obrałem właściwy kierunek postępowania w tej sprawie.

Jeszcze coś łączyło się z problemem języków, a mianowicie, uczucie absolutnej pewności, które było moją wewnętrzną reakcją na wspomnianą wypowiedź w językach z tłumaczeniem. Od tego czasu nie miałem ani cienia wątpliwości, że było to Słowo Boże dla mnie, tak jak nie wątpię, że w tej właśnie chwili stoi przede mną maszyna do pisania.

Później oczywiście rozmyślałem nad innymi możliwymi znaczeniami tych słów. Nie mogłem jednak podważyć jednego faktu, a mianowicie moich własnych odczuć w tym momencie. Było w tym coś, czego nie mogłem wyczytać z listów Pawła i czego nie mógłbym nawet odgadnąć: Bóg mógł sprawić, aby Jego poselstwu towarzyszyło potwierdzające przekonanie u słuchacza.

Nie bardzo próbowałem to kwestionować. Poselstwo od Boga dla nas osobiście jest przecież rzeczą wspaniałą. Zmartwiło mnie jednak to, że kiedy stawiałem sobie zadanie, by odkryć, czy języki mają jakieś praktyczne znaczenie, to myślałem tylko o ich znaczeniu dla innych ludzi, a nie dla mnie samego.

Opowieść

Detektywistyczna

Jednym z najzacniejszych ludzi jakich znałem był niezwykle tęgi, jowialny Żyd o nazwisku Jacob Rabinowitz. Kiedy pewnego dnia jedliśmy razem kanapki w jednym z nowojorskich sklepów delikatesowych, Rabinowitz całkiem nieoczekiwanie powiedział:

"Czy słyszeliście o ortodoksyjnych Żydach? Albo o reformowanych Żydach?"

Tib i ja kiwnęliśmy potakująco głowami.

"A czy słyszeliście kiedy o kompletnym Żydzie?"

Gdy odpowiedzieliśmy, że o takim nie słyszeliśmy, Jacob opowiedział nam swoją historię.

Był rabinem, synem rabina, wnukiem rabina... itd., aż siedemnaście pokoleń wstecz - od setek lat Rabinowiczowie byli rabinami w swojej wierze. Kiedy przed kilku laty Jacob zaczął skłaniać się po mału ku prawdzie chrześcijaństwa, to czuł się jak zdrajca tej wielowiekowej tradycji. "Zanosiko się na to", powiedział, "że stanę się nawróconym Żydem. To jest okropne, gdy ktoś odwraca się od swego żydostwa. Ale ja byłem dumny z tego, że byłem Żydem. Dzisiaj wiem,

że nie ma tu żadnej sprzeczności. Nie jestem wcale Żydem - konwertytą, lecz Żydem kompletnym, w którym uzupełnione było coś, co przedtem brakowało, podobnie jak Piotr i jak Paweł".

I wtedy Jacob opowiedział nam o tej chwili, kiedy poczuł, że został w nim ten brak uzupełniony. Jacob był - jak to sam określił - chrześcijaninem z przekonania, ale chrześcijaninem z silnym poczuciem winy, świadomym głębokiego rozdarcia wewnętrznego. W tamtym czasie, pewnego upalnego lipcowego popołudnia 1960 r. przyjaciel zaprosił go, aby odwiedził z nim "First Assembly of God" /Pierwszy Zbór Boży/ w Pasadena w Texasie, gdzie właśnie odbywała się ewangelizacja. Po krótkim wahaniu, jako że wystrzegał się wszelkiego emocjonalizmu, zgodził się tam pójść.

Nabożeństwo miało typowy zielonoświątkowy charakter. Były tam więc pieśni i świadectwa, klaskanie w dłonie i w końcu kazanie. Pod koniec swego przemówienia kaznodzieja zaprosił każdego, kto miał jakiś osobisty problem, aby wyszedł na przód do pierwszej ławki. Zbór miał się za takich modlić.

Jacobem nagle owładnęła tęsknota, aby w końcu położyć kres temu podwójnemu życiu, jakie od dawna prowadził, aby raz na zawsze rozwiązać ten uciążliwy wewnętrzny konflikt. Wyszedł więc naprzód i uklęknął do modlitwy wraz z innymi. Jednak na pytanie kaznodziei, jaka jest jego osobista prośba nic nie odpowiedział.

"Dobrze", rzekł ewangelista, "Bóg lepiej wie jakie są twoje potrzeby niż ty sam".

I zwracając się do zboru, poprosił o modlitwę "w Duchu" za Jacobem.

Kilku mężczyzn zaraz wstało ze swych miejsc i stanęło obok klęczącego rabina. Niektórzy stali obok, inni z tyłu; kilku z nich położyło mu ręce na głowie i na ramionach, gdy tymczasem inni tylko pochylili głowy. Wtedy zaczęli się modlić, wszyscy równocześnie, jedni po angielsku, a inni językami.

Nagle Jacob podniósł głowę i odwrócił się, by spojrzeć do tyłu. Policzki mu pałały i były mokre od łez.

"To było piękne", powiedział, "który z was jest Żydem?"

Nikt nie odpowiedział.

"Kto z was mnie zna? Proszę wybaczyć, ale nikogo znajomego nie rozpoznaję..."

Nadal brak było odpowiedzi.

Teraz w całym kościele zaległa cisza.

"Słyszałem to stąd właśnie, z tyłu", powiedział Jacob, "dokładnie z tego miejsca gdzie pan stoi".

Wskazał przy tym na jednego z mężczyzn.

"Czy pan jest Żydem?"

"Ja?" mężczyzna uśmiechnął się. "Nazywam się John Gruwer. Jestem Irlandczykiem".

"To ten głos! To właśnie ten głos!" wykrzyknął teraz już na dobre podniecony rabbi. "Ale pan... pan mówi po hebrajsku?"

"Ani słowa", odpowiedział Gruwer.

Jacob wstał z kolan.

"Pan się myli! Właśnie przed chwilą mówił pan po hebrajsku!", powiedział.

Kiedy Jacob opowiadał nam o tym wydarzeniu, wzruszenie tamowało mu głos.

"Czy możecie sobie wyobrazić, że ten wielki, gruby Irlandczyk mówił do mnie najpiękniejszą hebrajszczyzną, jaką kiedykolwiek słyszałem? Czy w ogóle możecie sobie wyobrazić Irlandczyka mówiącego po hebrajsku? I skąd on znał imię mojego ojca? Nikt w całym Texasie nie znał mojej rodziny. A oto co powiedział:

„Śniło mi się, że pojedzie pan do wielkich skupisk ludzkich i że tam pan będzie opowiadał Ewangelię. Ci, którzy jej nigdy nie słyszeli zrozumieją pana, ponieważ pan, Jacobie, synu rabiego Ezechiela, otrzyma pełnię błogosławieństwa Ewangelii Jezusa Chrystusa”.

Rabin spojrzał na nas.

"Co o tym myślicie?"

Wyjął serwetkę zza kołnierza i mocno oparł się o oparcie krzesła.

"Bóg przemówił do mnie jako do Żyda i jako do chrześcijanina. Nie ma żadnej różnicy. W Jezusie Chrystusie znikają wszelkie różnice”.

To rozproszyło moje wątpliwości. Od kilku miesięcy próbowałem uniknąć pewnej oczywistej rozbieżności, jaka pojawiła się w tych wszystkich opowieściach dotyczących języków. W relacjach z jednej strony języki są niezrozumiałe zarówno dla mówiącego jak i dla słuchaczy i do końca pozostają niczym innym, jak tylko zbiorem nic nie znaczących dźwięków.

Oczywiście, chodzi tu o taki rodzaj języków, który był dobrze znany apostołowi Pawłowi. "Bo kto językami mówi, nie dla ludzi mówi, lecz dla Boga; nikt go bowiem nie rozumie..." /1.Kor.14,2/

"Inne języki" - to nazwa, jaką Biblia nadała temu zjawisku, najczęściej spotykana.

Z drugiej jednak strony istnieją przykłady z Biblii, jak i poza nią, że język, który jest niezrozumiały dla mówiącego może być zrozumiany przez kogoś innego i w takim wypadku fakt, że został zrozumiany przesądza o skuteczności jego działania. Sama Pięćdziesiątnica w opisie w Dziejach Apostolskich jest tego doskonałym przykładem. Zwolennicy Jezusa wywarli wielkie wrażenie na Żydach przybyłych do Jerozolimy z diaspory, ponieważ słyszeli ich, jak mówili rzeczywistymi językami, których nie mogli znać, ani nauczyć się tak szybko przy pomocy ludzkich metod. W przypadku Pachomiusza ta zagadkowa znajomość greckiego, którego się nigdy nie uczył w podobny sposób musiała być wielką pomocą w kontaktach z cudzoziemcami, wśród których był to jedyny wspólny język. Żyd, który wszedł na nabożeństwo przy Azusa Street nawrócił się, ponieważ Kathleen Scott przemówiła do niego po hebrajsku.

Wiedziałem, że nie mogę dłużej ignorować tych przypadków. Zbyt często stawały się one udziałem ludzi, których znał osobiście. Harald Bredesen opowiadał, że mówił po polsku i po arabsku, Ja-

co Rabinowicz słyszał, jak Irlandczyk mówił po hebrajsku... Ja natomiast w tym tygodniu otrzymałem list od Dennis'a Bennett'a z Seattle, napisany bezbłędnie na maszynie, z czego wynioskowałem, że ten mały kościółek misyjny ma już teraz własnego sekretarza. Dennis donosił w nim, że pewien kierowca ciężarówki w jego parafii przeżył chrzest w Duchu Świętym i że jego język został przez pewnego Chińczyka rozpoznany, jako chiński.

"Czy wierzysz tym relacjom?" zapytałem Tib, gdy jechaliśmy do domu po wspólnym obiedzie z Jacobem Rabinowiczem.

Pomyślała przez moment i powiedziała: "Wierzę ludziom, którzy je opowiadali".

Wiedziałem co miała na myśli. Było nie-
możliwością sądzić, że Harald, Rabinowicz i Dennis świadomie kłamali po to, aby przekonać mnie o czymś, ponieważ rzeczą pewną było, iż wierzyli sami w to co mówili. Ich życie zostało przekształtowane dzięki tym przeżyciom; trudno byłoby im grać przez całe życie jakąś wypracowaną starannie rolę.

Oczywiście, to co twierdzili i w co wierzyli - to były cuda. I tu wahałem się. Z pewnością musiało istnieć inne, nie-cudowne wyjaśnienie tych zjawisk. Przejrzałem swą korespondencję z ludźmi mówiącymi językami wybierając każdy list, który zawierał przykład, że Duch wkładał w usta mówiącego jakiś znany język. Ułożyłem je na biurku i powstał nie mały stosik. Zadanie, jakie sobie postawiłem miało polegać na znalezieniu dla każdego przypadku wyjaśnienia, które byłoby zgodne zaró-

wno z logiką, jak i z faktami, które piszący przedstawiali.

Czy nie było na przykład możliwe, że te "cuda" były po prostu figlami podświadomej pamięci? Mówiący mógł usłyszeć kiedyś dawno dany język, być może jeszcze jako dziecko i zachować całe zdania w podświadomości, podczas gdy świadomość zapomniała o jakimkolwiek kontakcie z tym językiem.

Najpierw myślałem, że znalazłem ślad, który dokądś prowadzi. W wielu listach znajdowałem bowiem takie określenia jak "urywki", "zdania", czy "słowa brzmiące podobnie" do znanych języków. Wydawało mi się, że można to łatwo wyjaśnić na bazie takich zapomnianych wrażeń.

Trudniej było dopasować do tej teorii przypadki, kiedy ktoś mówił nie jedno, czy dwa zdania w językach, lecz wygłaszał długie, logicznie powiązane przemówienia. Mr. Roy H. Wead z South Bend, Indiana opisał mi wydarzenie, które miało miejsce w 1934 roku. "Brat Richardson" występujący w tej opowieści, to pan L.B. Richardson, obecnie z Jacksonville, Floryda, który w 1934 roku uczęszczał do tej samej biblijnej szkoły zielonoświątkowej co Wead. Mr. Wead pisał:

"... Brat Richardson w tamtym czasie przechodził okres wielkiej próby wiary. Szczególnie nękały go wątpliwości odnośnie chrztu w Duchu Świętym. Miał nawet wątpliwości co do swego własnego przeżycia, kiedy jeszcze jako dziecko, przed wielu laty otrzymał chrzest

w Duchu Świętym.

Zaczął więc szukać Pana w swoim pokoju na uczelni i trwał na modlitwie przez większą część dnia. Mój pokój znajdował się po przeciwnej stronie korytarza i mogłem słyszeć jak się modli, kiedy wychodziłem na wykłady. Po południu, po kilkugodzinnej modlitwie stało się jasnym, że otrzymał wspaniałe zwycięstwo i że radował się w Panu, chwalać i uwielbiając Go językami tak, jak mu Duch Święty poddawał.

Później, gdy przechodziłem korytarzem idąc do swego pokoju zauważyłem młodego Chińczyka, Samuela Ko, który także uczył się w naszej szkole. Stał na korytarzu obok drzwi do pokoju brata Richardson'a i słuchał, jak tamten mówił językami. Brat Ko, bardzo podniecony zwrócił się do mnie mówiąc, że brat Richardson mówi po chińsku i że on, Ko, rozumie co tamten mówi. Potem dodał też, że brat Richardson mówił o rzeczach w Chinach, które bratu Ko były dobrze znane. Brat Richardson mówił po chińsku przez jakiś czas, co najmniej przez pół godziny, a może nawet znacznie dłużej".

List stwierdzał dalej, że Richardson nigdy nie znał, ani nie zetknął się z językiem chińskim. To przeżycie bardzo go umocniło. Skończył się też okres doświadczenia.

"W porządku", powiedziałem sobie. "Zalóżmy, - w przypadku tej informacji - że Mr. Wead jest prawdziwy i ma dobrą pa-

mieć. Założmy, że Richardson mówił przez pół godziny po chińsku. Czy nie jest wykluczone, że w jakiś trudny do wyobrażenia sobie, ale tym niemniej możliwy sposób, Richardson nie tylko słyszał język chiński jako małe dziecko, zbyt małe aby to zapamiętać, ale też mógł znać go zupełnie dobrze?"

Można przecież założyć, że mógł on mieć współtowarzysza zabaw, czy też może niankę - Chinę, którzy mogli opowiadać o tych rzeczach w Chinach, o których wiedział też Ko. Wiemy, że kiedy to się stało, Richardson był bardzo podniecony emocjonalnie; modlił się już od kilku godzin. Czyż nie mogło się zdarzyć, że ten głęboko w nim ukryty materiał wydostał się nagle na wierzch?

Bardziej wyraźnym dowodem na "cudowność" języków byłby przykład, w którym dziecko, którego całe życie jest dobrze znane mówiłoby językami - a wśród zielonoświątkowców to rzecz bardzo często spotykana, że dzieci mówią językami. I rzeczywiście, wkrótce w stosie listów odkryłem opis takiego właśnie wydarzenia. List ten pochodził od William'a C. Pickthorn z Palo Alto, Kalifornia i dotyczył wydarzeń, które Pickthorn zapisał w swoim dzienniku pod datą: sobota, 30 lipca, 1932 r.

"Wydarzenie to miało miejsce podczas zebrania modlitewnego w małym domku, który - jak zapisałem w moim dzienniku - znajdował się w odległości dwóch mil od kopalni Noy w Ironwood, Michigan. Pomagałem tam pastorowi o nazwi-

sku Block, który próbował założyć zbór w Ironwood. Kaznodzieja Block był pastorem w Winegar, Wisconsin. Świadczył on wielu ludziom w okolicznych miastach, a później zorganizował zespół ewangelizacyjny, którego i ja byłem członkiem. Zespół ten miał zbierać wszystkich nowonawróconych i zorganizować z nich zbór wiernych.

Publiczne zgromadzenia odbywały się w namiocie w Ironwood. Na nabożeństwo przyszło dużo ludzi dobrze znanych w całej okolicy. Zapis w dzienniku z dnia 30 lipca relacjonuje odwiedzinę w domu rodziny Erickson. Była tam pewna młoda kobieta, która rozmawiała ze mną poprzedniego wieczoru. Jej matka została uzdrowiona zeszłej zimy przez modlitwę pastora Block'a. Cała rodzina zainteresowana była chrztem w Duchu Świętym, ale obawiano się tego przeżycia, ponieważ powiedziano im, że języki są „od diabła”. Matka powiedziała, że wzięłaby chętnie udział w modlitwie w małym domku, ale boi się.

W końcu jednak zgodziła się pójść i była obecna. Zwróciłem uwagę na to, że szczególnie obserwowała ona pewnego chłopca w wieku około dwunastu lat, który siedział na podłodze, rękoma objawszy kolana. Chłopiec modlił się gorliwie. Kiedy na niego patrzyłem, chłopiec zaczął się nagle modlić językami, których nie rozumiałem. A potem zaczął śpiewać w tym nieznanym języku.

Pani Erickson zaczęła płakać. Byłem

bardzo zaniepokojony i próbowałem ją przeproszać. A oto co mi na to odpowiedziała:

"Nie, ten chłopiec nie wytracił mnie z równowagi. To nie z tego powodu płaczę. Znam tego chłopca od jego urodzenia; byłem z jego matką gdy się urodził. Właśnie przed chwilą zaśpiewał mi pieśń na chwałę Bogu, której nigdy przedtem nie słyszałam i wiem że i on jej nigdy nie słyszał. A śpiewał w moim języku, po szwedzku, a on nie zna tego języka. Modlił się przedtem także po szwedzku".

Jeśli ta informacja była kompletna, to oczywiście obalała teorię podświadomego pamiętania. Ale czy była kompletna? Pani Erickson nie mogła przecież spędzić z tym chłopcem każdej minuty w czasie jego dwunastu lat życia, mimo, że z taką wielką pewnością twierdziła, że go dobrze zna. On mieszkał w tej części kraju, gdzie osiedliło się wielu szwedzkich imigrantów.

W końcu spotkałem się z historią, która zupełnie nie pasowała do mojej hipotezy o wydobywaniu się na jaw zapomnianych treści.

Pewnego dnia, młody człowiek z New Jersey, Clifford Tonnensen odwiedził obóz młodzieży zielonoświątkowej w stanie Michigan.

Podczas nabożeństwa Clifford przeżył chrzest w Duchu Świętym i zaczął mówić językami. Jakaś kobieta stojąca w pobliżu zaczęła zdradzać oznaki niezwykłego

podniecenia. "Clifford mówił po niemiecku!" powiedziała. "Mówił płynnie, literackim językiem niemieckim".

Ale nie tylko to zdumiało tak tę kobietę. Przyczyną tego był fakt, że wiedziała ona, że nie mógł on w żaden naturalny sposób mówić w tym języku. Nie mógł mówić w sposób naturalny nawet w swoim ojczystym języku, po angielsku. Clifford był głuchoniemy i nie słyszał żadnego dźwięku od czasu, gdy jako dwumiesięczne dziecko stracił słuch na skutek choroby!

Teraz musiałem przyznać, że z takimi opisami jak powyższe wiązał się inny czynnik, który podważał twierdzenie, jakoby pamięć miała być źródłem niektórych z tych cudów. Niekiedy mówiący językami wymieniał fakty, lub zdarzenia znane jednemu tylko słuchaczowi. John Gruver wymienił po imieniu ojca Jacoba Rabinowitza. Kathleen Scott powiedziała przyjeźdnemu, który znalazł się na Azusa Street po co przybył do Los Angeles i jaki był jego zawód. Jeśli ci ludzie używali języków w sposób, który da się naturalnie wyjaśnić, to w jaki sposób wiedzieli o tych faktach?

Odsunąłem krzesło, wyciągnąłem wygodnie nogi i przejrzałem efekty swych dociekań. Bez wątplenia mogły istnieć pewne przypadki, kiedy pamięć płatała różne figle, ale upewniałem się coraz mocniej w przekonaniu, że było wiele wypadków, których nie można wyjaśnić w ten sposób. "Muszę znaleźć jakieś inne wyjaśnienie", powiedziałem i zamknąłem notes.

Od tej chwili zwróciłem się do Biblii. Istnieje tam tylko jeden wypadek, w którym języki zostały zrozumiane i rozpoznane, jako znane - podczas samej Pięćdziesiątnicy. Raz jeszcze wczytałem się w opis tego wydarzenia i kiedy tak czytałem uderzyły mnie trzy wersety. W każdym z nich powtarzała się ta sama myśl. Zdanie poprzedzające tę trzykroć wypowiedzianą myśl było mi już dobrze znane: "I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym i zaczęli mówić innymi językami, tak jak im Duch poddawał". Ale tu następowały te trzy wersety:

"Gdy tedy powstał ten szum, zgromadził się tłum i zatrwożył się, bo każdy słyszał ich mówiących w języku swoim. I zdumieli się i dziwili mówiąc: czyż oto wszyscy ci, którzy mówią nie są Galilejczykami? Jakże więc to jest, że słyszymy, każdy z nas swój własny język, w którym urodziliśmy się? ... słyszymy ich, jak w naszych językach głoszą wielkie dzieła Boże".
/Dz.Ap. 2,4.6 - 8.11/

Czyż nie sugeruje to, że uwaga powinna być zwrócona nie na mówiącego, ale na słuchającego? W tłumie "każdy słyszał ich mówiących w języku swoim". I jakby dla podkreślenia tego jeszcze, "jakże więc to jest, że słyszymy, każdy z nas swój własny język", a także "... słyszymy ich, jak w naszych językach głoszą wielkie dzieła Boże". Czy nie mogło być tak, że zjawisko to było raczej cudem

uszu, niż języka? Taka interpretacja zdawała się wyjaśniać wiele rzeczy.

Możny by na przykład wyjaśnić w jaki sposób L.B. Richardson mógł pół godziny mówić po chińsku. Nonsensowne sylaby nabrały znaczenia w uszach Samuela Ko. Podobnie jak słuchacze w dniu Zielonych Świąt: słyszał, jak Richardson mówi w jego własnym języku.

Wyjaśniałoby to także, w jaki sposób pani Erickson słyszała mówiące po szwedzku dziecko, którego umiejętności językowe były znane. Mogłoby to wyjaśniać też, w jaki sposób mowa głuchoniemego młodzieńca, który nie potrafił używać nawet swego własnego języka została rozpoznana jako język niemiecki. Wyjaśniałoby to nawet te wszystkie przypadki, kiedy treść wypowiedzi w obcym języku zawierała wzmianki o rzeczach znanych tylko słuchaczowi.

Nie wyjaśniało to jednak w pełni przypadków, kiedy nie jeden, lecz wielu ludzi słyszało to samo. Gdybym chciał się upierać przy tym, że było to zjawisko słyszenia, musiałbym przyjąć, że identyczny proces wewnętrzny zachodził równocześnie w uszach każdego ze słuchaczy, co już byłoby wystarczająco wielkim cudem.

Dr. T.J. McCrossan z Minneapolis opowiedział mi historię dziewięciu marynarzy, którzy pewnego niedzielnego wieczoru weszli do małego zboru zielonoświątkowego w Seattle, w Stanie Washington zważeni muzyką i później z rosnącym zdumieniem słuchali, jak jakaś Amerykanka, którą znali wstała i wygłosiła poselstwo

w językach. Wszyscy ci marynarze byli Filipińczykami, wszyscy dziewięciu rozpoznali w tym języku pewien mało znany dialekt filipiński i wszyscy byli zgodni co do znaczenia wypowiedzianych słów. Wiedzieli oczywiście, że kobieta ta nie mogła w sposób naturalny mówić po filipińsku, a tym bardziej w tym rzadkim dialekcie, z okolicy nie często odwiedzanej przez ludzi z zachodu.

Podobne wydarzenie miało miejsce na Wielkanoc w 1950 roku w małym zielonoświątkowym zborze w Gary, Indiana. Paul Goodwin powstał i wygłosił swego rodzaju napomnienie w językach. Kiedy mówił, dało się zauważyć pewne poruszenie i podniecenie wśród grupy Włochów obecnych na nabożeństwie. Gdy skończył, pewien młody człowiek, Leo Pella powstał i powiedział:

"My znamy Paul'a Goodwin'a. On nie zna naszego języka, ale teraz właśnie doskonale mówił po włosku, tak jakby ukończył uniwersytet we Włoszech".

Ale najdziwniejsza z historii w mojej kolekcji dotyczyła pewnej grupy ludzi, którzy rozpoznali swój własny język nie na obczyźnie, ale u siebie; w tym przypadku mówiący był cudzoziemcem. Była to przygoda, która miała miejsce w samym sercu Afryki w roku 1922.

W tym właśnie roku zgłosili się dobrowolnie do niebezpiecznej służby H.B. Garlock i jego żona z Toms River, New Jersey: mieli się udać do Afryki, jako misjonarze do Pahnów, małego plemienia w środkowej Liberii. Jeszcze żaden misjonarz nie dzia-

łał dotychczas wśród Pahnów. Powód był prosty: Pahnowie byli ludożercami.

Państwo Garlock przybyli do Liberii i rozbili swój obóz wraz z grupą afrykańskich chrześcijan, których tereny graniczyły z terenami zajmowanymi przez Pahnów. Prawie natychmiast pani Garlock zapadła na malarię. Ich podręczna apteczka podróżna wkrótce się wyczerpała, a gorączka nadal wzrastała. Trudno było Garlock'owi nakłonić tubylców do wyruszenie w krótką podróż na wybrzeże po lekarstwa, ponieważ droga wiodła przez tereny plemienia Pahnów. W końcu jednak udało mu się przekonać wodza plemienia, że istnieje możliwość obejścia niebezpiecznych terenów, gdyż w przypadku, gdyby lekarstwo przybyło za późno, pani Garlock grozi pewna śmierć.

Pewnego ranka o świcie, grupa ludzi opuściła obóz i pełna najgorszych przewidywań udała się po potrzebne lekarstwa.

Nagle, koło południa w drzwiach lepianki, w której leżała pani Garlock pojawił się przywódca tragarzy. Upadł bez tchu. Z trudem łapiąc oddech wyjąkał co się stało.

Jeden z jego ludzi został schwytany przez kanibali. Zapewnił też oboje misjonarzy, że będzie napewno zjedzony jeśli nie udzieli się mu pomocy.

Garlock uświadomił sobie, że była to jego wina. Za Bożym zrządzeniem, w godzinę po wyjściu tragarzy właśnie tego ranka, gorączka jego żony zaczęła opadać. Nie zwlekając, sam Garlock wyruszył więc na tereny Pahnów, zabierając ze sobą kil-

ku wojowników, którzy byli pod ręką. Mała grupka przybyła do wsi, gdzie trzymany był schwytany tragarz tuż przed zapadnięciem zmroku. Drewniany płot otaczał grupę lepianek, ale nie było nikogo na straży. Garlock ostrożnie zajrzał przez płot i zobaczył, że jedna z lepianek jest strzeżona. Dwaj mężczyźni uzbrojeni w dzidy siedzieli w kucki na ziemi. Włosy mieli splecione w długie warkoczyki, a przednie zęby zaostrome w szpic.

To musi być więzienie, pomyślał Garlock. Obrócił się do swoich towarzyszy. "Ja tam pójde", szepnął, "a jeśliby było niebezpiecznie, to zróbcie tyle hałasu, ile tylko potraficie. Wtedy spróbuję uciec, korzystając z zamieszania".

Garlock liczył na to, że dwie rzeczy będą mogły mu pomóc. Po pierwsze, było możliwe, że Pahnowie jeszcze nigdy nie widzieli białego człowieka. Spodziewał się wykorzystać ich zaskoczenie. Po drugie, wierzył w cudowne historie biblijne opowiadające o nadnaturalnej pomocy, jaka nadchodziła w momentach, gdy była najbardziej potrzebna. Garlock modlił się wchodząc na teren obozu ludożerców. Prosił Boga, aby wskazał mu krok za krokiem, co ma zrobić.

Wyprostowany, z podniesioną głową szedł prosto na lepiankę, w której był uwięziony tragarz. Strażnicy byli zbyt zaskoczeni aby go zatrzymać. Przeszedł między nimi i zniknął w wejściu do lepianki. Na zewnątrz usłyszał krzyk strażników; słyszeć było też odgłosy bosych

stóp uderzających o ziemię - to już inni biegli na pomoc. W ciemnym wnętrzu, Garlock błędził przez chwilę, aż jego ręce namacały postać przywiązaną do centralnego słupa lepianki.

Misjonarz wyjął nóż z kieszeni i przeciął więzy. Tragarz coś do niego powiedział, ale wyglądało na to, że nie jest w stanie nic uczynić w swojej obronie. Garlock wypchnął go za drzwi. Ale dalej już nie mogli się posunąć. Na dziedzińcu bowiem znajdował się wrzeszczący, grożący tłum afrykańczyków uzbrojonych w noże, dzidy i topory.

Garlock nasłuchiwał kiedy jego ludzie podniosą wrzawę, ale za ogrodzeniem obozu panowała całkowita cisza. Domyślił się, że został sam.

Nie pozostawało nic innego, jak użyć fortelu. Przezornie umieścił więźnia pod ścianą lepianki, a sam usiadł na olbrzymiej czaszce słońa, która leżała obok. Przez cały czas modlił się. Tłum zachowywał dystans, przez cały czas wykrzykując i drepcząc w miejscu. Nie podchodził.

Wszedł księżyc w całej pełni. Garlock siedział spokojnie na czaszce słońa. W końcu tubylcy utworzyli półkole. W środku tego półkola Garlock ujrzał - jak się domyślił - wodza, a obok niego czarownika.

Nagle ten ostatni wyprostował się. Podbiegł kilka kroków w stronę Garlock'a i zatrzymał się. Wyciągnął trzciniową różdżkę i potrząsnął nią przed Garlock'iem.

Później zaczął chodzić od Garlock'a do wodza uroczystym krokiem ciągle coś głośno mówiąc i od czasu do czasu wskazując gestami na więźnia. Garlock nie mógł oczywiście ani słowa z całej tej mowy zrozumieć, ale nie ulegało wątpliwości, że chodziło o niego. Czarownik przemawiał w ten sposób około godziny, a później nagle urwał. Po raz pierwszy podszedł blisko do Garlock'a i wpatrywał mu się pilnie w twarz.

Czarownik wyciągnął szyję do przodu, a potem cofnął ją do tyłu wśród głośnych okrzyków obserwujących. A potem z wielkim namaszczeniem położył swą czarodziejską różdżkę u stóp Garlock'a, cofnął się w tył i czekał.

Zaległa cisza. Garlock domyślił się, że nadszedł teraz czas, aby on przemówił w swej obronie.

Ale jak?! Nie znał przecież ani słowa z języka Pahnów. Tłum zaczął się niepokoić. Aby zyskać na czasie powstał więc i wziął do ręki różdżkę. Tubylcy natychmiast uciszyli się. Gdy czekali na mowę, Garlock modlił się.

"Panie, wskaż mi co mam czynić. Poślij Swego Ducha, aby mi pomógł".

Nagle zaczął gwałtownie drżeć. To go wprawiło w zakłopotanie, bo nie chciał aby tubylcy spostrzegli, że się boi. Razem jednak z tym drżeniem przyszła także świadomość bliskości Ducha Świętego. Przypomniawszy sobie słowa Jezusa: "Nie troszczcie się naprzód o to, co macie mówić, ale mówcie to, co wam będzie dane w owej godzinie; albowiem nie wy jesteś-

cie tymi, którzy mówią, lecz Duch Święty".
/Mk.13,11/

Garlock poczuł dziwną odwagę. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić. Z ust płynął potok słów, których nie rozumiał.

Zobaczył jednak, że tubylcy pochylili się słuchając jak zaczarowani. Spostrzegł, że jego słowa, jakie by nie były, wywierają porażający efekt na słuchaczach. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że przemawia do Pahnów w ich własnym języku!

Garlock przemawiał w ten sposób do Pahnów przez dwadzieścia minut. Później ta umiejętność mówienia zanikła tak samo nagle, jak się pojawiła i Garlock wiedział, że jego przemówienie skończyło się.

Znów więc usiadł.

Po chwili wódz i czarownik zetknęli się głowami. Nagle czarownik wyprostował się, wydał jakiś rozkaz i przyniesiono mu białego koguta. Jednym ruchem ukręcił mu łeb. Odrobiną krwi pokropił czoło Garlock'a i więźnia. Później Garlock interpretował to tak, że ten kogut zajął jego miejsce: krew musiała być przelana, ale w swym przemówieniu z natchnienia Ducha Świętego musiał im coś takiego powiedzieć, co przekonało ich, że zarówno on, jak i więzień powinni zostać uwolnieni.

W kilka minut później, Garlock i schwytany tragarz kroczyli poprzez dżunglę w drodze powrotnej do stacji misyjnej. Wódz dał im nawet dwóch ludzi, aby ich odprowadzili przez pierwszą część drogi.

Z czasem Pahnowie porzucili swój kanibalizm i nawrócili się na chrześcijań-

stwo. Garlock jest przekonany, że początku tego nawrócenia należy szukać w tym momencie, gdy stojąc w blasku księżycowego światła siał ziarno Słowa Bożego w przemówieniu, z którego sam nie rozumiał ani słowa.

W tym miejscu musiałem zrobić przerwę w swej pracy i spróbowałem spojrzeć obiektywnie na stan moich poszukiwań. Czy byłem faktycznie bliżej niż poprzednio stwierdzenia, że chodzi tu o jakieś rzeczywiste języki? Miałem całą masę przykładów, które sugerowały różne odpowiedzi, ale może w samej metodzie traktowania tych przypadków tkwił jakiś błąd?

Zadałem sobie pytanie, skąd pochodziły te wszystkie historie. Zebrałem je na podstawie listów, które napisali ludzie mówiący językami, artykułów napisanych przez ludzi mówiących językami, wywiadów z tymi, którzy mówili językami. Innymi słowy opierałem się na stronnicych świadectwach. Z konieczności, wszystkie te świadectwa, które zgromadziłem pochodziły od ludzi, którzy nie byli obiektywnymi obserwatorami, ale wprost przeciwnie: byli to głęboko zaangażowani uczestnicy, gdzie w grę wchodziło osobiste zaangażowanie w formułowaniu wniosków.

Od wielu miesięcy robiłem nagrania z ludźmi mówiącymi językami. Gdybym teraz odtworzył te nagrania wobec grupy niez zaangażowanych językoznawców i któryś z nich rozpoznałby wśród nich jakiś znany język, to wówczas sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Mógłbym wtedy zbadać przeszłość

mówiącego pod względem znajomości języków obcych, aby wiedzieć napewno, że moje badania są oparte na solidnych podstawach.

W trzy tygodnie później spotkałem się z Davidem Scott'em, wydawcą i pisarzem książek religijnych i z sześcioma innymi lingwistami w prywatnej jadalni klubowej na jednym z wydziałów uniwersytetu Columbia. Trzech z pośród tych lingwistów było wykładowcami uniwersytetu Columbia, dwaj inni byli profesorami Union Theological Seminary, jeszcze jeden zaś był profesorem General Theological Seminary. Dwaj byli specjalistami od języków nowożytnych, trzech - od starożytnych, a jeden był ekspertem w dziedzinie struktur językowych.

Ciekawy byłem jak odniosą się do naszego eksperymentu. Stwierdziłem, że byli bardzo zaciekawieni, niepewni, ale nie nieprzyjaźni. Gdy włączyłem pierwszą taśmę, wszyscy maksymalnie się skupili chcąc uchwycić każdą sylabę. Niektórzy robili notatki, ale ani razu nie dostrzegłem na żadnej twarzy błysku rozpoznania. Odtworzyłem jeszcze jedno nagranie, a później jeszcze jedno. Przez dobrą godzinę słuchaliśmy jednej za drugą modlitw "w Duchu", a gdy w końcu wysłuchaliśmy ostatniego nagrania spojrzałem na nich i zapytałem:

"No więc, panowie?"

Wszyscy sześciu przecząco pokręcili głowami. Żaden z nich nie usłyszał języka, który mógłby rozpoznać. Mimo to jednak zostały poczynione ciekawe spostrze-

żenia.

Jeden z lingwistów stwierdził, że jakkolwiek nie rozpoznał słów, to jednak jedno z nagrań posiadało strukturę bardzo przypominającą strukturę nowoczesnego poematu. "Nowoczesna poezja posługuje się w równym stopniu dźwiękiem słów jak i ich znaczeniem werbalnym w celu przekazania swych treści", powiedział. "W jednej z tych modlitw, mimo że nie mogłem zrozumieć dosłownego znaczenia słów, to jednak mogłem uchwycić ładunek emocjonalny tego, o czym była mowa. Był to hymn miłosny. Przepiękny!"

Ciekawe także było i to, że chociaż nie natrafiliśmy na żaden znany tym językoznawcom język, to jednak niekiedy mogli oni odkryć pewne wzory językowe wśród moich nagrań. Stwierdzili przy tym, że ze względu na "formę", kształt rzeczywistych języków, a także ze względu na różnorodność kombinacji dźwiękowych, rzadkość powtórzeń i temu podobne cechy jest rzeczą zupełnie niemożliwą sztuczne stworzenie czegoś takiego poprzez świadome usiłowanie. Przypomniawszy sobie parodię mówienia językami w wykonaniu Diny Donohues wyszukałem na taśmie dwa nagrania z takim właśnie sztucznym bełkotem; jeden nagrany w wykonaniu naszego syna Scott'a, a drugi w wykonaniu Tib. Usiłowali oni jak tylko to było możliwe upodobnić ten bełkot do innych nagrań języków na taśmie, ale językoznawcy natychmiast poznali podstęp. Jeden z nich powiedział:

"To nie jest żaden język. To są po pro-

stu różne dźwięki".

Kiedy już wychodzili, jeden z profesorów stwierdził, że według ostatnich obliczeń dokonanych przez Akademię Francuską istnieje blisko 280 znanych języków i narzeczy, którymi aktualnie mówi się na świecie - nie uwzględniając tych języków, które niegdyś pojawiły się na ziemi, a później zanikły. "A Akademia Francuska wcale nie uważa tej listy za już kompletną", powiedział. "My, znajdujący się w tym pomieszczeniu znamy zaledwie niewielki ułamek tej całej liczby. Nawet, jeśli na tych taśmach są rzeczywiste języki, szanse na ich rozpoznanie są bardzo minimalne".

Mimo, że nie powiedzieliśmy tego naszym uczynom, to wiedzieliśmy, że z punktu widzenia zielonoświątkowców, współczesne i zapomniane języki świata to tylko początek. Zielonoświątkowcy wierzą, że działając w świecie nieśmiertelnym, języki mogą też mieć swoje pochodzenie ze sfer duchowych. Pierwsze słowa wielkiego trzynastego rozdziału pierwszego listu do Koryntian: "Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi..." odczytywałem zawsze jako poezję. Ale teraz, czytając je w kontekście rozdziału dwunastego i czternastego nie miałem już ani cienia wątpliwości, że Paweł mówił tu o językach w specyficznym zielonoświątkowym znaczeniu i że o językach anielskich mówi tu jako o jednej z możliwości.

Patrząc trzeźwo, rezultaty eksperymentu były jednak negatywne. Przedstawiliśmy znawcom około czterdziestu nagrań języków

i w żadnym wypadku nie natrafiono na znany język. Nie zanosiło się na to, abym w swych wysiłkach w celu ustalenia czy używano jakiegoś rzeczywistego języka, czy też nie miał dojść do jakiegoś konkretnego rezultatu i dlatego postanowiłem skoncentrować moją uwagę na innych rzeczach.

Dziwna rzecz, ale najmocniejszego argumentu za tym, aby tak postąpić dostarczyli mi właśnie ci, którzy sami mówili językami. Pewnego dnia rozmawiałem z dr. Howard'em Ervin'em, baptystycznym kaznodzieją z Atlantic Highlands, New Jersey, człowiekiem mocno przeświadczonym o wielkiej wartości mówienia językami, o moich zamiarach rozpoznania rzeczywistych języków. Dr. Ervin zapytał mnie:

"Czy jest pan pewien, że nie popełnia pan podstawowego błędu?"

"Chyba tak jest, gdyż nie dochodzę do żadnych rezultatów".

"Myślę, że błąd polega na oddzielaniu języków od zasadniczej całości, której są częścią", powiedział dr. Ervin. "Pozwoli pan, że opowiem panu pewną małą historijkę. Tak się składa, że jestem wielkim miłośnikiem architektury kościelnej. Pewnego razu, podróżując samochodem odkryłem śliczną, małą, gotycką kapliczkę. Zatrzymałem samochód i wysiadłem, by ją podziwiać. Tak się jednak złożyło, że ta kapliczka miała błyszczące, czerwone drzwi wejściowe. Moje spojrzenie próbowało wędrować wzdłuż lekkich, strzelistych linii budowli, tak charakterystycznych dla ar-

chitektury gotyckiej, ale te drzwi przez cały czas zatrzymywały me oczy. Były one tak krzykliwie czerwone, że nie pozwalały rozkoszować się całością obrazu.

Z językami - John - jest tak właśnie jak z tymi drzwiami. Tak długo, jak będziesz stał na zewnątrz, twoja uwaga będzie do nich przykuta i nie będziesz w stanie niczego więcej dostrzec. Jeżeli jednak wejdiesz do środka, otoczą cię tysiące cudów światła, dźwięku i formy, co było zamierzeniem architekta. Rozglądasz się, a tu nawet te drzwi nie są od wewnątrz czerwone. One są. Są po to, aby ich używać, ale zajmują właściwe sobie miejsce w planie całego kościoła. Oto czego bym ci życzył, John. Myślę, że już najwyższy czas, aby pan wszedł tymi drzwiami. Jeśli pan naprawdę chce poznać na czym polega przeżycie zielonoświątkowe, to niech się pan nie koncentruje jedynie na językach, lecz wejdzie przez te drzwi i spotka się z Duchem Świętym".

Chrzest

W Duchu Świętym

W najbliższą niedzielę opowiedziałem przyjacielowi w zborze o czerwonych drzwiach doktora Ervina. Uśmiechnął się trochę po błażliwie.

"Gdy poznasz Ducha Świętego", powiedział, "to zapoznaj mnie z Nim także. Nigdy nie miałem o Nim dokładnego pojęcia".

Nie był w tym odosobniony. Pamiętam, że będąc jeszcze małym chłopcem w Louisville, Kentucky, pewnej niedzieli słyszałem kazanie na temat Ducha Świętego. Było to jedyne kazanie wygłoszone z tamtej kazalnicy, w którym Duch Święty wspomniany był częściej niż zwykle, a z tego wszystkiego pamiętam tylko tyle, że razem z moją siostrą zaczęliśmy rysować duchy na marginesie śpiewnika, za co kościelny skarcił nas surowym spojrzeniem.

Ale czy teraz byłem lepiej poinformowany? Czy Duch Święty nie był nadal jeszcze tylko jakimś widmem? Każdej niedzieli powtarzane w kościele wyznanie wiary przypominało, że jest to trzecia Osoba Trójcy św.; dla mnie był On tylko cieniem, bezosobową pozostałością kogoś, kto kiedyś naprawdę istniał w historii Kościoła, ale teraz był tylko wspomnieniem.

Wiedziałem, że mówiąc o Nim należało używać zaimka osobowego; właściwe było "On", a nie "to". Ale nie postępowałem tak, jakbym temu wierzył.

W pobliskim mieście Mount Kisco, niedaleko szpitala jest skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną. Gdybym chciał natychmiast przejść na drugą stronę ulicy do szpitala, mógłbym żarliwie apelować do światła, ale to by niczego nie zmieniło. Dopiero gdy automatyczne urządzenie sterujące zmieniłoby światła mógłbym przejść na drugą stronę. Od czasu do czasu policjant wyłączał automat i osobiście kierował ruchem na tym skrzyżowaniu. Gdyby on tam był, gdy śpieszyłem się do szpitala, mógłby zatrzymać ruch i przepuścić mnie w drodze wyjątku. W moich modlitwach, Duch Święty - jeżeli Go w ogóle wspominałem - pełnił, jak zauważyłem, raczej funkcję światła niż policjanta.

Dr. Ervin zaproponował bym przekroczył "czerwone drzwi" i poznał Ducha Świętego. Zanim mogłem zdecydować się na podjęcie tego kroku chciałem zdobyć więcej informacji na temat osoby, z którą proponowano mi zapoznać się. Dlatego jeszcze raz, z Biblią i konkordancją w ręku zabrałem się do studiowania.

Kilka lat temu przeprowadziłem wywiad z Robertem Frost'em. Poeta nakreślił mi obraz, który bardzo wyraźnie miałem w pamięci gdy rozpocząłem tę pracę.

"Jeżeli chcesz dowiedzieć się co dany człowiek myśli o Bogu", powiedział, "nie pytaj go o zasady wiary, ale raczej przy-

glądaj się jego życiu. Podobnie jak z monetą leżącą pod kartką papieru: nie można jej bezpośrednio zobaczyć, ale można poznać jej wartość pocierając ołówkiem o papier nad nią. Poszczególne wgłębienia i wypukłości dadzą nam odpowiedź".

Spodziewałem się, że można tę metodę zastosować w przypadku Ducha Świętego. Chciałem dowiedzieć się kim jest nie przez czytanie różnych zasad wiary, lecz przyglądając się Jego działaniu w Biblii. Być może takie "wypukłości" i "wgłębienia" dadzą mi Jego obraz.

Myślałem, że o Duchu Świętym jest mowa tylko w Nowym Testamencie, ale ku memu zdumieniu stwierdziłem co innego. To prawda, że wyrażenie "Duch Święty" jest wymienione w Starym Testamencie tylko trzy razy, ale pojęcie Ducha znajdujemy już w pierwszej księdze Mojżeszowej.

Już na początku zauważyłem, że spór dotyczący istoty Ducha - czy jest On osobą, czy też nieożywioną siłą - istnieje tak długo, jak długo istnieje Biblia. Słowo "duch", po hebrajsku "ruah" ma dwa znaczenia. Jedno z nich to "wiatr", drugie to "oddech". Jedno jest nieosobową siłą, drugie oznacza coś o wiele bardziej określonego. Nie można bowiem mówić o oddechu jeśli nie ma oddychającego.

Zasadniczą jednak cechą tak jednego, jak i drugiego był ruch. "Ruah" był zawsze w ruchu, w działaniu. Oddziaływał zawsze na wszystko z czym się zetknął.

Inne pojęcie tkwiące w starożytnym użyciu tego słowa, to siła twórcza. "Ruah"

był nierozdzielnie związany z narodzinami. To Duch Boży unosił się nad powierzchnią wód przy stwarzeniu. To dech życia uczynił człowieka żywą istotą.

Późniejsze księgi Starego Testamentu ukazują jaką szczególną rolę odgrywał Duch w życiu różnych jednostek. Zstąpienie Ducha na człowieka wiąże się zazwyczaj z zupełną zmianą osobowości. Samuel oznajmił Saulowi, że Duch Jahwe zstąpił na niego z wielką mocą i zmienił go w innego człowieka. I rzeczywiście, młody Saul z "najpośledniejszej rodziny, z najmniejszego plemienia izraelskiego" stał się jednym z wielkich wodzów starotestamentowych.

Zwyczajni ludzie pod wpływem Ducha stawali się bohaterami. Duch Jahwe dał moc Samsonowi. Duch Boży zstąpił na Jozuego tuż przed upadkiem Jerycha. Dawid utrzymywał, że przez niego przemawia Duch Boży. Imiona mężów starotestamentowych, którzy byli dotknięci przez Ducha stanowią jednocześnie listę bohaterów Starego Testamentu:

Józef	Ezechiel	Jonasz
Mojżesz	Daniel	Micheasz
Jozue	Joel	Nahum
Jefte	Ozeasz	Abakuk
Natan	Amos	Aggieusz
Gad	Abdyjasz	Malachiasz

Był jeszcze inny aspekt spoczęcia Ducha na człowieku. W psalmie 51 i 139 Duch nawiedza psalmistę nie jako źródło mocy do potężnych czynów, ale wchodzi

w bliską, bezpośrednią społeczność z nim;
nie jako wódz armii, lecz jako opiekun
pojedynczej ludzkiej duszy:

Stwórz we mnie, o Boże,
Czyste serce,
A odnów we wnętrzu moim
Ducha prawego.

Nie odrzucaj mnie od oblicza swego
I nie odbieraj Ducha Swego Świętego
Ode mnie. /Ps.51,10-11/

Panie, Tyś mnie zbadał i znasz mnie.
Z tyłu i z przodu otoczyłeś mnie
I położyłeś na mnie rękę swoją.
Dokądże pójdę przed Duchem Twoim
I dokąd ucieknę przed obliczem Twoim?
/Ps.139,1.5.7/

W wersetach tych odczuwamy Bożą bliskość, zupełnie różną od poważnej, wypełnionej strachem zbożnej czci dla odległego i nieprzystępnego Jahwe.

Człowiekowi wierzącemu porównanie to narzuca się samo. I to było moje kolejne odkrycie. W wersetach Starego Testamentu, które - jak wierzą chrześcijanie - mówią o Chrystusie Duch odgrywa zasadniczą rolę. Najbardziej uderzające słowa zapisał Iza-jasz:

"Wyjdzie różdżka z pnia Isajego, a ga-
łązka z korzenia jego przyniesie owoc;
I spocznie na nim Duch Pański..."
/Izaj.11,1-2/

"Oto sługa mój. Spolegać na nim będę.
Wybrany mój, którego sobie upodobała
dusza moja. Dam mu Ducha mego, a on
sąd narodom wyda". /Izaj.42,1/

Jeżeli tak jest rzeczywiście, należało spodziewać się obfitości miejsc mówiących o Duchu w związku z opisem narodzenia Jezusa. Rzeczywiście znalazłem ich dużo. Jezus począł się z Ducha Świętego. Symeon otrzymał obietnicę Ducha, że nie umrze zanim nie ujrzy Mesjasza. Janowi Chrzcicielowi Duch Święty towarzyszył od początku odgrywając zasadniczą rolę w ciągłym wskazywaniu na Chrystusa. Matka Jana została napełniona Duchem, gdy Maria pozdrowiła ją. Ojciec Jana Chrzciciela otrzymał Ducha w dniu nadania dziecku imienia. Sam Jan był napełniony Duchem Świętym od momentu narodzenia. Miał poznać Chrystusa po szczególnym znaku: miał zobaczyć Ducha zstępującego na kogoś i to miało oznaczać, że ta osoba jest Synem Bożym.

Chrystus nie rozpoczął swej służby na ziemi zanim nie otrzymał Ducha w czasie swego chrztu w Jordanie. Mocą Ducha czynił Jezus cuda, dzięki tej mocy ludzie mieli wejść do Królestwa, które głosił. "Jeżeli się kto nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego" - mówił Chrystus. /Jan.3,5/

W miarę zbliżania się śmierci Jezus zaczął przygotowywać uczniów na przyjęcie tej mocy mówiąc im, że będzie dla nich pożyteczniej aby odszedł, bo jeżeli on nie odejdzie, Duch nie przyjdzie. A gdy przyjdzie Duch, pozostanie z nimi na zawsze, będzie ich prowadził, nauczał, posilał, a w jego mocy będą mogli czynić nawet większe rzeczy niż czynił on Sam - Chrystus.

Po swej śmierci Jezus przypominał uczniom tę obietnicę i przykazał im, by zostali w Jerozolimie aż zstąpi na nich Duch. W tym miejscu przerwałem czytanie i spróbowałem podsumować to, czego się dowiedziałem o Duchu, który miał przyjść:

- » Zarówno w Starym, jak i w Nowym Testamencie mówi się o Duchu w powiązaniu z działaniem. Słowa sugerujące ruch - - ogień, wiatr, tchnienie, deszcz, gołębnica - używane są często gdy mowa o Nim. Duch jest dynamiczny. On jest Bogiem w akcji.
- » W Starym Testamencie znajdujemy wskazówki tego, że Duch Święty jest osobą; w Nowym Testamencie to już całkiem wyraźnie widać. Chrystus wciąż przypisuje Duchowi imiona, które określają Jego pasterską, zachowującą, troszczącą się naturę. Nazywa Ducha Przewodnikiem, Doradcą, Pocieszycielem, Pośrednikiem.
- » I w Starym i w Nowym Testamencie pojęcia mocy i Ducha są ściśle związane. W Starym Testamencie moc ta objawia się głównie przez wielkich królów i proroków, którzy przewodzą narodowi. W Nowym Testamencie ta moc ma być udzielana prostym ludziom naśladowującym Chrystusa.
- » W obydwu Testamentach, gdy Duch dotyka ludzkiego życia, taka osoba doświadcza przemiany.

Taki obraz Ducha Świętego wyłonił się gdy poszedłem za "względieniami i wypukło-

ściami" Jego działania.

Uczniowie czekali więc w Jerozolimie na zstąpienie Ducha. Gdy przyszedł, zmienił wyleknioną grupkę uczniów w apostołów /tzn. posłanych/. Mężczyźni i kobiety, którzy oczekiwali w górnej izbie natychmiast rozpoczęli wspaniałą działalność w mocy Ducha. Tego samego dnia Piotr, ten, który uciekł w obawie przed utratą życia zaledwie przed kilkoma tygodniami, gdy aresztowano Jezusa, teraz wstał śmiało w obecności przedstawicieli władzy i wygłosił kazanie tak wymowne i przekonujące, że 3000 osób nawróciło się. Niedawny rybak pochodzący z odległej galilejskiej krainy... Nic więc dziwnego, że po tym przeżyciu apostołowie nakłaniali nowonawróconych, by tę moc również przyjęli. Miała ona być niezbędnym narzędziem, bez którego nie mogliby prowadzić tej ogromnej pracy, którą zlecił im Chrystus.

Jakich uczuć doznawano przyjmując Ducha Świętego? W Biblii nie ma wyczerpujących opisów, ale z tego co tam znajdujemy możemy zestawić pewien obraz.

Po pierwsze, jeśli Duch Święty jest Bogiem działającym w mocy, poznanie Go musiałoby być koniecznie przeżyciem. Dalej, byłoby to przeżycie z Osobą i to z Osobą miłą. Byłoby to przeżycie przyjaźni, twórczej, przekształcającej, w pewnych momentach delikatnej jak gołębica, w innych - spalającej, jak ogień i - jak każda przyjaźń - ukrytej i tajemniczej.

"Chrzest" jest tylko jednym ze słów

użytym w Biblii na oznaczenie momentu, w którym człowiek całkowicie angażuje się w tę przyjaźń. Inne słowa wskazują również na to, że Duch Święty to Bóg w działaniu. Czasami czytam, że Duch "zstąpił" na ludzi, kiedy indziej, że "zostali napełnieni" Duchem, w innych znów wypadkach czytamy, że ludzie "otrzymywali" Ducha. Biblia mówi, że Duch "wychodzi" od Boga.

Przeżycie to posiadało pewną cechę charakterystyczną, która wywoływała dwie sprzeczne reakcje. Przede wszystkim języki. W dniu Pięćdziesiątnicy nawet uczniowie byli do tego stopnia hałaśliwi, że ludzie obserwujący ich myśleli, że są pijani. Dzisiejsze pełne dostojęstwa kazania dziwnie kontrastują z pierwszym kazaniem chrześcijańskim, które musiało się rozpocząć od zapewnienia, że kaznodzieja i jego przyjaciele nie są pijani. "Jakże to", powiedział Piotr, "dopiero jest dziewiąta godzina; któż mógłby się już upić?"

W jaki sposób w czasach Nowego Testamentu ludzie osiąkali to przeżycie? Wydaje się, że nie jednakowo. W dniu Zielonych Świąt uczniowie po prostu zebraли się i oczekiwali. Jednak gdy Korneliusz wraz z przyjaciółmi i krewnymi słuchał jak Piotr opowiadał o Chrystusie, nieoczekiwanie zstąpił na nich Duch. W innych przypadkach wierzący, napełniony Duchem przekazywał Go innym przez wkładanie rąk.

Zamknąłem Biblię z uczuciem, że wszystko o czym czytałem jest dziwnie aktualne. Wiedziałem skąd pochodziło to uczucie. Sterta listów na moim biurku, rozmowy

z ludźmi napełnionymi Duchem - wszystko to wskazywało, że mało zmieniło się w tej dziedzinie od czasu napisania Nowego Testamentu. Nawet sposób, w jaki Duch zstępował na chrześcijan w pierwszym wieku miał swoje odpowiedniki w czasach obecnych.

Pamiętam jeden niedawny wypadek, gdzie grupa ludzi słuchała Słowa Bożego podobnie jak ludzie w domu Korneliusza. Oni również nie czekali na Ducha Świętego i nagle zostali napełnieni w ten sam sposób. W roku 1954 pewien kaznodzieja kościoła menonitów, Gerald Derstine prowadził tygodniowe seminarium biblijne w stanie Minnesota. Pewnego dnia, bez żadnej przyczyny jeden młody człowiek nagle uklęknął w klasie i zaczął płakać.

"Tego rodzaju przejawy uczuć są czymś niecodziennym w kościele menonitów", opowiada Derstine, "i początkowo chcieliśmy położyć temu kres, lecz zanim zdążyliśmy się z tym uporać płakał już następny student. Potem jeszcze jeden. Usiłowaliśmy wyprowadzić płaczących studentów z sali, ale gdy tylko wyprowadziliśmy jednego, dwóch, lub trzech innych zaczynało płakać.

I wtedy też zauważyliśmy coś dziwnego: z ust niektórych studentów zaczęły wydobywać się szczególnego rodzaju dźwięki. Czy to były "jąkające się wargi", o których czytamy w Biblii?

O ile pamiętam, nic podobnego nigdy nie wydarzyło się jeszcze w naszym kościele. Menonici nie nauczają, że takie rzeczy są jeszcze dzisiaj możliwe. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że mogły one

pojawiać się przed tysiąc dziewięciuset laty. A jednak na naszych oczach, nasi studenci mówili językami zupełnie jak w czasie pierwszych Zielonych Świąt".

Jedna z naszych przyjaciółek, Lila Ginter została napełniona Duchem jako dziecko nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że istnieje takie przeżycie religijne. Lila stała pewnego dnia w sadzie swego ojca w Ohio patrząc poprzez obłoki białego kwiecia na błękit nieba, gdy nagle ogarnęło ją uczucie obecności Boga. Otworzyła usta aby z nim w prosty sposób, dziecinnie porozmawiać, ale słowa, jakie wypowiedziały jej usta wcale nie były angielskie. I chociaż rozprawiała tak przez dłuższą chwilę jej usta nie formowały żadnych sensownych słów.

"Nigdy nie opowiadałam nikomu o tym przeżyciu", powiedziała mi Lila. "Myślałam, że jestem jedynym człowiekiem, któremu się coś takiego zdarzyło. Dopiero po czterdziestu latach dowiedziałam się, że istnieją całe grupy ludzi, dla których to zjawisko jest normalne".

Dzisiaj bywa częściej tak, że ktoś otrzymuje to przeżycie starając się o nie świadomie i aktywnie. Nadal jednak istnieje taka sama mnogość możliwości doświadczenia go jak w Biblii. Niektórzy odnoszą do siebie wskazówkę zawartą w słowach Chrystusa skierowanych do uczniów: "Oto ja posyłam na was obietnicę Ojca. Wy zaś zostańcie w mieście Jerozolimie, aż będziecie przyobleczeni mocą z wysokości". /Łk. 24,49/ Podkreślają oni słowo "pozostańcie".

Czuja, że muszą czekać czasem przez wiele dni w modlitwach i uwielbieniu Boga, zanim przeżyją chrzest w Duchu. Inni uważają, że nie ma potrzeby oczekiwać. Wskazują na inne miejsca w Nowym Testamencie, gdzie Duch Święty był darowany gdy tylko wierzący poprosił o Niego.

Niektórzy sądzą, że kandydat musi być pogrążony w głębokiej modlitwie zanim może otrzymać chrzest w Duchu. Inni natomiast są wręcz przeciwnego zdania: uważają, że chrzest w Duchu nie jest żadnym widowiskowym przeżyciem, lecz normalnym krokiem w życiu wiary chrześcijanina.

Jak wygląda sprawa uczuć towarzyszących temu przeżyciu? Niektórzy mówią, że wraz z językami musi przyjść wewnętrzne poświadczenie - poczucie jedności Ducha Świętego z duchem ludzkim. Inni uważają, że chrzest w Duchu przeżywa się na płaszczyźnie zupełnie różnej od płaszczyzny uczuć i jest tym pewniejszy, im mniej uczuć mu towarzyszyło.

Wydaje się, że brak jest jakichś absolutnych kryteriów jeśli chodzi o to przeżycie. Gdy pewnego wieczoru rozmawiałem o tym z Tib, powiedziała:

"Martwiłoby mnie, gdyby były jakieś sztywne wzorce. Skoro Duch jest przyrównany do wiatru, który wieje gdzie chce, absolutne kryteria byłyby podejrzane. Wyglądałoby to tak, jak gdybyśmy chcieli zastąpić huragan wentylatorem elektrycznym".

Ale chociaż ten wiatr Ducha "wieje gdzie chce" /Jan.3,8/, nie można zaprze-

czyć, że niektóre osoby dzisiaj, podobnie jak to było w czasach apostołskich, są szczególnie do tego wyposażone aby Go udzielać innym. W pierwszych dniach przebudzenia zielonoświątkowego J.E. Stiles podróżował po całym świecie i spotykając się z małymi grupami wierzących modlił się za wieloma, aby przyjęli Ducha Świętego. Tysiące ludzi otrzymało to przeżycie na takich zgromadzeniach. Taką szczególną służbę ma też David du Plessis. Podobnie Richard Winkler, pastor episkopalnego kościoła św. Trójcy w Wheaton, Illinois.

Wśród najbardziej aktywnych w tej dziedzinie ludzi jakich znam jest kobieta. Jean Stone prowadzi dom i jest matką w mieście Van Nuys w Kalifornii. Była ona członkiem episkopalnego kościoła św. Marka w Van Nuys w czasie niepokojów powstałych z powodu kazania Dennis'a Bennett'a. Jean odczuła, że do żadnego nieporozumienia by nie doszło gdyby ludzie byli lepiej poinformowani na temat działania Ducha w naszych czasach. Pewnego wieczoru powiedziała mężowi, że postanowiła wydawać czasopismo, które spełniałoby to zadanie w innych parafiach.

"Uśmiechnąłem się tylko", powiedział mąż Jean, Donald. "Jean nie ma zdolności do prowadzenia interesu nawet na tyle, by załatwić prenumeratę jakiegoś czasopisma, nie mówiąc już o wydawaniu".

Rozmawialiśmy z Donaldem Stone w hotelu w Nowym Jorku, dokąd przyjechał w sprawach służbowych.

"Była zupełnie niepraktyczna. Marzyła o jakimś atrakcyjnym kwartalniku na błyszczącym papierze, który miał być przeznaczony dla intelektualistów. Miała zamiar zatytułować go 'Trójca'". Donald był uśmiechnięty wyciągając z teczki błyszczący, atrakcyjny kwartalnik przeznaczony dla intelektualistów pod tytułem "Trójca" /Trynity/.

Oprócz wydawania czasopisma Jean podróżuje po całych Stanach Zjednoczonych prowadząc wykłady na temat chrztu w Duchu. Modli się także o tych, którzy pragną Go przyjąć. Ma szczególną umiejętność nawiązywania kontaktu z czytelnikami swojego czasopisma: z konserwatywnymi, bogatymi ludźmi z historycznych kościołów.

"Ludzie ci nie są emocjonalni w innych dziedzinach swojego życia", mówi Jean, "nie widzę więc powodów, dla których należałoby im w taki emocjonalny sposób prezentować Ducha Świętego".

Słyszałem jak bardzo rozsądnie i spokojnie przemawiała. "Apostołowie po prostu oczekiwali, że chrześcijanie powinni otrzymać chrzest w Duchu", mówiła swoim słuchaczom. "Czy przyjęliście Ducha Świętego gdyście uwierzyli? - pytali nowonawróconych. I jeśli odpowiedź była przecząca, natychmiast prosili Boga aby im Go dał ufając, że Bóg nie odmówi udzielenia tej tak potrzebnej mocy dla każdego wierzącego".

"Lubię tę szczególną służbę", mówi często Jean. "Jest to jedyna służba, w której można się spodziewać stuprocentowego powodzenia. Chrzest w Duchu jest dla całego

Kościół, dla każdego chrześcijanina".

Jean nie oczekuje wybuchu uczuć w momencie chrztu. "Nowy język jest zazwyczaj spokojny i piękny", powiada, "radosny, ale nie szalony". Dla Jean Stone przyjęcie chrztu w Duchu jest raczej przyjęciem kompletu narzędzi do wykonania jakiejś pracy niż emocjonalnym przeżyciem. "Jest to umowa między Architektem, a jego pracownikami. 'Chcecie pracować na mojej budowie? - Oto wyposażenie, które będzie wam potrzebne'. I daje nam uzdrowienie, proroctwo, mądrość, języki - wszystko, co możemy wykorzystać na naszym odcinku budowy".

Jednak nie zawsze chrzest w Duchu Świętym jest taki spokojny. Dr. John F. Barton, dentysta z West Hartford, Connecticut opowiadał mi, że swój chrzest w Duchu przeżył jak potężny wstrząs elektryczny; bezbolesny, ale przenikający. Moc ta wywołuje nieraz objawy zewnętrzne. Mięśnie mogą reagować na nią skurczami i rozkurczami, aż człowiek zaczyna cały drżeć. Równie dobrze można płakać, lub śpiewać, albo można zostać powalonym na ziemię. Święci "tarzający się" /Holy Rollers/, których większość stanowią zielonoświątkowi Murzyni zostali tak nazwani z powodu tego niecodziennego zjawiska.

Cielesne objawy znajdują swoich obrońców zupełnie niespodziewanie w obcych takim przeżyciom kołach. Byłem zaskoczony, gdy w dzienniku Johna Wesley'a przeczytałem następujący urywek:

"Niebezpieczeństwo", pisał Wesley na temat krzyków, konwulsji, tańczenia,

wizji, transów, itp., "kryło się w traktowaniu takich rzeczy zbyt lekko, w zupełnym ich potępianiu, w twierdzeniu, że nie mają nic wspólnego z Bogiem i że są one przeszkodą dla Jego dzieła. Prawda bowiem jest następująca:

1. Bóg w nagły i potężny sposób przekonywał ludzi, że są zgubionymi grzesznikami. Naturalnymi następstwami tego były nagłe krzyki i konwulsje.
2. Aby wzmocnić i pobudzić wiarę i aby wyraźniej przedstawić swoje dzieło łaskawie udzielał niektórym snów, wizji i objawień.
3. W niektórych przypadkach, z biegiem czasu rzeczy naturalne mieszały się z Bożymi.
4. Szatan podrabiał to dzieło Boże, aby je skompromitować w całości. Nie należy jednak rezygnować z tej części jak i nie należy rezygnować z całości dzieła Bożego. Na początku niewątpliwie wszystko pochodziło w nim od Boga. W pewnej mierze jest tak jeszcze dzisiaj. Bóg może uzdolnić nas do rozeznawania, które działanie jest czyste i w jakim stopniu, a które jest mieszané i zdegenerowane. Cięż nie jest ujmą dla przedmiotu, ani sztuczny klejnot dla diamentu".

Nie tylko zewnętrzne objawy cielesne mogą towarzyszyć przyjęciu chrztu w Duchu. Występują również silne reakcje emocjonal-

ne. W mojej korespondencji często powtarzały się wzmianki o uczuciu błogości. Oto przykłady:

»Był to prawdziwy potop radości.

»Zacząłem wielbić Boga w nowym języku, jaki otrzymałem. W tym samym czasie czułem, jak mój duch dostał skrzydła. unosiłem się w kierunku nieba.

»Zacząłem się śmiać. Było to coś dziwnego, ale chciało mi się śmiać i śmiać tak jak w chwilach, kiedy czujemy się tak dobrze, że nie potrafimy tego wyrazić. Trzymałem się za boki i śmiałem się, aż zginałem się w pół. Wtedy na chwilę przestawałem i potem znów zaczynałem. Śmiałem się i śmiałem się.

»Po raz pierwszy sam zrozumiałem dlaczego uczniów wzięto za pijanych w dniu Pięćdziesiątnicy. Podobnie czułem się w dniu moich Zielonych Świąt: niezmiernie błogo, pijany z radości.

»Był we mnie pokój. Po prostu cudowny, pełny, głęboki pokój.

Bardzo często temu uczuciu błogości towarzyszy jakiś rodzaj uzdrowienia. W hotelu "Benjamin Franklin" w Filadelfii spotkaliśmy pewną kobietę z "grupy sobotniej", która jest żoną kaznodziei baptystycznego. Opowiedziała nam zadziwiającą historię. Urodziła się z jedną nogą o 5 cm krótszą niż druga i przez całe życie nosiła specjalne obuwie. Tego wieczoru gdy przeżyła chrzest w Duchu poczuła, że coś

ją pali w nodze, ale ze względu na ogromną radość nie zwróciła na to uwagi. Radość była u niej zasadniczym objawem przy chrzcie. Siedziała kilka godzin na kanapie, a łzy szczęścia spływały jej po policzkach. Gdy w końcu jednak wstała, by pójść do domu, zaczęła utykać. Po przejściu przez cały pokój zdała sobie sprawę z tego co się stało. Jej krótsza noga urosła 5 cm. But ortopedyczny powodował nierówność nóg. "Uzdrowienie to", dodała tej soboty spoglądając na parę swych zgrabnych butów, "okazało się trwałe".

Pastorowi Dawidowi C. Wilcox'owi z Milwaukee, Wisconsin lekarz zalecił pić 30 g koniaku z gorącą wodą trzy razy dziennie w celu usunięcia napięć nerwowych. Po sześciu latach pan Wilcox pił już litr wódki dziennie, pochłaniając całe pudełka cukierków miętowych, aby zachować swą tajemnicę "alkoholową". Próbował modlitwy, psychoterapii, hipnozy, kuracji odwykowych - wszystko na próżno. Pewnego wieczoru usnął na kolanach po długiej i intensywnej modlitwie. Gdy się obudził, stwierdził, że stało się coś niezmiernie ważnego. Czuł jak Duch Święty napełnia go mocą. Był zupełnie pewien, że od tego momentu skończył się jego problem z alkoholem.

"Bóg wspaniale i cudownie uwolnił mnie od demona alkoholu", mówi dzisiaj Wilcox, pięć lat po swym chrzcie w Duchu. "Uwolnienie to przyszło spokojnie, jak rosa poranna. Miało jednak tak wstrząsający wpływ, że zupełnie zmieniło moje życie".

Innym rodzajem uzdrowienia, o którym często się słyszy, to uzdrowienie ducha.

Marianne Brown z Parkesburg, Pensylwania jest dzisiaj prawdziwie radosną osobą. Ma cudowny, zaraźliwy uśmiech. Ale bruzdy wokół jej oczu nie powstały od uśmiechów: są pozostałością po latach, w czasie których Marianne ciągle się martwiła.

Mieszkała na plebanii o jedenastu pokojach zbudowanej w czasach, gdy łatwo było o pożyczkę. Od momentu gdy Brownowie przeprowadzili się do tego domu stojącego obok kościoła prezbiteriańskiego nic się nie układało. Marianne nigdy nie nadążała za swymi obowiązkami: albo zajmowała się domem, pięciorgiem dzieci i mężem - pastorem i zaniedbywała potrzeby parafii, albo też pomagała w pracy kościelnej, a dom cierpiał. Zawsze spóźniona, zawsze zabiegana, zawsze w napięciu Marianne coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Znała niezawodny sposób: gdy sprawy za bardzo się komplikowały - kładła się do łóżka.

"Te choroby", powiedziała mi Marianne pewnego dnia gdy odwiedziliśmy ją z Tib w Parkesburgu, "dawały podwójną korzyść: darzono mnie współczuciem i byłam wolna od obowiązków. Wiedziałam jednak, że tak żyć nie należy. Wiedziałam, że Bóg nie chciał abym była pół-inwalidą. Nie miałam jednak siły, aby temu zaradzić".

I wtedy Marianne przeżyła chrzest w Duchu Świętym. "Nowy język, który dostałam", powiedziała, "był wymieszany z radością, w której znikły wszystkie moje obawy i cały strach. Był to język śmiechu. Kiedy przestałam się śmiać, czułam, że już ni-

gdy nie będę musiała spędzić ani dnia w łóżku z powodu zmartwień. Od ośmiu lat ta przepowiednia sprawdza się. Bóg obdarzył mnie wtedy taką siłą i radością, że w ciągu kilku godzin mogłam zrobić to, co przedtem zabierało kilka dni".

W całej różnorodności przeżyć z Duchem Świętym jedna rzecz jest prawdziwa w każdym wypadku. Czy chrzest przyszedł w sposób spokojny, czy w wybuchowy, niespodziewanie, czy też po długich staraniach - ostatecznym wynikiem było zbliżenie danej osoby do Chrystusa.

I nagle zrozumiałem, że sam cały ten cykl już przeszedłem.

Całe to poszukiwanie rozpoczęło się od pustki, która nastąpiła w jakiś czas po moim "szczytowym przeżyciu" w szpitalu. Szedłem - chyba wszyscy chrześcijanie idą - drogą, którą przeszli uczniowie. Najpierw było osobiste spotkanie z Chrystusem. Następnie wydawało się, że Chrystus odszedł. Jest w nas pragnienie Jego powrotu, a także poczucie beznadziejności, ponieważ żadne z naszych usiłowań nie przybliża tego powrotu.

Czyż to wszystko, czego dowiedziałem się z Biblii i od ludzi, którzy mieli to przeżycie nie wskazywało na fakt, że aby Go znów zobaczyć potrzebne jest nam pośrednictwo Ducha Świętego? "Ale gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego poślę od Ojca - Duch prawdy, który od Ojca pochodzi - On o mnie świadczyć będzie". /Jan.15,26/

Pokój 405

Wydaje się, że istnieje dziwny związek między postawieniem pozornie głupiego, ale określonego przez Boga kroku, a otrzymaniem mocy duchowej. Na Boży rozkaz Mojżesz wzniósł łaskę nad wodami i Morze Czerwone rozdzieliło się. Elizeusz poradził biednej wdowie aby zebrała wiele naczyń i zaczęła nalewać do nich olej ze swego niewielkiego dzbana. Gdy to posłusznie uczyniła starczyło jej oleju by spłacić wszystkie długi. Eliasz musiał uderzyć płaszczem o wodę zanim się rozdzieliła.

Miałem kiedyś możliwość rozmawiać o tym z Billy Graham'em. On zauważył to już przed wielu laty i twierdził, że tajemnica polega na przewyciężeniu własnej świadomości i własnej woli w takim stopniu, żeby dany czyn wykonać. Na jednym ze zgromadzeń zauważył, że dla większości zebranych było niezmiernie trudno wstać z miejsca i wyjść do przodu. Ale również zaobserwował, że ten pozornie głupi gest daje jakąś moc.

Wielu ludzi tak samo ocenia języki. Wydaje się to dla nich bezcelowe i kłopotliwe. U ludzi tych ostateczne poddanie języka pociąga za sobą niewątpliwie głębokie przeżycie religijne. Ale mój opór nie polegał na tym. Zacząłem teraz dos-

trzebać pewną logiczność języków: mogłem sobie wyobrazić jak sam uwielbiam Boga w niezrozumiałym dla mnie języku; mogłem sobie wyobrazić jak modłę się językami wtedy, jak modlić się o daną sprawę rozumem. Właściwie teraz już coraz bardziej pragnąłem przeżyć chrzest w Duchu Świętym i byłem prawie pewien, że będą mu towarzyszyć języki.

Punkt oporu leżał u mnie gdzie indziej. Zielonoświątkowcy robili coś, czego ja nie chciałem robić. Wstawali, podnosili ręce i wołali "chwała Panu!". Wiedziałem, że praktykowano to już od dawna w tradycji judeochrześcijańskiej:

"Gdyż lepsza jest łaska Twoja niż życie. Wargi moje wysławiać Cię będą. Tak błogosławić Cię będę, póki życia mego; w imieniu Twoim podnosić będę ręce moje. Dusza moja nasycą się jakby szpikiem i tłuszczem, a usta moje będą Cię wielbić radosnymi wargami". /Ps. 63,4-6/

Wiedziałem, że "chwała Panu" jest ulubionym zwrotem psalmisty i że wchodziło nawet do liturgii naszych "porządnych nabożeństw" w kościele episkopalnym.

Jednak sposób, w jaki robili to zielonoświątkowcy był dla mnie nie do przyjęcia. Niewątpliwie każdy ma jakąś przeszkodę...

2 grudnia 1960 roku. Była to data otwarcia zjazdu Biznesmenów dla Pełnej Ewangelii w Atlantic City, na który razem z Tib już wiosną zdecydowaliśmy się pojechać. Zgromadzenia organizowane były

w "Prezydencie", największym hotelu położonym nad brzegiem oceanu. W piątek wieczorem zameldowaliśmy się i poszliśmy na spacer na chłodną, oświetloną blaskiem księżyca plażę, ale zaraz wróciliśmy.

Nie wiem dlaczego przeżycia na zgromadzeniu porannym zrobiły na mnie tak wielkie wrażenie. Byłem już na wielu zgromadzeniach zielonoświątkowych, ale nigdy na tak dużym: wczesnym rankiem kilkaset mężczyzn i kobiet stłoczyło się w ogromnej sali balowej "Prezydenta".

Zjedli szybko śniadanie i podsuwali krzesła do tyłu, jakby w oczekiwaniu na coś, co miało nastąpić.

Na podwyższeniu w końcu sali siedziało ponad dwudziestu mężczyzn różnych zawodów. Dowiedziałem się, że niektórzy przybyli samolotem z drugiego krańca Stanów Zjednoczonych aby wziąć udział w zgromadzeniach; jeden z nich przybył własnym samolotem.

Kiedy kończyliśmy pić kawę, jakiś mężczyzna wstał i podał tytuł pieśni. Wszyscy dołączyli się do głośnego, żywego i pięknego śpiewu jaki już przedtem słyszałem u zielonoświątkowców. W trakcie następnej pieśni kobieta siedząca przy najbliższym stoliku rozpłakała się. W samej pieśni nie było nic szczególnie wzruszającego; był to jeden ze starych, znanych hymnów ewangelicznych "Gdy spojrzę tylko na cudowny Krzyż". Płacz jednak okazuje się tak samo zaraźliwy jak śmiech. Niektórzy z mężczyzn na podwyż-

szeniu - nie krępując się wcale - wyciągali chusteczki. Jakie to działanie ogarnęło całą salę? Ja również je odczuwałem; tak samo siedząca obok mnie Tib. Oboje skrzętnie unikaliśmy patrzenia sobie w oczy.

W trakcie tej pieśni kilka osób przy stolikach zaczęło śpiewać "w Duchu". Wkrótce cała sala śpiewała pieśń o skomplikowanej harmonii bez partytury, tworzoną spontanicznie. Było to niesamowite, lecz nadzwyczajnie piękne. Prowadzący śpiew nie próbował już dyrygować. Pozwolił melodiom tworzyć się samym. Gdy jedni ścisiali śpiew, inna część sali zaczynała nagle śpiewać głośno. Harmonizujące i kontrastujące współbrzmienia wynikały jedno z drugich.

Teraz już łzy płynęły ze wszystkich oczu na sali. Ogorzały, o kamiennej twarzy mężczyzna opodał podniósł ogromne ręce i zawołał "chwała Panu!". Starsza kobieta siedząca niedaleko wstała i zaczęła tańczyć. Wyglądała na prababcię w czarnej sukni z białymi włosami spiętymi w kok. Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Oczywiście z wyjątkiem mnie. Nie mogłem wprost oderwać od niej oczu. I gdy tak się przyglądałem, stało się coś, czego nie potrafiłem jeszcze wytłumaczyć. W sali balowej było bardzo gorąco, około 30°. Jednak gdy babcia tańczyła wyraźnie widziałem na tle welwetowych zasłon delikatne obłoczki oddechu wychodzące jej z ust, jak gdyby to było na mrozie.

Trudno opisać wrażenie, jakie te objawy na mnie wywarły. Nie czułem się skre-

powany, nie myślałem też, że oglądam coś niezdrowego. Przeciwnie, miałem pewność, że to jest właściwe i dobre i przypominałem sobie uwagę Dr-a Van Dusen'a, że zielonoświątkowa wylewność w okazywaniu uczuć "jest w końcu przecież całkowicie zdrowa".

I nagle wszystko się skończyło. Przeszliśmy śpiewać, zmienił się nastrój zgromadzenia. Wyciągano chusteczki i wycierały oczy. Młeczkarz z Kalifornii, Demos Shakarian, który jest prezesem społeczności wyszedł na środek podwyższenia i prowadził organizacyjną część. Gdy po pięciu minutach ta część skończyła się odetchnąłem z ulgą; nie raz już bowiem słyszałem sprawozdania skarbników.

Nastąpiła modlitwa. Poranne spotkanie trwało cztery godziny. Było kazanie i znów śpiew. Był moment, kiedy zebrani mogli dzielić się świadectwami swych przeżyć z Duchem Świętym. Gdy przedstawiali się zauważyłem, że nie wszyscy na sali balowej są ze zborów zielonoświątkowych. Jak już nam powiedział Charles Maurice, byli tam metodyści, baptyści, prezbiterianie, luteranie, członkowie kościoła episkopalnego. Kiedy przerwano w końcu zgromadzenie, dr. William Reed, chirurg i równocześnie diakon w kościele episkopalnym, który od lat był naszym znajomym podszedł do nas i zaproponował, abyśmy dołączyli się do grupy, która miała otrzymać kanapki w jednym z pokoi na górze. Pokój, który wybrano miał stać się dla mnie szczególnie ważny: pokój 405.

Drzwi pokoju 405 były lekko uchylone gdy tam przyszedliśmy po piętnastu minutach.

Zapukałem więc i weszliśmy ciekawi kogo tam zastaniemy. Naprzeciw okna wychodzącego na przewalające się fale oceanu Atlantyckiego siedział Jim Brown, pastor presbiteriański z Pensylwanii. Bill Reed siedział na kanapie i rozmawiał z Olivią Henry, pastorem metodystów z Filadelfii. Dorota Radnall, działaczka socjalna z kościoła episkopalnego i żona Jima, Marianna przygotowywały kawę w kuchni. Zauważyłem, że nie ma wśród nas zielonoświątkowca.

Tib usiadła obok Jima plecami zwrócona do Atlantyku. Rozmowa toczyła się wokół porannego spotkania, różnych mówców i przedstawionych poglądów. Dopiero po kilku minutach zauważyłem, że Tib nie włącza się do dyskusji.

Z bufetu na dole przyniesiono kanapki i rozmowa zwróciła się ku sprawom bardziej osobistym: problemom i nadziejom, z którymi każdy na ten zjazd przyjechał. Od czasu do czasu spoglądałem na Tib. Siedziała zamyślona i cicha; kanapka na jej talerzu leżała nietknięta. Rano nie narzekała na złe samopoczucie, lecz teraz jej wygląd zdradzał zmęczenie, jak gdyby dźwigała na plecach ogromny ciężar.

Nagle wstała. Bąknęła coś, że musi gdzieś zatelefonować i zanim mogłem ją zatrzymać już wyszła.

Działo się coś dziwnego. Ja i Tib byliśmy pod wieloma względami do siebie podobni, ale podobieństwo nasze w jednej dziedzinie jest szczególne. Byliśmy dumni z naszego obiektywizmu. Uważaliśmy i nadal uważamy, że obiektywizm i szczerść są ze sobą zwią-

zane. Wierzyliśmy, że jeśli patrzy się na coś wieloma parami oczu łatwiej zobaczyć całość.

Jednak obiektywizm spełniał u nas jeszcze jedną funkcję - służył za zasłonę. Z natury nie byliśmy poufali i łatwowierni. Nie chcieliśmy być identyfikowani z żadną grupą. Jednocześnie z racji zawodu byliśmy naprawdę zainteresowani przeżyciami innych ludzi. W duchu obiektywizmu, pozostając zawsze zainteresowanymi obserwatorami, nigdy natomiast nie będąc zaangażowanymi uczestnikami mogliśmy obronić się przed pokusą przystania do jakiegokolwiek grupy, o której pisaliśmy.

Zasadniczy wyjątek od tej zasady zrobiłem wtedy, kiedy stałem się chrześcijaninem. To przeżycie pozwoliło mi odkryć niedoskonałość mojej zasady obiektywizmu. Zanim podjąłem tę decyzję myślałem o sobie, że patrzę na chrześcijaństwo ze wszystkich możliwych stron otrzymując dzięki temu jego właściwy obraz. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że właśnie obiektywizm był przeszkodą w ujrzeniu całkowitego obrazu. Wykluczał bowiem najważniejszy punkt patrzenia: od wewnątrz.

Od wielu miesięcy patrzyłem na chrzest w Duchu Świętym ze wszystkich możliwych stron, wciąż jednak tylko z zewnątrz. Umysłem przyznawałem, że to religijne przeżycie jest bardzo istotne. Teraz chciałem zbadać je od wewnątrz. Tib śledziła cały przebieg badań i wywiady. Była zainteresowana, wciąż jednak tylko jako obserwator. Myślę, że wtedy wiedziała co robi gdy opu-

ściła pokój 405. Rozmyślnie zabrała z sobą nasze brzemie obiektywizmu. Umożliwiła mi dotarcie do tego przeżycia zabierając z sobą wszelkie opory.

Wtedy oczywiście nie zdawałem sobie z tego zbyt wyraźnie sprawy. Miałem wątpliwości czy rzeczywiście musiała telefonować. Wiedziałem, że coś ją przytłacza, ale wy-
czułem też, że nie chciała abym z nią wychodził. W jakiś tajemny sposób miała odegrać wielką rolę w wydarzeniu, które nastąpiło. Zabrała z sobą bowiem to ulubione spojrzenie z dystansu, a ja byłem wolny aby móc doświadczyć wstrząsu tego przeżycia.

Jednakże wychodząc z pokoju nie zostawiła mnie samego. W ciągu następnych godzin byliśmy z sobą dziwnie złączeni. Opuściwszy pokój 405 Tib poszła na molo. Po chwili spaceru zeszła na plażę by iść tuż przy krawędzi wody. Szła bardzo, bardzo długo. Słońce zniżało na niebie swój bieg. Zaczęło ją razić, bo szła na zachód. Tib zawsze była wrażliwa na światło, wybierała krzesła zwrócone oparciami do okien, itp. Chciała zawrócić i iść na wschód, tyłem do słońca gdy usłyszała wyraźny, brzmiący jak rozkaz głos:

"Nie patrz ani na prawo, ani na lewo, lecz tylko prosto przed siebie".

Ale przed nią było rażące słońce. Mrużąc oczy szła dalej. Robiło się późno. Oddaliła się już od hotelu. Spotkanie w pokoju 405 musiało się już zakończyć, myślała sobie. Myślała, że już jej szukam. Lecz za każdym razem, kiedy chciała odwrócić się

i wracać w jej uszach brzmiały na nowo te dziwne słowa.

"Ani na prawo, ani na lewo, tylko przed siebie".

Słońce zniżało się coraz bardziej, a jego promienie połyskiwały na falach świecąc jej prosto w oczy. Tib szła jednak dalej w kierunku oślepiającego blasku...

W pokoju 405 panowała atmosfera wyczekiwania. Było nas teraz sześcioro. Siedzieliśmy nieregularnym kręgiem dookoła pokoju. Kilka osób podzieliło się już świadectwami o mocy modlitwy w Duchu i teraz ktoś zaproponował abyśmy w ten sposób pomodlili się o rozwiązanie naszych problemów.

Poniekąd z chęci przewyciężenia własnej świadomości zamknąłem oczy. Wkrótce przestałem kojarzyć poszczególne głosy z osobami rozmawiającymi w pokoju. Ktoś zaczął modlić się w Duchu. Był to głos kobiety, ale nie wiedziałem której. Właściwie od tego momentu straciłem kontakt z poszczególnymi osobami. Wydawało mi się, że wszyscy zniknęli, a jakaś jedna osoba mówiąca różnymi akcentami zajęła ich miejsce. Była dziwna jednomyślność. Ktoś rozpoczynał zdanie, a ktoś inny je kończył.

Teraz znów ktoś zaczął modlić się językami. Ktoś inny zaczął cicho śpiewać w Duchu. Poczułem ucisk w gardle tak, jak przedtem w czasie potężnego śpiewu. Chyba płakałem, głęboko, cicho. Powoli zacząłem tracić świadomość własnej osoby.

Utrata własnej świadomości jest dość ciekawym przeżyciem. Uzyskałem jednocześnie świadomość obecności innej osoby w po-

koju. Nagle pojawił się znowu w takiej samej światłości w jakiej widziałem Go w szpitalu. Ale teraz światło przedzierało się przez zamknięte powieki - rażące, oślepiające, straszne. Bałem się tego spotkania. Chciałem odwrócić od tego uwagę i skupić się na tym, co widziałem w pokoju i na siedzących tam osobach.

"Nie patrz ani na prawo, ani na lewo, lecz tylko prosto przed siebie".

Głos ten usłyszałem z tyłu. Myślałem, że pochodzi od Olivii Henry'ego, ale nie byłem pewien. Właśnie w momencie gdy chciałem powrócić do stanu świadomości głos ten skierował mnie z powrotem na odpowiednie tory. W ciągu najbliższej godziny kilkakrotnie usłyszałem ten rozkaz, zawsze w chwili odwrócenia uwagi. Nie wiedziałem czy słowa te skierowane były do mnie czy nie, ale oddały mi one niezmierną przysługę. Dzięki nim nie myślałem o tym co działo się obok, o własnym wyglądzie i opinii innych ludzi o mnie. Słowa te kierowały mnie zawsze na oślepiające światło na wprost.

Modlitwa i śpiew nieco ucichły. Głosy obok mnie przeszły w cichy pomruk.

Jakiś mężczyzna odezwał się: "Wydaje mi się, że John pragnie przeżyć chrzest w Duchu".

Nie widziałem, ale poczułem, że pięć osób wstało i otoczyło mnie wkoło.

Co zdarzyło się następnie zależało w dużej mierze od roli, jaką Tib odegrała idąc wzdłuż plaży naprzeciw słońcu. Uważałem, że bez jej pomocy nie zdecydowałbym się na

niebezpieczeństwo jakiegoś zupełnie nowego przeżycia.

W tamtym momencie w pokoju 405 nie myślałem jednak o tym. Działo się ze mną coś wręcz przeciwnego: maksymalnie poddałem się temu przeżyciu minimalnie je analizując.

Grupa otoczyła mnie ciasniej. Utworzyli ze swych ciał coś w rodzaju kanału, w którym miało skoncentrować się działanie Ducha napełniającego cały pokój. Działanie to spłynęło na mnie gdy tak siedziałem i słuchałem pieśni duchowej. Języki przeszły w piękne wznagające się harmonie. Otworzyłem usta oczekując, że będę się mógł przyłączyć, ale nic nie wychodziło. Z ust nie mogłem wydobyć słowa i czułem ucisk w krtani.

I nagle uświadomiłem sobie, że muszę spojrzeć w górę, by zacząć mówić językami. To miał być gest radości. Przez całe życie uczono mnie, że do Boga należy przychodzić z pochyloną głową. Dziwne, że taki prosty ruch, jak podniesienie głowy miał stać się punktem zwrotnym. I wkrótce - może dlatego, że od razu nie posłuchałem - wyraźnie odczułem inną wskazówkę: nie tylko miałem podnieść w górę głowę, ale również i ręce i całą siłą swego uczucia miałem wydać potężny okrzyk chwały dla Boga. Oblał mnie gorący pot. Właśnie tego najbardziej nie chciałem uczynić.

Może właśnie dlatego, że było to dla mnie powodem walki wewnętrznej wszystko sprowadziło się do posłuszeństwa.

Jakież inne znaczenie mogło mieć wzno-

szenie rąk i wykrzykiwanie słów chwały? Wiedziałem jednak doskonale, że powinienem to zrobić, chociażby nie wiem jak nierozsądne mi się to wydawało. I może dlatego, że wydawało się głupie. E. Stanley Jones powiedział: "Musiałem stać się Bożym głupcem".

Nagłym wysiłkiem woli wyrzuciłem ręce w powietrze, zwróciłem twarz do góry i na cały głos zawołałem:

"Chwała Panu!"

Zapora przerwała się. Z głębi mojej istoty, z większej głębokości niż przypuszczałem wyrwał się strumień radosnych dźwięków. Nie było to tak piękne jak języki, które słyszałem obok. Miałem wrażenie, że jest to brzydkie, wybuchowe i szorstkie. Nie zwracałem na to uwagi. W tym było uzdrowienie, w tym było przebaczenie, w tym była miłość - zbyt głęboka dla wyrażenia jej słowami. To wszystko wylało się ze mnie potokiem niezdarnych dźwięków. Po tym decydującym wysiłku moja wola wyzwoliła się i uwolniona unosiła się w społeczności z Nim. Nie potrzebowałem już robić żadnego świadomego wysiłku, nie wybierałem nawet sylab do wyrażania swej radości. Sylaby były już gotowe, przygotowane dla mnie bogatsze, niż moje ziemskie usta i język mogłyby ukształtować.

Nie znaczy to jednak, że wcale nie panowałem nad sobą: nigdy przedtem nie czułem się bardziej panem samego siebie, bardziej spokojny i wewnętrznie zrównoważony.

W każdej chwili mogłem zatrzymać język, ale któżby to robił? wcale nie chciałem

przestać. Modliłem się więc ze śmiechem
i uczuciem uwolnienia, gdy zachodzące słoń-
ce świeciło przez okno, a na niebie już
zaczynały ukazywać się gwiazdy.

Przez Czerwone Drzwi

Trzy następne miesiące były jednym pasmem uśmiechu, wesołości i codziennym radosnym witaniem poranku. Nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze przez tak długi okres. Praca szła świetnie. Zobaczyłem co to znaczy być dobrym ojcem: gdy dzieci wpadały do biura odkładałem pracę ciesząc się z tego, że je widzę, a gdy wychodziły powracałem do przerwanej pracy bez najmniejszego rozproszenia. Gdy jeden z chłopców wkradł się do biura i coś spsocił wyrzucałem go, ale w mojej złości nie pamiętałem mu tego długogo.

Porzuciłem też wiele psychologicznych chwytów, które kiedyś zawsze stosowałem, aby utrzymać ludzi w bezpiecznej odległości ode mnie. Swoich starych przyjaciół zacząłem teraz poznawać z zupełnie innej strony i poznałem nowych przyjaciół, przy czym nie czułem już tej nieśmiałości, która dotychczas była jakby moim losem.

Czytanie Biblii nabrało nowego znaczenia. Odkryłem ciekawą rzecz: w Biblii odnajdujemy te osoby Bóstwa, z którymi się spotkaliśmy. Przez wiele lat w Piśmie św. widziałem tylko Ojca. Potem, po przeżyciu w szpitalu zacząłem odnajdywać Syna, a teraz Ducha Świętego. Było to wręcz czymś pasjonującym czytać wersety, które całe życie uważnie czytałem, ale nie potrafiłem

uchwycić ich znaczenia. Po raz pierwszy podszedłem do Ewangelii i Dziejów Apostolskich jako do ksiąg opisowych, a nie poetyckich. Czytałem o cudach, demonach, uzdrowieniach i duchach zupełnie nowymi oczyma.

Kościół również nabrał nowego znaczenia. Po raz pierwszy zrozumiałem słowa psalmisty: "Uradowałem się gdy mi powiedziano: do domu Pana pójdziemy". Po prostu lubiłem znajdować się w kościele. Podobał mi się budynek, zebrani, nabożeństwo. Przypominam sobie, że nabożeństwo z Komunią na Boże Narodzenie wydało mi się niezwykle krótkie. Powiedziałem o tym Tib gdy wychodziliśmy. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. "Siedzieliśmy tu dwie godziny", powiedziała. Wtedy jednak - chociaż zawsze byłem "podszyty wiatrem" - mogłem siedzieć jeszcze następne dwie godziny.

Używałem również mojego nowego języka w tym okresie. W dwóch sytuacjach wydawało mi się to całkiem naturalne. Po pierwsze - pod wrażeniem piękna. Pamiętam jeden styczniowy poranek gdy każda gałązka na każdym drzewie pokryta była lodem. Spojrzałem z okna sypialni na ten połyskujący świat i najnaturalniejszym w świecie odruchem było wyrażenie tego nieopisanego wdzięku słowami.

Podobne przeżycia miałem dość często. Byłem świadkiem czegoś razrzuwającego, co kiedyś wywoływało dreszczyk zachwytu i powodowało reakcję w językach. Poznałem, że było to bezsłowne uwielbianie. Uwielbianie to pozwalało mi w jakiś tajemny sposób

uczestniczyć w tym pięknie, w tym majestacie. Stwierdziłem, że dzięki takiej reakcji stawałem się bardziej wrażliwy na sytuację, która ją wywoływała.

Po drugie - języków używałem w modlitwach przyczynnych. Pewnego wieczoru modliłem się o jednego członka naszego zboru, którego żona powiedziała nam, że nie może spać po nocach. Nic więcej o nim nie wiedzieliśmy i ponieważ słabo go znałem nie było sensu modlić się o niego rozumem. Obudziłem się o trzeciej nad ranem z przeświadczeniem, że problemem tego człowieka jest uraz, jaki żywi do kogoś z pracy; nie przebaczył on tamtej osobie jakiejś dawno wyrządzonej krzywdy. Wiedziałem też, że mam iść do niego i o tym porozmawiać. Nie znajdowałem spokoju, aż wreszcie zdecydowałem się pójść. Chłodno rozumując, wydawało się to zuchwałym przedsięwzięciem. Jak mogłem wytłumaczyć wtargnięcie do czyjegoś życia z podobną kwestią? Postanowiłem wywiązać się - nie wiem przed kim - ze swej obietnicy danej minionej nocy i zadzwoniłem do jego sekretarki prosząc o umówienie mnie z nim, z Billem "w czasie dla niego najodpowiedniejszym". Na szczęście ten bardzo zajęty człowiek miał wolną chwilę tego samego popołudnia i o trzeciej siedziałem w jego gabinecie bojąc się, by nie uznał mnie za szalonego.

"Bill", powiedziałem, "musi mi pan wybaczyć jeśli się mylę, ale mam jakieś dziwne przeczucie..." i opowiedziałem mu następnie o tym co mnie w nocy obudziło.

Gdy skończyłem Bill siedział z oczami

utkwionymi w dłonie. Słysząc było jak jego sekretarka pisze na maszynie w biurze obok. Dzwonek maszyny brzęknął cztery razy zanim Bill odezwał się.

"Skąd w ogóle mogłeś się o tym dowiedzieć?" spytał.

W ciągu następnych dwóch miesięcy spotykałem się z Billem na obiedzie raz w tygodniu. W zasadzie ja tylko słuchałem, a problem, wobec którego Bill tak długo stał zaczął się sam rozwiązywać. W tym czasie Bill zaczął zupełnie inaczej patrzeć na Ducha Świętego, ponieważ musiałem mu oczywiście powiedzieć jak to się stało, że do niego pierwszy raz przyszedłem.

W trakcie tych spotkań z Billem stanąłem przed jeszcze trudniejszym problemem. Pewnego popołudnia do mojego gabinetu wbiegła Tib i powiedziała mi, że kilkunastoletnia córka naszego bliskiego przyjaciela usiłowała popełnić samobójstwo. Leżała w szpitalu w beznadziejnym stanie. Chcieliśmy modlić się o nią, ale prawie nic nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy nawet w jaki sposób chciała odebrać sobie życie.

Modliłem się więc w językach i przypominałem sobie pewne słowa Pawła: "Bo jeśli się modłę mówiąc językami, duch mój się modli, ale rozum mój tego nie przyswaja. Cóż tedy? Będę się modlił Duchem, będę się modlił i rozumem..."

Paweł nie przedstawia tu żadnej tajemnicy: po prostu modlił się inną częścią swej istoty. Wiedział, że jest w części człowiekiem rozumnym i jako taki może modlić się używając logiki. Ale do jego is-

toty należało jeszcze coś i to "coś" ma niewiele wspólnego z rozumem. Paweł nazywał to swoim duchem. Dzisiaj moglibyśmy nazwać to podświadomością. Paweł wypełniał swoje życie modlitewne pozwalając tej głębszej części swojej istoty również się modlić.

Czyż nie było tak samo z moją modlitwą o tę dziewczynkę? Błagałem o jej zdrowie umysłem, ale błagałem też duchem.

Gdy poszliśmy do szpitala wykreślono ją już z listy stanów krytycznych. Odwieźliśmy jej matkę samochodem do domu i rozmawialiśmy z nią trzy godziny. Mogliśmy stwierdzić, że zdrowie fizyczne nie było w tej rodzinie jedyną sprawą, o jaką należało się modlić. Im dłużej słuchaliśmy, tym bardziej złożony zaczął się wydawać ich problem. I znów - jak w przypadku Billa - naszym zadaniem nie było udzielanie porad. Nie wiedzieliśmy bowiem co należy robić, lub mówić. Nasza rola ograniczała się do wspominania o tym w modlitwach i tutaj języki okazały się bezcenne. Tworzyły jakiś ekran ochronny wokół mej własnej nieudolności wstrzymując mnie od wkroczenia w tę sytuację życia i śmierci z własnymi pomysłami. Podczas opowiadania naszej znajomej kierowałem ciche nieprzerwane prośby w językach o nią, o jej obojętnego męża i córkę. Była to modlitwa, było to torowanie ścieżki dla Boga do wkroczenia w tę sytuację z pominięciem pośrednictwa ograniczonego rozumu.

Jednak obok tych błogosławieństw, jakie przyniósł z sobą chrzest w Duchu było jed-

no niepowodzenie: książka. Zamierzałem przedstawić obiektywne spojrzenie na "Ruch językowy" w naszych czasach i oto sam stałem się zażartym bojownikiem. Mimowolnie zauważyłem jak zmieniał się nastrój książki. Już nie wystarczało teraz samo opisywanie. Teraz nalegałem, polemizowałem, próbowałem przekonywać. Pozostało mi jedynie odłożenie rękopisu na bok i oczekiwanie aż odzyskam poczucie równowagi, lub w ogóle zrezygnować z tego przedsięwzięcia.

"Każdy ma prawo być fanatykiem przez sześć miesięcy po chrzcie w Duchu", mówiła Jean Stone. Postanowiłem przedłużyć ten okres. Minęły już cztery lata od tamtego wspaniałego popołudnia w Atlantic City. Myślę, że czas posegregował nieco i ułożył moje poglądy na tę sprawę i że zyskały one nieco z obiektywizmu. W tym czasie nastąpiła jedna istotna zmiana w moim nstawieniu do chrztu w Duchu Świętym i mówienia językami. Z każdym rokiem stawałem się mniej emocjonalny i z każdym rokiem nabierałem przekonania o ich wartości.

Nie był to oczywiście prosty proces. Napisałem już, że początkowy wybuch radości i szczęścia trwał trzy miesiące. Nie potrafię podać dokładnego okresu, ale mniej więcej po tym czasie zauważyłem potężną reakcję. Dotyczyła głównie mówienia językami. Zacząłem podejrzewać, że to wszystko sam produkuję. Rzeczywiście, często wypowiadałem bezsensowne sylaby starając się wzniecić modlitwę w językach. Lecz czasami ten spontaniczny potok nie pojawiał się wcale. Musiałem słuchać brzmie-

nia swej własnej głupoty. Było dla mnie oczywiste, że Duch Święty nie ma udziału w tych głosach. Śmieszność tego opanowała mnie całego, a wtedy nie było już daleko do zastanawiania się, czy w ogóle Duch Święty miał kiedykolwiek coś wspólnego z językami.

Także zielonoświątkowcy stali się dla mnie kamieniem obrażenia w tym czasie. Ich uzewnętrznianie uczuć nie przeszkadzało mi zbytnio dopóty, dopóki przyglądałem się im z zewnątrz. Teraz jednak byłem wewnątrz i co pomyśleliby inni, gdyby zajrzeli i zobaczyli mnie razem z tym dziwnym rodzajem? Pamiętam, że byłem kiedyś na zgromadzeniu przy śniadaniu u zielonoświątkowców, gdzie również był fotoreporter przygotowujący jakiś artykuł. Był to dla mnie bardzo pracowity posiłek, jako że cały czas starałem usunąć się z zasięgu obiektywu.

Na szczęście uprzedzono mnie, że takie reakcje nastąpią. Powiedziała mi o nich Lydia. Napisałem jej o swoim chrzcie w Duchu i podczas jej najbliższego pobytu w Nowym Jorku spotkaliśmy się na obiedzie.

"Czy pamiętasz John", spytała wysłuchawszy mojego opowiadania, "co uczynił Chrystus zaraz po otrzymaniu Ducha Świętego?"

"Poszedł na pustynię", odpowiedziałem.

"Nie tylko to. Gdy tylko został napełniony Duchem Świętym kusił Go diabeł. Czy ty już też to przeżyłeś?"

Zaciekawiony odłożyłem widelec. "Być może. Mów dalej".

"Przekonasz się", mówiła Lydia, "że gdy spotkasz Ducha, spotkasz również diabła.

To zupełnie pewne, że ten atak przyjdzie. Tak było z Chrystusem i nadal ta zasada obowiązuje. Tylko musisz się na to przygotować".

Pokuszenie - jak mówiła Lydia - przybiera zazwyczaj formę zwątpienia czy Duch Święty rzeczywiście zstąpił. Może też objawić się jako bunt i nieposłuszeństwo.

"Pokuszenie to nie jest dziełem przypadku", mówiła Lydia. "Uważam, że Duch Święty do tego dopuszcza. On chce by to się stało korzyścią dla ciebie. Chce, abyś porzucił zimne, racjonalne spojrzenie na swoje przeżycie. Potem, gdy przez to przejdiesz, chrzest w Duchu jest dla ciebie nie tylko darem, ale i nagrodą za zwycięstwo".

Musiałem przezwyciężyć zwątpienie i pychę i inne zagrożenia dla tego nowo odkrytego zdrowia, ale przekonałem się wkrótce, że najsroższymi wrogami Ducha są nie te aktywne grzechy, ale pasywne: grzech zaniedbania i obojętności. Niedługo po poznaniu Ducha Świętego zobaczyłem, że Jego obecność nie czyni z nas automatów. Jest On z nami tak długo, jak długo tego czynnie pragniemy, pracujemy nad tym i dążymy do społeczności z Nim.

Jednym z najwyraźniejszych dowodów na to, że Duch Święty jest Osobą, a nie jakimś nieokreślonym rodzajem mocy jest fakt, że można Go naprawdę zasmucić. "Nie zasmucajcie Ducha Świętego", napisał Paweł./Ef. 4,30/ Stwierdziłem, że można zasmucić Ducha Świętego z dwóch powodów. Po pierwsze - gdy w naszym życiu wewnętrznym nie jesteśmy dla Niego odpowiednimi towarzyszami;

po prostu odejście na jakiś czas jeśli nasze towarzystwo przestanie być dla Niego odpowiednie. Po drugie - zaniedbanie. Współżycie z Nim jest jak przyjaźń i dlatego należy je pielęgnować, utrzymywać i cieszyć się nim o ile chcemy by było trwałe i rozwijało się.

Z obydwu tych powodów zasmuciłem Ducha i dlatego odszedł. Ale w tym przeżyciu poznałem, że nie chciałem bez Niego żyć i zacząłem szukać sposobów ponownego nawiązania z Nim kontaktu.

Dziękuję Bogu za organizację kościelną w takich momentach. Instytucja działa może nieco mechanicznie, ale niezależnie od wzlotów i upadków jej poszczególnych członków zawsze jest taka sama. Chodziliśmy do kościoła w każdą niedzielę i byliśmy świadomi, że nabożeństwa mają w sobie coś stałego i trwałego i że to jest istotne. Zbór nasz nie przeprowadzał żadnych eksperymentów z wprowadzaniem różnego rodzaju innowacji, ale jednocześnie nie musiał przechodzić poprzez niepowodzenia ludzi eksperymentujących. Kościół stał mocny, niewzruszony, cudowny.

Stwierdziłem też, że ważny jest czas regularnych modlitw w ciągu tygodnia. Nasz przyjaciel, Dawid Wilkerson przeznaczają dziesiątą część swego czasu na modlitwę. Sam spróbowałem to robić. Podzieliłem cały czas na pięć części: wczesny ranek, późny ranek, obiad, popołudnie i późny wieczór - po pół godziny za każdym razem. Nie znoszę dyscypliny. Wiem jednak, na podstawie tego eksperymentu, że jest wielka moc

w takim klasztorным sposobie przeżywania dnia z regularnymi porami na modlitwę. Właśnie podczas tego eksperymentu czułem najwyraźniej obecność i moc Ducha.

Nie dziwiło mnie także - miałem bowiem w pamięci swoje doznania w momencie samego chrztu w Duchu - że posłuszeństwo pełni istotną rolę w utrzymywaniu stałego kontaktu z Duchem Świętym. Zrozumiałem coś, czego jeszcze praktycznie nie potrafiłem osiągnąć. Co by było, gdybym przez cały dzień żył w zupełnym posłuszeństwie woli Ducha? Czy Jego "cichy, spokojny głos" stawałby się wyraźniejszy w miarę upływu czasu? Muszę popracować nad tym, by wykształcić zwyczaj przysłuchiwania się Mu.

Te cztery lata dały mi jednak lepsze zrozumienie tego, co rzeczywiście stało się w pokoju 405.

W samym momencie chrztu w Duchu Świętym miałem jedno silne wrażenie: byłem skąpany, otoczony i omyty miłością. Było to bardzo podobne do miłości, jaką przeżyłem w sali szpitalnej spotykając Chrystusa, z tym, że teraz była ona aktywna, dynamiczna, popychająca mnie do uczynienia czegoś z mojej strony, podczas gdy miłość jaką przeżyłem w szpitalu była jakąś cichą obecnością niczego nie wymagającą.

Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, musiałem rozwiązać zagadkę, która nie dawała mi spokoju. Poprzez cały Nowy Testament wyrażenia "Duch Święty", "Duch Chrystusowy" i "Duch Boży" używane są prawie zamienne. Dla ludzi, którzy znali i Chrystusa i Ducha Świętego były one z pewnością

czymś równoznacznym. "A gdy przyszli do Mi-
zji chcieli pójść do Bitynii, lecz Duch Je-
zusowy nie pozwolił im..." /Dz.Ap.16,7/ "Ale
wy nie jesteście w ciele, lecz w duchu jeś-
li tylko Duch Boży mieszka w was. Jeśli zaś
ktoś Ducha Chrystusowego nie ma ten nie
jest Jego". /Rzym.8,9/

Powód tej zamienności określić poznałem
gdy poznałem Ducha Świętego. Było to po-
dobne do poznania Chrystusa. Wspólnym mia-
nownikiem była miłość. Ludzie, którzy spot-
kali Chrystusa mieli przeżycie spotkania
z miłością i gdy ci sami ludzie poznali
Ducha Świętego, odczuli, że przeżywają je-
szcze jedno spotkanie z miłością. Gdy mó-
wili o Duchu Chrystusowym zamiennie z Du-
chem Świętym instynktownie robili to, co
teolodzy później zrobili na podstawie ro-
zumowych dociekań: stwierdzili, że jest to
jeden i Ten Sam Bóg. Różnica polegała je-
dynie na sposobie oddziaływania.

Odkrycie to rozwiązało jeszcze jedną
zagadkę. W myśli chrześcijańskiej od daw-
na łączono Ducha Świętego z pojęciem "uś-
więcenia". Paweł mówi o Bogu, który "...
wybrał nas od początku ku zbawieniu przez
Ducha, który uświęca..." /2.Tes.2,13/Kla-
syczną rolą Ducha Świętego jest Bóg, "...
który mnie uświęca i cały Boży lud". Wes-
leyański perfekcjonizm i jego duchowe dzie-
ci - różne ruchy uświęceniowe z końca o-
siemnastego wieku kładły nacisk na tzw.
"drugie błogosławieństwo", lub chrzest
w Duchu Świętym jako na przeżycie, które
uświęca ludzi.

Chodzi o to, że uważa się od dawna, że

Duch Święty działa w naszym życiu nie tylko dając nam moc, ale też oczyszcza nasze życie, prowadząc nas do światłości. Muszę przyznać, że pewien rodzaj świętych chrześcijan zawsze wzbudzał we mnie odrazę. Nigdy nie potrafiłem powiedzieć czy tak się działo dlatego, że to przykre uczucie wzbudzali we mnie wiedząc, że daleko mi do świętości, czy też dlatego, że czynią poważny błąd uważając siebie za świętych, gdy w rzeczywistości są obłudni. Muszę też przyznać, że spotkałem kilku chrześcijan, którzy nie afiszują się swoją świętością, a którzy jednak - jak odczułem - żyją całkiem na innym poziomie niż ja. Ludzie ci mają w sobie pewną cechę, która nieodparcie wydaje się być istotą prawdziwej świętości. Nie tyle uświadamiam sobie ich dobroć, ile ich nadzieję. Nie wskazują oni na moje błędy porównując je ze swoją świętością, ale wskazują na moje możliwości.

Myślę, że Chrystus posiadał ten rodzaj świętości. W przeciwnym wypadku nigdy by nie pociągnął za sobą ludzi takich jak szorstki Piotr, czy świecki Mateusz. Przekonałem się, że tajemniczym składnikiem tego rodzaju świętości jest miłość. Gdy w chrzcie w Duchu Świętym spotkałem się z przepełniającą miłością stwierdziłem, że zostałem oczyszczony, zbudowany, uzdrowiony. Poznałem stan szczęśliwości, o jakim nigdy nie marzyłem. Słowa "doskonały", "święty" i "zdrowy" /ang. *ahole, holy, health*/ pochodzą wszystkie od jednego anglosaskiego słowa "hal" oznaczającego doskonałość. Te-

go rodzaju uświęcenie jest wynikiem kontaktu z Chrystusową miłością w Duchu Świętym.

Jest jeszcze jeden rezultat tego kontaktu. Gdy E. Stanley Jones przeżył chrzest w Duchu Świętym w Asbury College zmienił się ze studenta w nauczyciela chrześcijaństwa.

"Wtedy poznałem różnicę między uczniem, a apostołem", powiedział mi. "To pierwsze jest bierne, to drugie zaś czynne. Uczeń, to człowiek, który siedzi u stóp Chrystusa. Apostoł, to człowiek, który dla Chrystusa idzie w świat; to misjonarz - jeśli tak wolicie. Chociaż misjonarz nie musi iść z domu dalej niż do sąsiednich drzwi. Chodzi o to, że właśnie przeżycie chrztu w Duchu Świętym zmienia bierność w aktywność".

To samo było ze mną. Epizod z Billem - udanie się do niego na rozmowę o jego problemach, nawet chęć modlitwy o niego w pierwszym rzędzie - był czymś zupełnie obcym dla osoby z moim charakterem. A to tylko jeden z wielu podobnych przypadków. Egocentryczny, skryty, zajęty własnymi problemami okazałem się nagle pełen troski o innych; szedłem by się z nimi zapoznać i naprawdę im pomóc. Jeśli ktoś zacznie to robić, to będzie widział nieskończone możliwości stania się użytecznym. W dwa lata po przeżyciu w Atlantic City znaleźliśmy się z Tib i trojgiem dzieci w Afryce, gdzie podpisaliśmy roczne zobowiązanie, że będziemy uczyć, pracować i żyć z plemieniem ludzi, o których nigdy przedtem nie słyszeliśmy.

Przeżycie dr-a Franka Laubacha z Duchem

Świętym spowodowało w nim zmianę i uczyniło go największym na świecie nauczycielem literatury. On sam tak to zjawisko tłumaczy:

"Gdy Chrystus był tu na ziemi, był ograniczony do wykonywania swej służby w jednym miejscu i w jednej chwili... Był On jednym człowiekiem chodzącym wzdłuż brzegu jednego morza w jednym małym zakątku ziemi. Uzdrawiał wszystko, czego się dotknął, ale dotyk Jego był z konieczności ograniczony czasem i przestrzenią. Czy wydaje się logiczne, by Ojciec wysłał Swego Syna na taką ograniczoną służbę? Uważam, że nie. On zatroszczył się o to, aby kontynuować pracę przez Ducha Świętego: my mamy dokończyć Jego zadanie. Jesteśmy Jego pomnożonymi dłońmi, Jego stopami, Jego głosem i miłującym sercem. Niedoskonali i często rozbici jesteśmy jednak Jego uzdrawiającym ciałem. Przez Ducha Świętego - przez tę miłość Chrystusa, która jest jednocześnie wszędzie - otrzymujemy moc, by prowadzić pracę apostołów. Stawia to nas przed wielką odpowiedzialnością: gdy przyjmujemy Ducha Świętego do naszego życia przyjmujemy tę samą pobudzającą i darzącą życiem moc, która prowadziła naszego Mistrza".

Wydać się, że jest to psychologiczne prawo natury ludzkiej, że aby móc dawać, musimy najpierw otrzymać.

Chrzest w Duchu Świętym jest darem takiej miłości, jakiej nigdy nie znaliśmy. Naturalnym następstwem jest poddanie się mocy tej miłości ogarniającej cały świat

i szukanie sposobności, by dzielić się
tym, co przeżyliśmy.

Zmieszanie Starego z Nowym

Ale w jaki sposób mamy się tym dzielić w naszym mieście, w którym mieszkamy i w zborze, do którego uczęszczamy?

W moim wypadku - a wydaje mi się, że to jest typowe - były trzy możliwości:

1. Pozostać w zborze i głosić przeżycie zielonoświątkowe.
2. Opuścić zbor i przyłączyć się do zboru zielonoświątkowego.
3. Pozostać w zborze i nic nie mówić o tym nieznanym przeżyciu, a poza zbozem mieć społeczność z zielonoświątkowcami.

Wybór nie był łatwy. Mały episkopalny kościół, którego byłem członkiem, położony w jednej z najbardziej konserwatywnych dzielnic Nowego Jorku charakteryzował się tym, że bardzo niewielu jego członków słyszało cokolwiek o chrzcie w Duchu Świętym. Dużo słyszeli o językach. Z tytułów i artykułów gazet wiedzieli, że w całych Stanach Zjednoczonych te dziwaczne wydarzenia czynią dużo zamieszania. I prawdopodobnie

wielu z nich mówiło sobie: mam nadzieję, że to się u nas nie będzie działo.

Wielokrotnie obserwowałem napięcia, jakie powstawały, kiedy członek któregoś z tradycyjnych kościołów otrzymywał chrzest w Duchu i następnie wracał do swojej parafii. Wracał z wielkim entuzjazmem chcąc podzielić się tym cudownym przeżyciem jakiego miał. Być może zapominał, że sam przeszedł powolną ewolucję w poglądach od ostrożnego sceptycyzmu w stosunku do przeżyć zielonoświątkowych do zupełnej wiary. Zbyt często w swym entuzjazmie zapominał o podstawowych zasadach strategii i zamiast być zdolnym do przekazywania, jego gorliwość przeszkodziła jego świadectwu.

Poza tym jeszcze inny efekt chrztu w Duchu może stać się źródłem problemów. Chrzest w Duchu Świętym jest ogromnie ożywiającym przeżyciem religijnym; napełnia ludzi energią. Jeżeli energia ta nie zostanie zużyta w działaniu konstruktywnym, to prawdopodobnie będzie wyładowywać się w chaotycznym, nie zawsze pożytecznym krzątaniu. Znałem ludzi napełnionych Duchem, którzy wciąż wsiadali na samolot i - aby uczestniczyć w różnych misjach poświęconych Duchowi Świętemu - podróżowali po całym kraju. Ten rodzaj nieukierunkowanej działalności zawsze wydawał mi się bohaterski i smutny; bohaterski - - ponieważ dana osoba rzeczywiście poświęcała czas i pieniądze /bilety lotnicze są drogie/, a smutny - ponieważ cały ten wysiłek okazywał się egocentryczny.

Jest jeszcze ciekawy problem spowodowa-

ny faktem, że zielonoświątkowcy są naprawdę efektywnymi chrześcijanami. Podczas gdy ich entuzjazm niektórych ludzi zraża, innych pociąga i wkrótce powstaje rozłam w zborze na grupę prozielonoświątkową i antyzielonoświątkową.

W końcu wybrałem trzecią możliwość: cicho wróciłem do zboru, mówiłem o swoim przeżyciu jedynie wtedy, gdy to samo wynikało naturalnie z sytuacji i utrzymywałem społeczność z moimi zielonoświątkowymi przyjaciółmi w innych miejscach.

Takie rozwiązanie też jednak nie jest dobre. Jeśli wierzę w znaczenie chrztu w Duchu Świętym, a przecież wierzę, to czyż nie mam obowiązku mówić o tym gdziekolwiek i kiedykolwiek mogę?

Jest to problem wielu tysięcy Amerykanów obecnie w związku z szerzeniem się ruchu zielonoświątkowego. W obecnej sytuacji problemu tego chyba nie można rozwiązać, bowiem przeżycie zielonoświątkowe nie mieści się w ramach życia w kościołach tradycyjnych.

Ale czy sytuacja nie może ulec zmianie?

Moje sugestie każą przypuszczać, że może. Sięgają one dnia, kiedy ten konflikt może stać się konstruktywnym dialogiem między swobodą i porządkiem, młodością i dojrzałością, przy czym obie strony zostaną niezmiernie wzbogacone. Aby dzień ten nadszedł należy coś uczynić, coś, co każdy z nas uczynić może.

Ci z nas, którzy przeżyli chrzest w Duchu:

Przypatrzmy się dokładnie, z rozwagą

krytyce skierowanej pod naszym adresem. Może się ona bowiem okazać bardzo ważna pomagając nam właściwie używać tego wielkiego Bożego daru.

Zwracamy szczególną uwagę na sprawę czasu. Uważam, że mamy skłonność do zniecierpliwienia, jak gdyby dzieło Zielonych Świąt zależało od nas, a nie od Chrystusa. On tylko chrzci Duchem i każde ponaglanie z naszej strony może pochodzić jedynie z braku poznania tego faktu, lub z braku wiary. A może nawet z braku pokory: zawsze kusi nas chęć przeciągnięcia kogoś na naszą stronę.

Pamiętajmy, że dary Ducha są dane dla "budowania Kościoła", a nie do prywatnego używania przez jednostki. Wszystko, co przyjmujemy musimy przyjmować z takim rozumieniem, jeśli chcemy uniknąć tworzenia klik, "elit", które uważają siebie za lepsze od reszty Kościoła.

W takim samym świetle spójrzmy na nasze używanie języków. Warto wymienić osoby, które popierały ich używanie: Maria - Matka Jezusa, Piotr, Jakub, Jan, Andrzej, Filip, Bartłomiej, Mateusz i Paweł.

A jednak ten sam Paweł wyraźnie widział niebezpieczeństwo tkwiące w nieprawidłowym używaniu języków. Podał instrukcje odnośnie ich używania: gdzie, przez kogo i w jakim celu należy ich używać. Dobrze byłoby gdybyśmy wszyscy czytali te instrukcje od czasu do czasu.

Zainteresujmy się bliżej owocami Ducha w naszym życiu. Owoce te - zgodnie z tym co podaje piąty rozdział listu do Gala-

cjan - są następujące: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność i wstrzemięźliwość. Jakaż wspaniała osobowość utworzyłaby ta kombinacja cech! Człowieka, który zaparł samego siebie, zrównoważonego, pełnego wewnętrznej siły, pokornego, spolegliwego, czułego i gotowego do posłuszeństwa, wypełnionego radością! Czy jest to obraz zielonoświątkowca? Często tak. I jeśli tak jest, to taki człowiek jest chodzącą reklamą tego przeżycia. Nie jest to jednak mój obraz i to mówi mi, że chrzest w Duchu Świętym to otwarte drzwi do nowego życia, ale nie do życia już gotowego, czekającego na nas jakby w opakowaniu.

Spójrzmy jeszcze raz na znaczenie planowego budowania w religii. Dla większości z nas odkrycie spontaniczności w służbie dla Boga było życiodajnym objawieniem i chętnie przyjęliśmy propozycje nieustalania porządku na spotkania grup modlitewnych. Ale czy nie zapominamy przy tym, że planowanie jest zawsze ważne dla prawdziwego wzrostu? Jeśli coś, co wzrasta miałyby tylko energię, bez planu, to nigdy nie widzielibyśmy produktów końcowych takich jak dąb, człowiek, czy wypełnione Duchem życie.

A teraz kilka sugestii dla chrześcijan, którzy nie mieli tego przeżycia.

Nikt z nas nie chce być częścią przemijającej mody. Nie chcemy także pozostawać na boku gdy widzimy wielkie dziełanie Boże. Myślę, podobnie jak Gamaliel, że idealne stanowisko byłoby takie: "Jeś-

li bowiem to postanowienie, albo ta sprawa jest... z Boga, nie zdołacie ich zniszczyć". /Dz.Ap.5,38-39/

Kto ma rację? Ci, którzy twierdzą, że zielonoświątkowcy są w religii zjawiskiem marginesowym, czy ci, którzy - jak Dr. Van Dusen z Union - czują, że zielonoświątkowcy są motoryczną siłą w naszych czasach? To pytanie jest tak ważne, że kościoły zużywają coraz więcej czasu i pieniędzy by zdobyć wnikliwe informacje na temat działalności zielonoświątkowców w ich okolicach.

Jeśli chodzi o rozerwanie, do którego dochodzi nieraz w zborze przez ich działalność, to następuje ono właśnie na skutek tych cech, o które członkowie prawie każdego kościoła się modlą. Zielonoświątkowiec zadręcza nas swoim świadectwem; ale któż nie odczuwał już kiedyś, że jego własne świadectwo jest trochę oziębłe? Człowiek napełniony Duchem wydaje się być trochę zbyt natarczywy, jak na nasz gust, ale któż z nas nie stawiał sobie już pytania czy chrześcijanin nie ma prawa do odrobinę większej radości z powodu swojej wiary? Zielonoświątkowiec męczy nas swoją energią, ale kto z nas nie stawiał sobie już pytania co się stało z tą pierwotną chrześcijańską mocą?

Jeśli to wszystko, o co tu chodzi, to cechy, które chciałby posiadać każdy kościół, to co powoduje nieporozumienie?

Myślę, że w pierwszym rzędzie jest ono wynikiem tego, że Duch Święty w wielu kościelnych tradycjach stał się bardzo "du-

chowy", jakby tylko cieniem i symbolem tak, że jesteśmy zupełnie nieprzygotowani na jakąkolwiek inicjatywę z Jego strony. Z najpotężniejszej Osoby na świecie uczyniliśmy abstrakcję i dlatego spotkanie z jej realnością musi być szokiem.

Poza tym każdy kaznodzieja chce - i powinien chcieć - być przewodnikiem swojego własnego chrześcijańskiego zboru, czy kościoła. A oto z zewnątrz przychodzi jakieś przeżycie, o którym opowiadają mu jego członkowie, że stało się punktem zwrotnym w ich życiu religijnym. Jednak w tych ekumenicznych czasach rozwiązanie problemu jest bliskie: polega ono na tym, abyśmy uważali się zarówno za członków dużego Kościoła, jak i za członków naszego zboru, czy denominacji. Co na jednej skali jest przeżyciem pochodzącym z zewnątrz, na drugiej skali jest po prostu wspólnym przeżyciem Kościoła.

Poza tym języki są oczywiście kamieniem obrażenia i mówi się o nich na pierwszym miejscu. Dobrze jest wiedzieć, że 90% niesmaku, jaki ludzie odczuwają to wynik odbierania języków jako czegoś obcego. Podczas naszego pobytu w Afryce mieliśmy z Tib niecodzienną możliwość spotykania ludzi, którzy pamiętali kiedy po raz pierwszy usłyszeli chrześcijańskie poselstwo. Jakże zaszokowała ich myśl, że Bóg mógł być przybity do krzyża, urodzony w żłobie, czy to, że cierpiał głód! Nie na miejscu, niepasujące, brzydkie! Wszystkie te określenia, których używamy gdy mowa o językach oni używali mówiąc o tej dziwnej Ewangelii.

A prawdą jest, że języki, gdy przestaną być takie oboje, przestają być takie nieprzyjemne - w rzeczywistości są często nadzwyczaj piękne.

Jeśli przeżycia zielonoświątkowe mają miejsce w twoim zborze, dlaczego nie miałbyś użyć ich do współpracy, podczas gdy tworzysz sobie własną opinię na ich temat? Czy nie masz podłogi do wiórkowania? Czy jest już poprawione przejście między ławkami? Znam wielu zielonoświątkowców, którzy takie właśnie zadania chętnie by w kościele spełniali znajdując w ten sposób wentyl, przez który uchodziłby nadmiar ich energii.

Zielonoświątkowcy twierdzą, że mają nową moc w modlitwie. Dlaczego nie uczynić kilku prób, aby to sprawdzić? Dajcie zielonoświątkowcom wśród was określone zadanie modlitewne! Gdy niedawno pewien zbor w Nowym Jorku rozpoczął pracę odwiedzania swych członków, inni jego członkowie - z przeżyciem zielonoświątkowym podjęli się po godzinie na zmianę w tym samym czasie co odwiedzanie modlić. Czy mogło to mieć coś wspólnego z zadziwiającymi wynikami tej służby odwiedzania?

I świadczenie. Chrystus łączył je z chrztem: "Ale weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was i będziecie mi świadkami..." /Dz.Ap.1,8/ Dlaczego wasi członkowie z przeżyciem zielonoświątkowym nie mogliby mieć udziału w służbie świadczenia w zborze? Nie mówię teraz o świadczeniu o przeżyciu zielonoświątkowym. Chrystus nie powiedział: "Będziecie świad-

kami chrztu w Duchu". Nigdy zadaniem Ducha nie jest zwracanie uwagi na Siebie Samego. Chrzest jest niczym innym, jak tylko środkiem do celu, a celem jest zawsze Chrystus.

A jak się ma rzecz z chorymi w zborze? Ciągłe jestem pod wrażeniem ścisłej zależności chrztem w Duchu, a mocą ku uzdrawianiu. Znam dwie niewiasty w Massachusetts, Judy Sorrenson i Kay Anderson, które ich episkopalny kaznodzieja często prosi, aby służyły udzielonymi im przy chrzcie w Duchu darami uzdrawiania. W Chicago jest pewien napełniony Duchem kaznodzieja baptystyczny, który znany jest duszpasterzom wielu szpitali jako, człowiek, którego modlitwy są bardzo skuteczne. Może taka moc jest ukryta także i w twoim zborze?

Cała sprawa polega na tym, aby stworzyć bodźce ku temu, aby ludzie z przeżyciem zielonoświątkowym mogli zostać włączeni do rzeczywistej pracy i prawdziwe potrzeby każdego zboru. A większość zielonoświątkowców wykonuje taką pracę - jeśli jest ono odpowiednio oceniana i organizowana - spokojnie i z taktem.

Nie znaczy to, że taka służba w tradycyjnym kościele zaspokoi wszystkie ich potrzeby. Zielonoświątkowiec odkrył w swoim swobodnym, kierowanym przez Ducha uwielbieniu coś nieskończenie wartościowego i wszyscy znani mi napełnieni Duchem ludzie, którzy pozostali w swoich dotychczasowych denominacjach spotykają się regularnie także poza nimi - w środę wieczor-

rem, albo w niedzielę przed południem, albo tylko raz w miesiącu - na ten inny rodzaj nabożeństwa. I z tamąd czerpią taką moc.

Myślę, że ta potrzeba zielonoświątkowców jest potrzebą każdego, jako część ludzkiej natury, która zarówno potrzebuje porządku, jak i swobody. Większość nas jednoczy to rozerwanie wewnętrzne w ten sposób, że w swym życiu religijnym ma tylko porządek, natomiast swobodę pozostawia meczom piłkarskim i zebraniom politycznym.

A oto jak wygląda opis oddawania czci Bogu w świątyni jerozolimskiej:

"Alleluja.

Chwalcie Pana w jego świątyni,
Chwalcie Go na wzniosłym Jego nieboskłonie.

Chwalcie Go za możliwe Jego dzieła,
Chwalcie za najwyższy Jego majestat.

Chwalcie Go dźwiękiem trąby,

Chwalcie na harfie i cytrze.

Chwalcie Go bębniem i tańcem,

Chwalcie na strunach i flecie.

Chwalcie Go na dźwięcznych cymbałach,

Chwalcie na cymbałach brzęczących:

Niech chwali Pana wszystko co żyje!

Alleluja!"

/Ps.150/

Właściwie we wszystkich religiach taki ładunek uczuciowy, aż do naszych czasów był istotną częścią oddawania Bogu czci. Gdy byliśmy w Afryce, poszliśmy na otwarcie anglikańskiej Katedry w Mbale, Uganda. Po pełnym przepychu, formalnym nabożeń-

stwie wewnątrz nowego budynku, niektórzy z pośród tych samych ludzi wyszli na zewnątrz, uderzyli w swe bębny i w poczuciu wdzięczności i tryumfu zaczęli tańczyć. Niewątpliwie było w tym tańcu uwielbienie, chociaż rzeczą niemożliwą było przyglądanie się temu bez wystukiwania nogami rytmu i bez klaskania. Ta nasza część musi się też jakoś uzewnętrznić i jest to strata dla religii jeśli zostaje ograniczona tylko do tego co naturalne i świeckie.

Zawsze jestem zaskoczony jak chętnie witają swobodę w oddawaniu Bogu czci ludzie, których uważam za konserwatywnych. Niedawno wzięliśmy ze sobą na zielonoświątkowe nabożeństwo w środku tygodnia jednego z naszych starszych sąsiadów. Sporą część tego nabożeństwa stanowił po prostu hałas: klaskanie, głośne okrzyki, głośne śpiewanie. Patrzyłem w stronę naszego sąsiada trochę lękliwie jak to będzie przyjmował. Ku memu zdziwieniu zobaczyłem, że wraz z innymi klaszcze. Złowił moje spojrzenie i ponad głowami powiedział do nas wśród ogólnego hałasu:

"Dlaczegożby nie?" Tak. Właściwie dlaczego nie? Potrzebujemy wolności i potrzebujemy zaplanowanego porządku. Tradycyjne kościoły akcentowały jedno, zielonoświątkowcy drugie. Czy jest jakiś sposób aby to pogodzić?

W Parkersburg, Pensylwania - wiejskiej gminie w pobliżu Lancaster jest piękny, stary prezbiteriański Kościół gdzie utrzymuje się równowagę w sposób, jaki mógłby służyć za wzór wielu kościołom. Każdego

sobotniego wieczoru zbór ma nabożeństwo uwielbiająco-modlitewne. Orkiestra - prowadzona przez syna pastora - dba o muzykę. Są wolne modlitwy, modlitwy przyczynne i dziękczynne ze strony zborowników. Prezbyterianie, metodyści, baptyści, episkopianie, a także zielonoświątkowcy przyjeżdżają z odległości takich jak Waszyngton, D.C., aby wypełniać piwniczne audytorium na nabożeństwie, które często kończy się późną nocą.

Później jest niedziela. Nabożeństwo o jedenastej jest wszystkim, czym uczyniła je piękna tradycja. Jeśli chodzi o jego formę, nie można byłoby go odróżnić od jakiegokolwiek innego nabożeństwa prezbyteriańskiego - może tylko poza tym, że ławki obsadzone są trochę gęściej, śpiew jest bardziej zaangażowany, a kazania niezwykle inspirowane przez Ducha.

To jest zbór, gdzie porządek i wolność zostały powitane jednakowo gorąco i gdzie te dwie rzeczy nawzajem się umocniły. Niedawno rozmawiałem z Dr. John'em Alexander Mackay'em, byłym prezydentem Princeton Seminary i jednym z czołowych teologów w kraju.

"Gdyby trzeba było wybierać", powiedział mi, "między burzliwym życiem zielonoświątkowców, a estetyczną śmiercią starszych kościołów, to ja w każdym razie wybrałbym to burzliwe życie".

Ale co, jeśli taki wybór nie jest konieczny? Co, jeśli możliwa byłaby synteza na wyższej płaszczyźnie tak, że moglibyśmy mieć w naszych zborach i formę i ży-

cie wzrastające w Bożym kierunku? Co powiemy gdy Zielone Świąta wejdą dzisiaj do naszego kościoła?